

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Grzegorz Walczak**

**PAMIĘTNIK MAŁŻEŃSKI**

**TOWER PRESS**

**GDAŃSK 2001**

Chyli się ku wiośnie. Wlazłem więc na swój stryszek, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Świat mnie oblepia paskudnie, więc by się z niego otrząsnąć, stoję w zabitym na krzyż deskami oknie jak bocian w starym gnieździe po długim, długim locie. Ale i tu zмирzcha. Sięgam do starego kufra, dopóki się jeszcze całkiem nie ściemniło, by się dokopać do przeszłych zdarzeń, do fascynacji i obsesji dawnych, a może jeszcze nie dotkniętych. Spod kupy zakurzonych starych książek i pozółkłych maszynopisów wydobywam dwa zapisane stukartkowe kajety w szarych, zmaltretowanych okładkach. Pismo nierówne, nerwowe, jak gdyby nie moje, a moje. Czytam.

– Powiedz, po co ty żyjesz?

– Oho, już się czepia – myśli.

Patrzę na nią, jak się pochyla nad miednicą pełną pieluch. – Powiedz, po co się urodziłaś? – Milczy. – Wiesz co, wiesz, co ci powiem? – najtrudniej jest uwieść własną żonę. Ale tak całkiem, w pełni. – Milczy. Krążę nad nią jak zły ptak. Czy to moja wina? Może i moja. Mojej historii. Tego, że mam swoją historię, wrytą w twojej pamięci, nieustępliwej, zawziętej pamięci.

– Co to znaczy „w pełni”? – pyta w końcu. – Wyobraź sobie, że dopierośmy się poznali. Jesteśmy w tym oto pokoju. Jest między nami napięcie, a zarazem spokój. Odnajdujesz coś we mnie, jakiś szczegół, sama nie wiesz co, ale chcesz tego, chcesz coraz bardziej. Owszem – banalne. Tak! Z każdą inną mogę to przeżyć, a pewnie, że tak!

Może to nie jest nasza wina, cóż, nie jesteśmy zachłanni – a co to za miłość? Najpierw mieliśmy siebie za cel – tylko siebie, w sposób idealnie egoistyczny – i to było piękne, a teraz? Nie, ja nie mam nic przeciwko rozmnażaniu – kocham przecież dzieci, wiem, że to dla ciebie wszystko i niech sobie tak będzie. Wcale nie jestem zazdrosny, tylko wścickły, bo to, co było między nami, to jest czas przeszły. Ja dobrze pamiętam, jak poszliśmy do tego hotelu i jak całą noc się bałaś, że ktoś wejdzie, zastuka.

Tu i ona się ożywia. Mówi o tym, jak stara portierka dobrze wiedziała, że my to tak w obydwu pokojach mieszkać nie będziemy. Owszem, leżeliśmy na wąskim luksusowym – tak się nam wtedy zdawało – tapczanie i była śliczna lampka z odpowiednim półmrokiem, i

telefon na nocnym stoliku, nawet ten telefon raz zadzwonił, bo spodobałaś się numerowi obok, numer nie wiedział, że jestem u ciebie, więc jeszcze bardziej drżałaś, ale czy tylko ze strachu? przed nimi? całą służbą hotelową? milicją? rodzicami? i tym panem, co cię tak kulturalnie zapraszał do swojego pokoju? Dlaczego tak drżałaś, dlaczego teraz już nie drżysz?! Stoisz nad miską i paprzesz swoje wciąż jeszcze delikatne ręce w żółto-białej melasie pieluch.

– Ty zawsze byłeś bezczelny. – Co ty wiesz o mojej nieśmiałości? Stara portierka okazała się człowiekiem, ale skąd ja o tym mogłem wiedzieć, kiedy szedłem zameldować nas w warszawskim hotelu, mając dowód z warszawskim miejscem zamieszkania, a to już przecież zbrodnia.

A jak już powiedziałem, że dla pani musi być jednoosobowy, bo mnie wszystko jedno, to zaraz przełknąłem ślinę. Okazało się, że w pokojach kilkuosobowych męskich nie ma już miejsca, więc sobie przypomniałem, że to właśnie ja lubię wygodę i koniecznie muszę mieć jednoosobowy, a pani wystarczy miejsce w damskim zbiorowym. Nie mieliśmy zbyt wiele pieniędzy. Podałem więc ten mój kiepski dowód, a potem był długi korytarz z miękkim chodnikiem, intymnym jak tu wszystko, lśniący czernią telefon i w końcu twój gładki napięty grzbiet. Pytasz, co to znaczy posiąść w pełni? Nie chodzi mi o formalność. Na tę mechaniczną przyjemność możemy sobie zawsze pozwolić, no oczywiście jak już wypierzesz, pozmywasz, wysiusiasz, uśpisz, zagotujesz, wywietrzysz, przewiniesz, pościelesz, uklepiesz poduszkę i jak już jesteś tak zmęczona, że zanim się położysz, muszę cię budzić. Wiem, wiem, mógłbym ci pomóc, tak, ale ja mam hobby niepomagania, powieść, której nigdy nie napiszę, telewizor i Erosa w spodniach na wszystkie twoje przyjaciółki. Co to znaczy „w pełni”? – przez chwilę nawet wiedziałem, mogłem to sformułować, ale ty tyle milczysz, tyle milczysz, że już nie pamiętam. Aha... uwieść cię w pełni – to znaczy, żebyś mnie naprawdę chciała – mimo wszystkich trudności i własnych oporów, kiedy się mieszka u kogoś kątem, kiedy się krąży po ulicach pół dnia, chociaż pada śnieg, i pół nocy siedzi się na poczcie głównej, bo tam największy komfort i milicja obywatelska się nie czepia, a potem wszystkiego przestaje się chcieć. Twardo i dookoła głupie, zmęczone gęby podróżnych, na wpół uchylone gęby, bo śpią. I wtedy – rozumiesz? – jak przy tym wszystkim spojrzysz niespodzianie tak ciepło, inaczej, tak jak ja pamiętam, to wtedy właśnie wiem, że cię uwiodłem całkowicie, w pełni.

– Jesteś dziwny – mówi – zawsze chciałaś więcej niż masz. – Tak, owszem. Jak cię pocałowałem pierwszy raz pod kościołem, to zaraz chciałem dotknąć twoich piersi. Wcale mi się nie podobałaś, ale ja ciebie chciałem kochać, bo co miałem robić. Była noc. Gadałaś mi coś o obojczykach, o tych kostkach, co tu wystają. Nazywałaś je solniczkami. Dotykałem ich

na ławeczce czcigodnych, coniedzielnych chrześcijan, mówiłem ci o „brzytwie Okhama” i o „panta rhei” i ręce mi drżały. Nie umiałem ci rozpiąć stanika. Wiesz, najgorsze jest to, że jesteśmy dojrzały, to znaczy wystudzeni.

Patrzę na nią, nie widząc. A jej tańczą te jeszcze delikatne ręce w miednicy albo przy kaftaniku, bo już chyba szyje. Igła jej miga w szybkich palcach, a ja stoję, jak gdybym się zatrzymał. Tak, możemy wspominać. Jesteśmy młodymi ludźmi, którzy mogą wspominać.

– Ty już mnie nie kochasz – skarży się cicho. – Ja... ja... My już nie jesteśmy siebie łakomi, nie jesteśmy zachłanni. – Milknę. Nie wiem, co chciałem powiedzieć. A ona? Ona już nawet nie potrafi płakać. Zabiera się do swojej robótki. Druty tylko jakby oporniej przebijają się przez masę białej wełny. Kończy mój sweter.

Pociąg jak ogon czarownicy zamiata na zakrętach. Szyny mu się rozłają pod nogami. Nie wiem, czemu dostaję czkawki na widok mostu, po którym przebiega pociąg. Może to wspomnienie z dzieciństwa. Miałem sześć lat, kiedy łaziliśmy po dziurawym kolejowym moście na rzeczulce bez nazwy. Aż tu nagle zza lasu zakopciło, zagwizdało i wyskoczyło strasznie szybko. Rzuciliśmy się do ucieczki, ale powinęła mi się noga i już miałem właśnie wpaść w dziurę między szynami a balustradą, kiedy podtrzymał mnie starszy chłopak. Jak już zlecieliśmy na zbitą gębę z nasypu, dostałem czkawki. Od tej pory dostaję czkawki na widok kolejowego mostu. Człowiekowi zawsze jest jednak mało, od szczeniaka człowiek jest chciwy. Ile razy zbliżał się zadyszany, żelazny potworek, biegliliśmy wszyscy pod most, żeby przejechał nad nami, żeby się wyhuczał, wydudnił, żeby nas trochę wystraszył. Tak, kochana – ty jesteś właśnie taki mój potworek, małżeństwo moje jest moim kolejowym mostem, i chociaż na samą myśl o tym dostaję czkawki, wracam pod ten most, do tego dudnienia, wracam biegiem, żeby się nie spóźnić. Wiesz – postanowiłem napisać pamiętnik. To będzie pamiętnik o nas, o naszym małżeństwie. Nie przerywaj! Napiszę o tym, jaki jestem dla ciebie niesprawiedliwy, zrobię z narratora człowieka, który siada ze swoją żoną na rozżarzonej patelni i zaprasza jeszcze na to widowisko publiczność. Pomyśl, może ktoś to kupi, może znajdziemy frajera, co nam za to zapłaci. Pieniążki będą, kochana, kupię ci nowe pończochy albo rajstopy na zimę, co? – Daj mi spokój. – Odwracam się do okna. – Tak, ja bym wszystko sprzedał – siebie, siebie – żeby popróbować, czy to się da sprzedać. Sprzedałbym nawet za darmo. Wiem, był taki film. To zresztą żaden pomysł. Wiadomo – wszystko jest tworzywem dla kogoś, kto chce tworzyć. I im bardziej jest to ohydne, im większe świństwo, tym lepiej smakuje gawiedzi.

Był raz w knajpie duet taneczny. I nikt tego do tej pory nie wie, czy tancerz był takim

artystą, czy mu się w głowie pomieszało, dość że się wżył w rolę. Posłuchaj. On do połowy nagi, z batem, ona raczej drobna, kładzie mu się u stóp, wije się, niby prosi o litość, on ją odrzuca od siebie, na dystans, bat trzyma w ręku. Raz strzelił w powietrze, drugi raz w powietrze, ale nagle coś się w nim załamało, stracił postawę, przykurczył się, zaraz się jednak wyprostował i przejechał tancerkę baciorem. Jeszcze nie wierzyliśmy. Ale on zaczął ją siec raz za razem. Kobieta leżała na podłodze, nie wydając jęku. Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani. Nikt nie ruszył się z miejsca. Nie wiem, jak to długo trwało. Usłyszałem pisk kobiet. Dopiero basista i klarncista z orkiestry wybiegli na parkiet do zniechęconego nagle artysty. Klarncista obracał bat w ręku. Ludzie otoczyli tancerkę. Wyrwała się im i pobiegła do garderoby. Na stopniu przy zejściu na parkiet siedział samotnie tancerz. Płakał.

Kawiarnia szybko pustoszała. Paniom płonęły policzki. Wychodziły urażone. Przez chwilę miały wspólny temat i szybszy oddech – były zadowolone.

Oczy żony robią się krowie. Zamykają się i otwierają na chwilę. Będzie zasypiać. – Ciebie nic nie interesuje. – Interesuje. – Znów się przymrużyły.

Właściwie, nie mam nic do sprzedania. Kiedy zaczynałem pisać, pomyślałem: sprzedam kawałek prawdy, nas, małżeństwo, ale tego nawet nie można podarować, to się nie nadaje. Gdybym jednak sprzedał kawałek małżeństwa, całe małżeństwo miałoby już jakiś sens. A może ma? Wydaje mi się, że zacząłem sprawę załgiwać, nawet już myślę o fabułce. A może by jakąś przygodę opisać, pieprzyka przydać? Tak, trzeba sklecić fabułkę, ale z czego? – z życia? Nic się nie dzieje.

Szkoda, że moja żona nie chce pisać pamiętnika. Namawiałem ją nawet, bo przecież bardzo by mi się przydał, ale nie i nie... Uparte zwierzę. W końcu przyznała się. Owszem, zapisała cały zeszyt, więcej – dwa zeszyty, ale wtedy była jeszcze dziewczynką. Dwa zeszyty takich głupich historyjek, dlatego zniszczyła, spaliła i nie ma.

Ale przecież ja i tak dobrze czuję jej pisanie, nie pomyślane jeszcze, a przecież już prawdziwe. Gotowe. I wcale mi to nie przeszkadza, by...

11 lipca 1972

Jesteśmy w jednej z mniej znanych nadmorskich miejscowości. Filip znika coraz częściej. Nie ma go czasem przez pół dnia. Jemu to nic nie szkodzi, że ja się wszystkiego domyślam. Joasia rozwija się prawidłowo. Morskie powietrze jej służy. Rośnie i ma apetyt. – Tak chyba mogłaby napisać.

Coraz trudniej mi odpoczywać. Po dniu odpoczynku wpadam w depresję. Świadomość tego, że przeżyłem dzień, po którym nic nie pozostało, wpływa na mnie przygnębiająco. Wszystko mnie wtedy drażni. Najgorsze są ostatnie godziny przed snem, kiedy jest za późno, by brać się do czegokolwiek i robota rozłazi się w palcach. Gry z żoną znudziły mnie, bo były zawsze przeciwko żonie. Ona jest zwyczajna, ja jestem za mało szalony. Chciałbym gdzieś daleko uciec, ale nie potrafię. Wracam jak piłeczka na gumce. Znowu leżę na przykrótkim dla mnie łóżku. Leżę i liczę krowy na suficie. Rozlazły się wychudłe, smukłe i inteligentne. Noszą zielone okulary i żyją w zakamarkach południowych cieni wielkiego klonu. Klon rozrósł się pod oknem i rozlewa odbicie swoich gałęzi na przybrudzonej bieli sufitu. Sufit – moja najdalsza ucieczka. Ile razy potłukłem się solidnie o semantykę rzeczy i z rozkwaszonym nosem gramoliłem się na łóżko – uspokajał mnie sufit. Łóżko i ta nad głową biała plama, na której można by pisać bez końca pędzlem wyobraźni – to są moje dwa najsympatyczniejsze przedmioty. Ot, dziwne, jestem przecież człowiekiem chorym na ruchliwość. Południowe słońce wpełza pod firankę, a ja już czuję, jaki to będzie okropny dzień. Nie wolno mi napisać ani jednego wiersza, ani jednej linijki. Przyjechałem tu odpoczywać, oglądać morze, wdychać jod, dużo jodu.

A tam, w Warszawie, puste beze mnie redakcje. Wypoczywają. Wielcy znajomi chodzą bezpiecznie po wymarłych ulicach stolicy, mają nawet nadzieję na wyjazd. – Dzień dobry panie redaktorze – to ja. – Twarz mu się kurczy, uśmiech całkiem odlepia, strzepnął go ręką. – To ja, panie redaktorze. Pan mnie nie poznaje? Przynoszę panu nowy poemacik. – Twarz napadniętego jeszcze bardziej szarzeje. Ma minę człowieka cierpiącego na niestrawność. Patrzy na moje dzieło, marszczy się. – Tytuł zachęcający, owszem, owszem, przeczytamy, przeczytamy. Ale, ale – jaki jest pana adres... żeby to panu w razie czego, pan rozumie... aha i nazwisko, bo mi całkiem wyleciało...

Tak, puste kosze wielkich redakcji. Bezkarnie po ulicach chodzą redaktorzy. Mają nawet nadzieję na wyjazd. A ja dzisiaj znów nic nie napisałem i nic im nie wtarabanię, żadnego wiersza, eseju, spontanicznej dramatycznej scenki, nie wrzepię im, nie wrzepię się w nich, nie poprobuję, nie poprobuję...

Krowy na suficie rozsiadły się po turecku i żrą zołędzie. Wtuliła się w nie uśmiechnięta staruszka i głaszcze je po widelcach kręgosłupów.

Naści moje wyalienowane, naści moje frustratki, zaraz dam wam na deser Picassa. Drzwi otwierają się. Przez próg ostrożnie i rozważnie przechodzi Joasia, a za nią ta znajoma pani – moja żona.

14 lipca 1972

Filip na pewno ma jakąś dziewczynę. Nic mnie to nie obchodzi. Żeby się tylko więcej zajmował dzieckiem. Ale on się zajmuje tylko sobą. Czasem wydaje mi się, że to jest zupełnie ktoś inny; nie ten sam człowiek, którego kiedyś... Filip wciąż mi powtarza, że nie ukrywał przede mną swoich wad i zalet. Może to i prawda, ale cóż z tego? On widzi tylko koniec swojego nosa. Joasi nie kupił jeszcze żadnego prezentu, a Joasia niedługo skończy dwa lata.

– Jeszcze nie wstałeś? Kawa całkiem wystygła, masło się rozpuściło, w dzemie siedzi osa...

– Dzień dobry, żono.

– Kapałyśmy się. Całkiem ciepła woda. Wiesz, Joasię jeden chłopczyk uderzył łopatką w czoło... bo go ugryzła.

– A fe. Daj mi kanapkę.

Nie reaguje.

– Jak ślicznie dziś wygląda mój kochany krowiniec – uśmiecham się do niej. Nie reaguje.

– Jedziemy do Sopotu. – Widać, że postanowiła nieodwołalnie. Po głosie łatwo poznać, że postanowienie to dotyczy oczywiście tylko jej i Joasi, bo ja i tak chodzę swoimi drogami, jestem zupełnie wolnym człowiekiem. Do Sopotu dojeżdżamy o zmroku. Joasia pozostawiła na podłodze autobusu wielką kałużę i żona czyni mi wymówki, że ze mną to tak zawsze. Dziecko powinno zaraz się położyć spać, a mnie się zachciewa iść na molo, które się chyba od zeszłego roku nie zmieniło w Wieżę Eiffia. A w ogóle to ze mną nie można się nigdzie wybrać.

Fale rozbijają się o grube słupy pomostu. Chlupie tam w dole i chlupie. Światła wybrzeża kładą się na wodzie. Jest ciepło. Międzynarodowy tłum zanurza się w łagodny, lipcowy wieczór. High life, psiamać, przegrzany snuje się niedbale. Dwóch czarnych leniwym krokiem czujnego zwierzęcia przechodzi koło mnie i miesza się z tłumem. Nonszalancki, rozluźniony chód. Z daleka słychać piszczałki. Joasia śpi na moich rękach. Żona tuli się do mnie w milczeniu. Oddaję jej dziecko. Sam schodzę na dolny pokład. Jest tu zupełnie ciemno. Światło mojej latarki natrafia na zaleknione twarze zboczeńców. Jeszcze się obejmują. Mijam ich. Idę coraz szybciej, prawie biegnę. Odbija się echem tupot moich nóg po drewnianym pomoście.



I tu się zaczyna moje oszustwo. Cała historia, którą wam opowiem jest zmyślona. A może nie cała?

Nareszcie uciekłem. Wiał leciutki swobodny wiaterek. Żeglowałem spokojnie przez morze pszenicy. Buty związałem sznurowadłami i przewiesiłem je na patyku przez ramię. Na bosaka człowiek czuje się jeszcze swobodniejszy. Lękając się pościgu, przyspieszyłem kroku. Świat troszkę jak gdyby poróżowiał. Uśmiechnąłem się do siebie i pomknąłem po nawodnionej łące.

Obiad zjadłem w przytulnej knajpce przy wejherowskiej szosie. Gdzieś daleko za mną zostało morze, rozpalona plaża, lenistwo półnagich wczasowiczów i to całe codzienne uśpienie, odrętwienie tępe. Tymczasem miałem przed sobą szeroką wstążkę asfaltu, tysiąc możliwości, żadnego planu – byłem w akcji, działałem. Noc dopadła mnie w stogu siana, ćwierkająca świerszczem, zbuntowana, niewygodna.

Rankiem przemyłem twarz chłodną wodą z niewielkiej rzeczulki. Wyszędłem na szosę nieco zarośnięty, w pogniecionych spodniach, w swetrze tkwiły ostre źdźbła siana. Dłuższy czas nic nie jechało. Minął mnie tylko zaspany rowerzysta i zatłoczona syrenka. Odsikałem się przy starym, ciekawym drzewie i akurat wtedy nadleciało to cholerne volvo. – Zapnij się pan i siadaj – powiedziała dziewczyna przy kierownicy. – Dzień dobry, ja – ja tą samą drogą. – Byłem mocno speszony.

– Zatrzaśnij pan lepiej drzwi, pierwszy raz pan samochodem?

– Elżbietko, nie rozumiesz, że pan się jeszcze troszkę wstydzi? – uśmiechnęła się wyrozumiale druga dziewczyna.

Obydwie miały identyczne białe kamizelki i granatowe plisowane spódniczki. Wyglądały jak uczennice...

– Ja mam na imię Filip.

– To bardzo ładnie, proszę pana. My jesteśmy Elżbietki.

– W głosie tej wyrozumiałej wyczuwało się spokój i macierzyńską troskliwość. Mówiła tak, jak gdyby coś ofiarowywała, jak gdyby coś obiecywała nieokreślonego, lecz cennego.

– Dzisiaj jakoś nic po tej szosie nie jeździ, słońce takie, proszę pani..., gorąco – nieprawdaż? Ładnie pani prowadzi.

– Co pan tyle szczebioce – przerwała mi Elżbietka przy kierownicy.

– A no tak, no bo...

Samochód grzał przeszło sto na godzinę. Elżbietka pewnym ruchem brała wiraże. Na skrzyżowaniu przed drabiniastą furmanką osadziła maszynę tak pięknie, że aż stuknąłem brodą w oparcie panienek.

– Taka jazda to jest wyśmienita – znów mi się wyrwało.

– Jaki on jest słodki, prawda Elżbietko? On musi z nami spać.

Przez moment mnie ścięło. Dobrotliwa Elżbietka spojrzała na mnie figlarnie, a zarazem ciepło.

– No wreszcie – pomyślałem – to jest chyba prawdziwa przygoda, interesujące dziewczyny. Otrząsnąłem się już z pierwszego niepowodzenia przy wsiadaniu i, żeby w końcu znaleźć się jak należy, palnąłem dyszkantem: – Ale ja śpię na golasa.

– Jaki on słodki, nieprawdaż? – powtórzyła łagodnie Elżbietka.

Ta druga, przy kierownicy, wyglądała na starszą i nieco zdenerwowaną.

– To jest mydłek – spointowała krótko.

Rozumiałem, dlaczego sobie panny ze mnie kpią – ot taka konwersacja, ale nie mogłem się domyślić, dlaczego jedna z nich naprawdę mi urąga. Niespodzianie dla mnie samego obudził się we mnie lew.

– Przepraszam uprzejmie – ma pani nad podziw pośladki, to fakt, ale to nie powód, żeby się do mnie dobierać.

– Ty, mały...

Była ode mnie wyraźnie młodsza.

Łagodna tym razem przyznała jej rację.

– My lubimy grzecznych chłopców.

Odwróciła się ode mnie do okna. Jechaliśmy dłuższy czas milcząc. Słysząc było tylko miarowy, precyzyjny mechanizm. Dobry to samochód volvo.

– Może pan chce cukierka miętowego? – niespodziewanie uprzejmie zwróciła się do mnie ponura Elżbietka znad kierownicy. Przyjąłem i ślamkałem bezmyślnie.

– Pan jest autostopowiczem? – agresywna dotąd dziewczyna przyjęła ton do złudzenia podobny do brzmienia głosu koleżanki.

– Nie, dlaczego? Właściwie to tak tylko wsiadłem.

– Porozmawiać trochę?

– Mhy.

– Rzeczywiście jest pan słodkim chłopcem, niepotrzebnie pana skrzyczałam. – Mówiła do mnie jeszcze jakiś czas delikatnie, wyrozumiale, ofiarowywała całą siebie, całą sensowność bytu, wszystkie rozkosze świata, utajone w tym jej intymnym, wyciszonym pół głósie, pół uśmiechu. Zupełnie jak jej koleżanka, która teraz posepna, nieobecna, śledziła szybkie pomykanie przydrożnych słupów, skamieniała w rozpedzonym aucie.

Mnie tymczasem coraz bardziej doganiały psy gończe myśli mojej żony. Wielkimi susami

gnały za samochodem. Nic dla nich nie znaczyła szybkość przecudownego volvo. Darły się: mleko kipi! Jeszcze nie wstałeś! Dziwkarz! Joasia. płacze – idź do niej! Raz ty byś się mógł ruszyć. A te dwie panie co tu robią? Przegryzę ci opony, przegryzę ci zaraz. Już nawet słysząc jak powietrze z sykiem ucieka ze wszystkich kół. Monotonny długotrwały szum – usunąłem.

17 lipca 1972

Filip tak jak przedtem gdzieś ganiał, tak teraz godzinami siedzi w domu i myśli. Nie można się do niego odezwać. Jest zupełnie niezrównoważony. Joasia raz go doprowadza do szału z byle powodu, to znowu szaleje za nią z ubóstwienia. Zmęczyły mnie te jego twórcze harce. Jak pisze, trzeba chodzić na palcach, a już pomyśleć, żeby coś wtedy zrobić – to w ogóle nie można. A jak coś napisze, chce mi zaraz czytać, kiedy ja nie mam czasu, więc się wścieka, że nie rzucam wszystkiego i nie słucham na baczność, co on napisał. Widzi on tylko to swoje pisanie, co jest na razie męczące i nudne. Zresztą w gruncie rzeczy, to on taki zły nie jest.

– Ja cholernie szanuję ludzką pracę. Rozumieją panie, byłem niedawno u kolegi geologa na otworze i przyglądam się jednej wiertarce, co boruje dziurę w ziemi. Świder taki, proszę pani, wchodzi czasem cztery kilometry w głąb albo i pięć, albo jeszcze głębiej.

Pokój trochę za ciasny jak na trzy osoby, tapczan rozkładany był za to szeroki, obok mała kozetka – napchali tych mebli. Młodsza Elżbietka brała prysznic. Druga przypudrowała nosek, odwinęła kołdrę na bok i spulchniła poduszkę. Jeszcze nie bardzo orientowałem się w sytuacji. Rozpięła spódniczkę, ściągnęła sweter – rozebrała się bez najmniejszego skrepowania.

Byłem nieco oszołomiony, postanowiłem jednak podtrzymywać konwersację i jakby nigdy nic kontynuowałem opowiadanie.

– Wiercą tak, proszę pani, cztery kilometry w głąb. W Związku Radzieckim to nawet prawie siedem, bo to urządzenia bardzo kosztowne i proszę sobie wyobrazić, jaka tam jest temperatura! Na pięciu tysiącach metrów płuczka normalnie paruje, a bez płuczki – pani wie – nie da rady; ani to nie wyciągnie urobku, ani to nie ochłodzi. Świder diamentowy kruszy się wtedy jak sucharek i co?

W drzwiach łazienki stanęła druga panienska, również naga.

– Doskonale się czuję. Znakomicie się odświeżyłam.

Położyła się obok koleżanki. Zacięło mi się sznurowadło, zasupłało na węzełek. Nie mogłem zdjąć buta.

– No co tak marudzisz? – odezwała się Elżbietka.

Położyłem się na brzegu łóżka przy jednej z pań.

– E, nie, tak nie będzie – zaprotestowała – kładź się w środku.

Głupio mi było jakoś, bo mi męskość narosła, więc leżałem między nimi i wciąż mówiłem:

– Takie wiertło, proszę pani, czyli świder, to jest bardzo – ciekawy instrument i kosztowny – wart jest prawie pół miliona złotych. Wykonuje taką pożyteczną pracę. A ja bardzo szanuję ludzką pracę. Amerykanie to nawet potrafią na osiem tysięcy metrów się zagłębić.

– Naprawdę słodki chłopak.

Pochyliłem się nad nią, przylgnąłem całym ciałem, zacząłem ją gorączkowo całować. Szybkim ruchem Elżbietka wyśliznęła się spode mnie. Dostałem w pysk.

– Słodki chłopak – przedrzeźniała Elżbietka–szofer.

– Tak się nie postępuje – wyrozumiale tłumaczyła mi moja pogromczyni – przecież jest pan grzecznym, kulturalnym chłopcem, nieprawdaż?

Mówiła to, jak gdyby się nic nie stało, jak gdyby to nie ona swoją małą, szybką rączką przeleciała po mojej twarzy. Nie wiedziałem, jak się zachować. Chciałem jeszcze coś dodać o przewodzie wiertniczym, o tym, że stal francuska, której używamy do tej historyjki, nie utrzymuje własnego ciężaru i tego całego wisiora, co się wdraża w ziemię, że stal japońska to zupełnie co innego, ale jej u nas nie ma, więc są trudności z zawieszeniem następnych rur i następnych; nie ma mowy o sześciu, siedmiu kilometrach, a co dopiero o biciu rekordu. Ale i tak takie wiercenie to rzecz nie byle jaka i warto się tym zainteresować, i warto o tym opowiedzieć... Nic już jednak nie opowiedziałem. Dotknąłem tylko rozpalonego policzka.

Długo jeszcze myślałem o tym, że praca humanisty to zupełnie inna praca, też pożyteczna, owszem. I wyobrażałem sobie, co może być pod ziemią i jak to taki długaśny wariat w niej się obraca. Cztery kilometry idzie się prawie godzinę, gdy się idzie na spacer po płaskim terenie na świeżym powietrzu, a tam...

Rozejrzałem się wokół siebie. Po moich obydwu bokach spokojnie spały Elżbietki niby dwa antyczne amorki. Ja jeszcze długo nie mogłem zasnąć. Wreszcie, kiedy już sen zaczął mnie przenosić w swe coraz bardziej mętne i odległe koncentryczne koła i jawa zacierała się na granicy świadomego i nieświadomego, uczułem czyjś delikatny dotyk. Poraziło mnie jak prądem, ale rozkosznie. To jedna z dziewcząt przesuwiała lekko palcami po moim karku i plecach. Była to ta młodsza, bardziej dla mnie wyrozumiała. Zamarłem w bezruchu, prawie nie oddychałem. Ręka, w której czaiła się cała dziewczęca ciekawość i tkliwość, przesuwiała

się powoli po moim ciele. Czułem, jak budzi się we mnie ochota. Wciąż jeszcze udawałem, że śpię. Mój krzykacz jednak począł się już wyraźnie wychylać i wpierać w wypiętą krągłość śpiącej Elżbietki. Dziewczyna poruszyła się z cichym westchnieniem. Powoli, jak najdelikatniej przekręciłem się na łóżku. Znalazłem się wreszcie twarzą w twarz z tą, której oddech wydał mi się przyspieszony. Trwaliśmy przez chwilę w znieruchomieniu. Zbliżyłem swe wargi do jej ucha, muskając je tak lekko, że nie byłem pewien, czy to mogła poczuć. Moje ręce wyciągnęły się same i odnalazły jej piersi, które dojrzewały dla mnie chyba już od osiemnastu lat. Dziewczyna przywarła do mnie ustami. Całowaliśmy się w pełnym skupieniu i ciszy, dbając o to, by nie obudzić drugiej Elżbietki. Miała ona jednak dobry sen. Nadal oddychała miarowo, nawet wtedy, gdy z zachowaniem jak największej ostrożności wgramoliłem się na jej koleżankę. Rozwinał mi się w pełni. Elżbietka ujęła go subtelnie. Musiałem zbyt silnie ścisnąć jej rękę, gdyż syknęła z bólu i powstrzymała swoje delikatne palców przebieganie. Było ono tak nieśmiałe albo też tak wyrafinowane, że znów znalazłem się nad niezgłębioną przepaścią, w którą runąć już miałem haniebnie i przed czasem. Jeszcze raz się jednak udało, ale dziewczyna nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Żeby to zatuszować i mieć czas na ostudzenie, wrażliwość jej między zęby swój język, dotykając podniebienia. Mnie to pomogło, bo specjalnie w tym nie gustuję, ją za to doprowadziło do wrzenia. Zaczęła obracać swoim ozorkiem i dyszeć tak namiętnie, a ręka jej znów odnalazła mojego pieszczocha, że już nic innego mi nie pozostało, jak tylko ją zrosić obficie. Kiedy poczuła, co się ze mną dzieje, dosięgnęły ją spazmy podobne moim. A przecież nawet nie zdążyłem właściwie się posłużyć moją zbyt szybkostrzelną bronią. Leżałem wzruszony, rozdygotany, zawstydzony, a ona przytuliła się do mnie mocno, mocno i nie wydawała się zła ani zawiedziona.

Mój sen. Mój sen był taki, że śniło mi się rżysko. Zwyczajne ostre rżysko, po którym uciekam na bosaka. Niesie mnie po tym rżysku bez pamięci, bez zrozumienia, a za mną, jak za jakim kombajnem albo samolotem, albo śmigłowcem, co sieje wiatr, dymny wiatr środków owadobójczych przeciwko szkodnikom, które chciałyby wszystko pożreć, zeżreć i przetrawić, wlecze się ogon ciemnoczerwony, może trochę brunatny. Już wiem – to nie żaden helikopter i nie dymny wiatr – to po prostu krew, smuga krwi z moich poranionych na rżysku stóp.

Biegnę wciąż po tym polu, żeby się od czegoś oddalić, ale nadaremnie, bo wciąż się przybliżam, chociaż nie bardzo wiem, do czego. W końcu widzę kępę drzew, a pośrodku nich dziewczynę, która w staromodnym męskim surducie gra na harfie. Jest piękna, jest tak piękna, że robi mi się czemuś żal, strasznie żal. Biegnę więc jeszcze szybciej i płacę, bo dziewczyna

jest taka piękna, a surdut taki staromodny.

Nagle przebiegam nad nią, chcę jej dotknąć, chcę ją mieć dla siebie, ale nie potrafię się zatrzymać, bo już jestem ptakiem, który sobie frunie i bardzo chciałbym, i bardzo nie mogę. Skrzydła ciężą mi ogromnie. Spadam z wysoka. I im bardziej spadam, tym dziewczyna robi się mniejsza, malutka, w końcu całkiem niknie. I jest tylko harfa, która strasznie jęczy, targa się sama na wszystkie strony. Gra w sobie Chopina. Tak – to ten polski powiew. Szumi mi w uszach Chopinem.

Natychmiast wyrastają maki. Czerwone maki ze wszystkich pól naszych i idą żołnierze, i niosą bohaterów zastygłych w posągi. Nie ma już mojej krwi na rżysku. Rżysko się rozpuściło w smutnej melodii, okropnie smutnej. I wtedy widzę znów harfistkę. Zrywa co prędzej z siebie surdut. To nie jest surdut – to są długie wierzbowe gałązki, zrywa te gałązki z siebie. A stoją wokół niej polskie chłopcy w siermięgach z kosami i ryczą z żalości, i rzewnie spoglądają. Wierzby i topole hen odpłynęły, a ona naga wchodzi pod rozedrganą harfę, a struna harfy spada z łoskotem, z dźwiękiem złowróżbnym zerwanej struny. I ten dysonans obcina głowę harfistce jak gilotyna. Szyja tak mnie boli, że się prawie budzę, ale jeszcze nie, jeszcze niezupełnie, bo widzę, że głowa harfistki toczy się, toczy prosto na mnie. Usiłuję uskoczyć w bok, ale nie mogę, bo oczy harfistki są oczami mojej żony i strasznie w milczeniu mnie strofują...

Rozglądałem się przez pewien czas nie bardzo wiedząc, gdzie jestem. Przez zaciągnięte w oknach zasłony wdzierało się słońce. Na stole poniewierały się plasterki wysuszonego sera i okruchy chleba z wczorajszej kolacji. Półotwarte drzwi od szafy, nieznośnie skrzypiąc, poruszały się to w jedną, to w drugą stronę. Po krawędzi nocnego stolika przebiegła pospiesznie długa mrówka z potężnymi szczękami. Skąd ona się tu wzięła? – pomyślałem „powierzchniowo”, chociaż w rzeczywistości myślałem zupełnie o czym innym. Tak – leżałem sam na wygodnym szerokim tapczanie. Elżbietki znikły.

– Mrówka chodzi po nocnym stoliku. Co ona tam robi? Dlaczego po stoliku? – Ani jedna z tych myśli nie dochodziła do mnie. Zatrzymywały się gdzieś w okolicach podkorowych. Wracały niezauważalnie jak refren natrętnej piosenki.

Tymczasem to, co było moim istotnym myśleniem, nie uformowane w słowa, nie zamknięte w skończone, pełne zdania, niepokoiło mnie, było nierozdzielne z niechęcią do tego szarego, nie wiadomo kiedy i gdzie rozpoczętego dnia.

Umyłem się, wykorzystując znalezione w łazience mydło. Wytarłem się używaną chusteczką i wyszedłem na podwórze. Stał tam przybrudzony nieco, ale kształtny samochód

Elżbietek – volvo. Drzwiczki były nie zamknięte. – Są pewnie gdzieś niedaleko – pomyślałem. – Zaraz przyjdą. – Wgramoliłem się do środka. Zielony diabełek wisiał jak wczoraj ze spuszczonego chwostem. Stuknąłem go lekko, zachwiał się i zadzindolił o szybę.

Miałem ochotę jak najszybciej stąd odjechać. Znowu goniło mnie, nie wiadomo dokąd. Przesiedziałem w aucie około godziny. Nie wracały. Musiały wypuścić się do jakiegoś sklepiku. Właściwie nie wiedziałem, dokąd jada. Było mi to zresztą obojętne – byle dalej, byle do przodu. Ciekawa noc. Dlaczego kazały mi ze sobą spać? Dziwne dziewczyny. Elżbietki – dlaczego obydwie Elżbietki? Mogłyby już wrócić. Wyszły bez uprzedzenia. Zostawiły mnie w tym dusznym, obrzydliwym pokoju z drobnomieszczańskimi firankami. Pewnie nie chciały mnie obudzić. Ładnie to z ich strony – takie delikatne. Całkiem niepotrzebnie pozują na kobiety wolne od wszelkich przesądów. Chcą być zupełnie naturalne, a to jest właśnie najbardziej sztuczne. Ale poza tym miłe dziewczyny – zwłaszcza ta, co mi tak przygrzmociła, no a potem... To był prawdziwie szczerzy odruch. Mógłbym się z nimi wybrać gdzieś na kilka dni. Mają całkiem przyjemne buzie, że nie wspomnę już o..., może są nawet niegłupie. Zresztą to nieważne. Byle dalej, byle jechać – uciec od tego nudnego pensjonatu, w którym się gnieździ mój kochany grzechotnik z tysiącem spraw codziennych, z tysiącem pretensji pod moim adresem, nie wypowiedzianych nawet, szczelnie ukrytych, od czasu do czasu sączących się jak trucizna. Byle uciec od codzienności, od potoczności życia, od cudownego obowiązku bycia mężem, ojcem, od tego przygnębiającego monotonna zaklasyfikowania – od siebie samego. Nuży mnie własna tożsamość. Gdyby się wyzwolić z siebie, ale jak? Niemożność bycia kimś innym najwyraźniej odczuwam, przebywając z bliskimi. Wtedy szczególnie jestem taki, jaki jestem, mam przyprawioną gębę nobliwego ojca, a to śliczne dzieciątko, co mi się wdzięcznie płacze pod nogami, jest moim dzieciątkiem i to niebezpiecznie fajnym.

Więc tym łatwiej dać się wciągnąć, przyznać do ciepłego rozmemłania, dać się upuścić, dać sobie w rękę włożyć butelkę ze smoczką, u którego uwieszone, tak uroczo wessane jest Ono. Uciec by od tego, co być powinno, od przykładności wszelkiej, bo poza nią nic się nieoczekiwanego nie zdarza. No bo jak można iść ulicą, popychając przed sobą wózek, i zaczepiać przy tym kilkunastoletnie dziewczyny? Jak można nagle odepchnąć ten wózek i zrobić obok na trawie mostek lub gwiazdę, albo też wpaść między zgrają uganiających się za piłką chłopaków i również się za nią ugonić – z całą pasją rozkoszować się trzepotaniem siatki, kiedy wbiło się gola własną ojcowską nogą?

Stateczność ubrana w długie spodnie, uczesana z równym przedziałkiem spogląda na niezauważalną, stopniową śmierć szczeniaka. A to również stopniowa śmierć człowieka,

który nieoczekiwanie chciałby się wciągnąć do walki politycznej z jej wszystkimi konsekwencjami, albo pojechać na trzy lata na Antarktydę, żeby obserwować zachowanie tłustej foki i lwa morskiego, badać zimne prądy powietrzne i przeżywać trzaskającą zielonymi iskrami mrozu długą polarną noc.

Dyscyplina – duchowa dyscyplina, to słowo, które mnie przeraża. Nikt go właściwie przy mnie nie wypowiada, ale czuję, jak mnie omotano aluzją wokół tego słowa. – Mąż mojej kuzynki Adelki jest człowiekiem zupełnie innego pokroju niż ty. On dba, on wie – to jest człowiek poważny, nawet sam zmajstrował szafkę na papucie domowe, jest zresztą w komitecie rodzicielskim, poza tym nosi zegarek na łańcuszku. Tak – mąż kuzynki Adelki jest człowiekiem innego pokroju. A Jacek, mąż Barbary, cały swój miesięczny urlop... a do tego śniadania..., a do tego swoje skarpetki..., a nawet...

Rozlało się w naszym domu takie lepkie bajoro, w którym jak taś-taśki możemy się chlapać i mazać pupy błotem.

– To ten, to ten! – krzyczy baba, wskazując palcem w moim kierunku. Biegnie ku mnie z tym groźnie wyciągniętym szpikulcem.

W bramie pojawiają się nieco powolniejsi od niej dwaj milicjanci i cywil. W babie rozpoznaję właścicielkę wynajętego przez nas mieszkania.

– Od razu mnie tknęło – sapie nade mną zażywna gospodyni.

– Proszę dowód osobisty – milicjant ma cienki głos. Czego oni chcą? Po co ta baba ich tu sprowadziła?

– Słucham?

– Wyłaż pan stamtąd. Gdzie dowód?

– Właśnie, gdzie dowód? Nie mam dowodu, panie posterunkowy.

– Pan pozwoli z nami.

Mają służbowe twarze, służbowe spojrzenia.

– To chyba jakaś pomyłka – próbuję oponować, ale drugi milicjant już otwiera drzwi samochodu. Baba tymczasem wciska mu się pod pachę i jak dobry myśliwski pies aportuje władzy. – To ten! – od razu wiedziałam. Od razu mi się to całe towarzystwo nie spodobało. Pan wie, panie milicjancie, jak to jest – człowiek zaufa, da drugiemu schronienie, dach nad głową...

– Ale chyba nie z czystego serca – sierżant próbuje powstrzymać agresywną kobiecość.

– ...Nową pościel powłóczy, a samo pranie to nie kosztuje? A posprzątać nie trzeba, firankę czystą powiesić, lampkę nocną zreperować, żeby takim lepiej się było barłoczyć? A



tak, tak – łóżeczko tego pana, proszę pana milicjanta, w ogóle nie tknięte, proszę sprawdzić. Równiutko, tak jak zasłalam, kołderka leży, jak śnieg biała, prześcieradełko nawet nie zmarszczone – świeże, jak mi Bóg świadkiem.

- Gdzie współniczki? – pyta mnie cywil.
- Co proszę?
- Niech pan się nie wygłupia. Gdzie się podziały te panienki?
- Elżbietki?
- Może i Elżbietki. Jeszcze nie zidentyfikowane.
- Nie wiem.
- Dobrze. Porozmawiamy w komisariacie. Idziemy!

Historia, która wprawiła mnie najpierw w głębokie zdumienie, zaczyna mnie śmieszyć. – Wprawdzie nie wybierałem się dzisiaj na komisariat, ale skoro panowie nalegają, chętnie ich odprowadzę.

- Ej, inteligent – zamknij dziób.
- A może by mu dołożyć? – ofiarowuje swe usługi milczący do tej pory kapral. Cywil nie zwraca na niego uwagi.

Po czym on poznał, że ja jestem inteligent? Pewnie inteligentnie wyglądam.

- My z takimi nie patyczkujemy się – dorzuca groźnie cywil.

Nie wątpię w to, więc już bez słowa, pokornie, daję się prowadzić przez bramę prowadzącą na ulicę. Za nami ujada babsztyl:

- Ale za to ten szeroki tapczan, to mówię panom, panowie władza – taki zbarłożony, że istna gehenna. Tabun koni jakby się po nim przebiegł, to by tak nie zbarłożył.

Baba trzeszczy bez przerwy. Jestem prowadzony. Ludzie się za nami oglądają. Wydaje mi się, że Oni jednak mają rację. Jest przecież jakaś niewidzialna karząca ręka, jakaś moralność absolutna, która bez odwzajemnienia poniewierać się nie pozwoli. Przypominam sobie minioną noc. Kobieta mówiła prawdę – moje łóżko zostało nie tknięte. Za to trzeba ponieść odpowiedzialność. Przypominam sobie wszystkie zdjęcia nagich dziewcząt, wszystkie zdjęcia dziewcząt w najrozmaitszych pozach, a nawet zdjęcia dziewcząt z Murzynami i karty japońskie, i karty szwedzkie, którymi grałem u jednego kolegi. Przed oczami przesuwają mi się moje piękne, nieprzyzwoite marzenia, wszystkie te historyjki, które sobie mężczyzna po cichu przed snem układa, które sobie z zamkniętymi oczami opowiada bez słów. Wiem, że to nie średniowiecze i że sala tortur z kołem do łamania kręgosłupa na mnie nie czeka, ale przecież jakaś sprawiedliwość musi w końcu być. W komisariacie za to wszystko dadzą mi porządnie w dupę, za to moje uciekanie i za mocno niepobożne chęci.

– Ech, te zafajdane małe miasteczka! – wymknęło mi się niespodziewanie. Milicjanci przystają.

– Panie poruczniku – zwraca się do cywila kapral – a może mu jednak przyłożyć?

Cywil, łysiejący blondyn, patrzy na mnie smutno, nawet melancholijnie, poprawia swój cywilno-milicyjny krawat. Idziemy dalej.

Mam typową zgagę. Co ja u licha jadłem? Właściwie to ja dzisiaj jeszcze nic nie jadłem. Wskoczyłem szukać Elżbietek i zapomniałem o śniadaniu. Aha, już wiem, po czym mam zgagę – to wczorajsza golonka. Bardzo to lubię. Kiedyś przez pół dnia szukałem golonki w mieście Łodzi. Obleciałem wszystkie znane mi jadłodajnie, bary samoobsługowe, restauracje – figę, nie znalazłem. Dotarłem wreszcie do obskurnej knajpy pod tytułem „Golonka”. No to jesteśmy w domu – pomyślałem i przy mało wykwinłym stoliku zamówiłem golonkę.

– Nie ma – brzmiała odpowiedź. Miałem twarz człowieka nieszczęśliwego. – Panie – powiedziałem – panie, przecież to jest restauracja „Golonka”. – Nomen omen – zaśmiał się wykształcony kelner.

– Panie – powiedziałem – ja tu przyjechałem prosto z Warszawy. U nas, proszę pana, nigdzie nie można dostać golonki. Pan wie, co to znaczy dla smakosza?

– Wiem – odpowiedział kelner. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej poplamione zdjęcie, zużyte przez częste oglądanie. Była na nim młoda, dość tłusta Mulatka.

– Całe życie, proszę pana – może mi pan wierzyć lub nie – marzyłem o Mulatce. Miałem wyraźny smak na Mulatkę, całkowicie zadeklarowany – ciągnął kelner.

Patrzyłem na niego ze zrozumieniem. Mulatki to dla nas egzotyka. Są zresztą pociągające. – Mulatki, muszę się przyznać, jeszcze nigdy nie miałem.

– A ja miałem i mam – powiedział jegomość w białym fartuchu. Stuknął palcami w zdjęcie. – Tak. To jest moja żona. – Podrapał się w głowę, nie wiedział, czy ma być zadowolony z siebie, czy nie. – Ot... widzi pan.

Po niespełna półgodzinie przyniósł mi golonkę. Jakoś straciłem na nią apetyt.

Wczoraj jednak na drodze do Wejherowa na golonkę miałem wyraźną ochotę. Podano mi z kartofelkami, kapustką i musztardą, ale była trochę za tłusta, więc mam zgagę.

– Nie ma obywatel dowodu osobistego – słyszę głos wysokiego funkcjonariusza – nie chce obywatel powiedzieć, jak się nazywa i gdzie mieszka. Usiłuje obywatel na ten przykład wprowadzić nas w błąd i nie chce ujawnić nazwisk współniczek ani miejsca, do którego się udały. To wszystko przemawia przeciwko obywatelowi. A na ten przykład, dlaczego obywatel się tak upiera? Niedługo wszystkie nici będziemy mieli w rękach.

Więc po nitce do kłębka – myślę sobie od rzeczy. Z państwowego portretu spogląda na mnie dobrotliwie uśmiechnięta życzliwa twarz. Cóż może mi się stać złego? Mam prawo do ewolucji. Przecież pragnę tylko zmiany własnej osobowości – czy mi nie wolno? Nie przyznaję się do siebie, bo chcę być kimś innym. To nawet dobrze o mnie świadczy. Na krytyczny do siebie stosunek nie każdy może sobie pozwolić, a tym bardziej na wyciągnięcie tak radykalnych wniosków i zastosowanie ich w praktyce. W żadnym wypadku nie zgodzę się na rozszyfrowanie własnej tożsamości. Już jej zresztą nie mam. Przecież nie na darmo tyle kilometrów uciekałem przed sobą. Niech mnie zamkną, jeśli chcą, a nie powiem, kim byłem – nie przyznam się do niczego, ani do nadmorskiego pensjonatu, ani do nadmorskiej plaży, po której obydwie wdzięcznie hasają moje panny prześliczne, domowe.

Niech mnie zamkną o chlebie i wodzie, a nie powiem, dlaczego znalazłem się na wejherowskiej szosie w towarzystwie Elżbietek i w domu tego grubego grzydła, hycła i babsztyła. Sam zresztą tego nie wiem. I nie powiem. Naczelnik stuka ołówkiem w biurko śledcze. Aby dodać sobie otuchy, spoglądam na życzliwą, dobrze mi znaną twarz z portretu. Niech mnie nawet zamkną – i tak będę wolny. Właściwie dopiero wtedy będę wolny, prawdziwie wolny!

– Jak się obywatel nazywa? Pytam po raz ostatni. – Naczelnik surowo marszczy czoło, ołówek wraz z ręką zawiesił w powietrzu, głos również, patrzy na mnie mało przychylnie.

– No tak – jest obywatel oskarżony o współudział w kradzieży samochodu osobowego marki volvo oraz rodzinnego kilimu wełnianego. Pieczętuje to uderzeniem ołówka w pulpit.

– To znaczy, że ja... ja i Elżbietki...?

– Są to córki jednej z wysoko postawionych osobistości – będziesz miał pan pasztet. Ponieważ dość wcześnie obydwie panienki wykazały skłonność do deprawacji, typowej dla złotej młodzieży, zostały więc na ten przykład oddane pod opiekę siostrom zakonnym, ale zbiegły... i obywatel za to odpowie! – maczał w tym palce.

– Nie maczał! – sprzeciwiam się gwałtownie. Władza spogląda na mnie takim okiem, że te najbardziej kąśliwe, żółte mrówki przebiegają mi przez krzyże. Czuję się do tego sromotnie oszukany przez Elżbietki.

– Tak – to ja już, panie naczelniku, do wszystkiego się przyznam. Od czego by tu zacząć?

– Aha – ja, panie naczelniku, mam jedną taką żonę...

Słońce przebiło się znowu przez nikłe obłoczki. Plaża zaroila się tysiącem kochanych nagusków. Leżę wśród nich i w głowie mi się mąci. Żona stoi nade mną, strzepuje z siebie piasek.

– Filipie – mówi troskliwym głosem. – Niedobrze jest tak długo przebywać na słońcu. Co się stało, żeś się tak wcześnie zerwał dzisiaj z łóżka? Może się źle czujesz? Oczy ci się świecą.

– Gdzie ja właściwie jestem? Aha, w tym samym grajdołku. Leżę nieruchomo od wielu godzin, a czuję się, jak gdybym odbył jakąś daleką podróż.

21 lipca 1972

Samoloty wciąż nam latają nad głowami. Joasia pada przed nimi plackiem, chowa głowę w piasku i płacze. Dziecko jest nerwowe. Filip mówi, że to swoisty atawizm. To podobno on przekazał Joasi tradycje pokoleniowe, bo zachowywał się tak samo jak ona, kiedy leciały meserszmity. Chował się w kartoflisku i czekał. Miał wtedy tyle lat, co Joasia teraz. Ciekawe, co ja w tym czasie robiłam. Pewnie byłam zwyczajnym nierozumnym dzieckiem. Samoloty latają bez ustanku, jutro 22 lipca – święto. Dla mnie nie ma świąt. W moim życiu wszystko się zgadza z programem współczesnej przeciętności: wakacje, chłopak, kilka lat dojeżdżającej miłości – studia, dyplom, po roku dziecko, wreszcie spółdzielcze M3. I już wydawać by się mogło, że koniec pośpiechu, zaniedbania; ale to się dopiero zaczęło. Nie mogłam sobie dać rady – myślałam, że mi pomoże... Taka nadzieja okazała się z mojej strony bezczelnością. Nie starałam się go zrozumieć, nie zabiegałam. Poczul się opuszczony. Pieluszki, zupki, higiena. Wszystko według zegarka, do tego praca zawodowa. Nie miałam czasu dla męża, już go więc nie kochałam. A on – do kina, na spacer, czasem coś pisał... – Jak wiedziałaś, że jesteś taka niezaradna – mówił – to nie trzeba było rodzić dziecka. – Teraz już nic od niego nie chcę. I to też ma mi za złe. Wrażliwy jest na siebie. Każde swoje ziewnięcie muszę uzasadniać. Rzygać mi się chce od tej jego precyzji.

Milczę, na wszystko milczę. To go gniewa najbardziej. Dowiaduję się wtedy, że jestem półinteligentką, nie mam świadomości i jestem klasycznie przeciętna! Jestem uśpiona intelektualnie i erotycznie. Ale jak się człowiek pochyla nad praniem i pot mu się leje po plecach, to nawet nie ma siły myśleć o rozwodzie.

Na komendzie milicji. Uginam się jak paproć na wietrze pod spojrzeniem wyższego urzędnika, jeszcze wyższego niż naczelnik, który mnie przesłuchiwał. Jestem pewny, że teraz dadzą mi porządnie w dupę. Patrzę na świat spode łba. Cisza. Spoglądają na mnie pełni apriorycznej wiedzy. Jedyne na twarzy wyższego urzędnika, nie wiedzieć czemu, pojawia się sceptyczny uśmiech. Cisza przedłuża się. Przerywam ją niespodziewanie dla samego siebie. –

Owszem, należy mi się.

– Wypuścić. – Głos wyższego urzędnika nie dopuszcza sprzeciwu.

– Jak to? – dziwi się decyzji zwierzchnika śledczy.

Wyższy urzędnik wstaje. Sprawa wydaje się skończona. Budzi się jednak we mnie sprawiedliwy protest. Usiłuję wytłumaczyć prokuratorowi, że już pogodziłem się w duchu z karą, jaką powinni mi wymierzyć, że już ją zaaprobowałem, jest mi nawet potrzebna, z moralnego punktu widzenia...

Wypychają mnie za drzwi, każą iść do wszystkich diabłów i nie zadawać się więcej z podejrzanymi obywatelkami. Daremnie staram się im wytłumaczyć, że takie panienki potrafią jednak wciągnąć – i owszem – wciągnęły mnie, tak, tak – Bóg wie, w co mnie wciągnęły. Domyślałem się nawet, ale jestem zadowolony, wcale nie żałuję i dlatego należy mi się kara. Spałem, tak, spałem z obydwoma obywatelkami naraz, zbecześciłem, byłem i jestem ewidentnie niemoralny. Gospodyni miała rację, zbarłoczyłem, a moje prześcieradełko zostało nie tknięte. To wszystko jest jednak drobiazgiem przy tym, co ja sobie jeszcze wyobrażam i co zrobię, jak tylko będę mógł, jeżeli mnie zaraz nie zamkną, więc lepiej, żeby jednak zamknęli. Potrzebny jest mi zimny prysznic, bo inaczej się zdeprawuję i będę deprawować wszystkich dookoła. Milicjant macha ręką – odgania mnie jak natrętną muchę. Władza widzi, że mnie wyraźnie stuknęło. Mam się stąd zabierać i nie przeszkadzać im w odpowiedzialnej służbie.

– Jeszcze o mnie usłyszycie! – wołam na koniec.

Wyprowadzają mnie poza obręb budynku komendy. W tej chwili nadjeżdża szybki samochód volvo. Uderza w parkujący opodal wóz milicyjny. Wyskakuje z niego dwóch mężczyzn w ciemnych okularach. Jeden ma głowę w białym imadle – jest bardzo stanowczy i energiczny. Chwytają mnie z dwóch stron pod ręce i na oczach zdumionych milicjantów uwożą przecudownym volvo. Milicjanci jednocześnie wyjmują gwizdki. – „Uderza w parkujący wóz milicyjny”. – Przesadziłem. Wyobraźnia powiodła mnie szlakiem gangsterskich komedii filmowych. Co ja na to poradzę? – Mogę skreślić. Ten człowiek z głową w imadle?! – Potrzebny mi jest. Pomieszanie stylów, pomieszanie płaszczyzn! Co jest u licha prawdziwą akcją? Może to moda na pomieszanie. Trudno. Kto chce, czyta dalej. Chwytają mnie z dwóch stron pod ręce i na oczach zdumionych milicjantów... nie widziałem zdumionego milicjanta, jak żyję, nie widziałem takiego milicjanta... Wyjmują gwizdki i gwizdzą. To już bardziej prawdopodobne...

Dopiero w aucie nieco przytomnieję. – Panowie, o co chodzi? Co ja zrobiłem? – Elżbietki – lakonicznie informuje gangster w imadle. Kulę się pod wrażeniem tego imienia. Nagle

zdecydowanym ruchem otwieram drzwiczki samochodu. Klaps! Mokra plama! Jaki jestem ładny. Ech! Gniotę w rękę świeżo zapisaną kartkę.

Położyłem się w tym samym grajdołku, co rano. I znów powolne otepianie spływa na mnie ze słońcem, niebem, ze złotym piaskiem. Już od dłuższego czasu przestałem zwracać uwagę na kształtne biodra dziewcząt, które zgrabiejsze wydają się w sukienkach. Odpoczywam, sam nie wiem, po czym. Leżę beczynnie, słucham morza, które gdzieś powoli odpływa ode mnie, mruczy jeszcze obok jak kot. – Dzień dobry panu. Pan mnie poznaje?... – Widzę od dołu długie nogi, gładkie opalone ciało w zielonym, kusym kostiumiku. Na tle żrącego w oczy nieba widzę blond włosy. – Uśmiecham się trochę niepewnie. Tak, to ona – Elżbietka.

– A gdzie siostra? – pytam trochę głupio, bo niby dlaczego ma być przy niej siostra?

– Pan mnie chyba nie poznaje. Jestem Elżbietka. Ja nie mam siostry.

– Tak, ty masz chłopaka, zdaje się, że masz takiego ładnego chłopaka ze skuterem.

– To przecież... A może pan... Ja zresztą już z nim nie chodzę.

– Pani jest taka młodziutka.

– Proszę mi mówić po imieniu. Rzeczywiście, jeszcze nie jestem zbyt stara – dziewczyna uśmiecha się do mnie.

– Siadaj sobie na kocu, porozmawiamy trochę... Ładnie się opaliłaś, nie? A co się właściwie stało z tym samochodem? To wyście go świsnęły? Co ja gadam? Poplątałem w tym słońcu.

– Nie rozumiem. O czym pan mówi?

Elżbietka patrzy na mnie podejrzliwie. Domyśla się pewnie jakiegoś żartu. Może sobie chce z niej zakpić? Rzeczywiście. Czego ja od niej chcę? Jaki samochód miała świstać ta grzeczna dziewczynka? Ten cywil w śledztwie, co mi się przyśnił, musiał być dobry nicpoń.

– O czym pan mówi?

– E nic, nic, to taki film.

Jest trochę zawiedziona. Rozchmurza się jednak szybko.

– Niech pan opowie.

Czego ta mała mnie męczy? Spojrzałem jej w oczy. Ciekawe, zalęknione trochę.

– Był taki film – wiesz, o dziewczynach, które ukradły pierwszorzędny samochód, ukradły, bo się bardzo nudziły. Dlatego, że tatuś był dyrektorem wielkiego zakładu albo nawet wiceministrem i był pograżony w swoich sprawach. Nie miał czasu się nimi zajmować. Chciał mieć spokój, kupował im na gwiazdkę samochód albo jacht, żeby po jeziorze mogły popływać, albo rzutnik włoski i filmy przyrodnicze o dalekich krajach, byleby się tylko same

sobą zajmowały, a jemu dały spokój, bo on miał dużo ważnych spraw państwowych i gruźlicę kości. Panienki ślicznie dziękowały, całowały tatusia w oba policzki, brały aparat filmowy włoski – ósemkę super, filmy pornograficzne od pewnego młodego kleryka, co niedawno skończył seminarium, i chłopców do tego jachtu. Chłopcy przynosili dużo wódki, prawdziwe łuki sportowe i kilkanaście psów wykupionych od hycła. Zaczynała się dobra zabawa. Wyptywali na środek jeziora, pili koniaki i drogie gatunkowe wódki, oglądali filmy, na których były takie rzeczy, że nawet nie mogę ci opowiedzieć. – Niech pan opowie. – Jak przychodziła noc, wrzucali psy do wody – liczyli do dwudziestu i z tych swoich sportowych łuków strzelali do nich przy świetle księżycy i japońskich latarek. Na drugi dzień znajdowano psa zdychającego na plaży, a potem woda wynosiła jeszcze inne zabite, ze strzałami w ciele, więc czytało się w miejscowej prasie o wybrykach chuligańskich nad jednym jeziorem.

– Nie widziałam tego filmu. To bardzo ciekawe. – Elżbietka patrzy na mnie z uwagą. – Niech pan powie, jak to się skończyło.

– No, skończyło się, wszystko dobrze się skończyło. Jedna z Elżbietek zakochała się w drwalu, który niedaleko jeziora ścinał sosny. Był to prosty mężczyzna, ale piękny i muskularny. Zobaczył ją raz, jak podpałała mrowisko – zbił ją mocno po twarzy, aż upadła i upadając uderzyła się o pień ściętego drzewa, więc zemdląca. Zaniósł ją do swojego domku w lesie, cucił, przyłożył kompres, a potem kochał.

– Dlaczego kochał? Jak kochał?

– No, to są szczegóły.

– Ja chcę szczegóły – prosi dziewczyna.

– Widzisz, to było tak: otworzyła oczy, kiedy się nad nią ten drwal pochylał. Spojrzała na niego tak dziwnie, powiedziała, że przeżyła to po raz pierwszy, i zaczęła całować go delikatnie – po ręce, coraz wyżej, po jego lśniących mięśniach, które pachniały lasem, szczególnie żywicą. I on wtedy zgłupiał. Chciał się od niej uwolnić. Otrząsnął się zbyt gwałtownie. Wtedy się rozpląkała. Drwal chodził po izbie, drapał się w głowę, mleko jej podsuwał, prosto od krowy, chleb z miodem – nie pomagało. Dziewczyna płakała coraz rzewniej. Usiadł więc na skraju łóżka, delikatnie, żeby znowu nie skrzywdzić, we włosy jej podmuchał, łzy kciukiem grubym lekko ocierał. I sam nawet nie wiedział, kiedy się pochylił jeszcze niżej i kiedy zaczął ją całować i pieścić. Wtedy kamera zaraz z nich zjechała i tylko było widać, jak iskry w kominku trzaskają, a drewno skwierczące tak się ślicznie wykręca, wyłamuje i przepada w złotych językach ognia. A potem to już ona stanik zapinała, a drwal dłużył w zębach.

– To pewnie był polski film – przerywa mi Elżbietka.

– Nie pamiętam, może i polski. Odmieniło się życie tej siostry, co z tym drwalem, rozumiesz... Znalazła w tym człowieku coś prawdziwego, twardego, a jednocześnie coś naiwnego, coś, co ją pociągało. Chodzili razem na grzyby, doili krowę. Dziewczyna przynosiła mu do lasu śniadanie i całymi godzinami patrzyła, jak ścina drzewa. Odnaleźli ją kiedyś przyjaciele – ta paka od zabaw na jachcie, strasznie się ucieszyli, tańczyli na polanie, siostrzyczka rozebrała się przy ognisku.

Patrzył na towarzystwo drwał okiem podwójnym – trochę jak na niemądre dziwotwory, trochę jak na bajkę, pociągającą nieznanym pięknem. Druga Elżbietka zaczęła kokietować człowieka lasu, pociągnęła go za sobą w gęstwinę.

Na drugi dzień tej pierwszej już nie było. Zniknęła bez śladu. Towarzystwo również zabrało się do miasta. Drwał zbierał porzucane butelki, zamiatał izbę i wzdychał. Wszystko wydawało mu się nieprawdą. Przeżegnał się i poszedł ścinać następną sosnę. Robota mu nie szła... Wbił siekierę w drzewo i siadł na pniu.

Tymczasem Elżbietki odnalazły siebie. Nudziły się znowu jednakowo, bawiły się tak samo. Raz ukradły dla draki jakiś samochód, zdaje się marki volvo, i pojechały nim nad morze. Tam spotkały człowieka, który uciekał od wspomnień. Opowiadał im wciąż o wojnie, o tym, jak się palił w drwalce, z której nie umiał się wydostać. Do tej pory ma bliznę na głowie i musi nosić perukę. Elżbietki kazały ją zdjąć, strasznie mu współczuły, przychylnie potakiwały, a potem nagle wylały mu sok malinowy na łysinę i z krzykiem „Płonie stodoła!” uciekły na podwórze. Sok lał się facetowi po brodzie, po szyi, po tej wojennej bliznie i po policzkach, po których również płynęły łzy.

A Elżbietki smarowały już samochodem, że hej! Wydawało się im, że je goni milicja, że już słyszą syrenę...

– Prędejj, prędejj! – przynaglała jedna, chociaż nikt nie gonił. Druga, przy kierownicy, śmiała się bez przerwy i dodawała gazu. – Ależ miał fajną minę ten przedwojenny cymbał – śmiała się coraz głośniejj. – Wiesz co, siostrzyczko?

– pojedziemy do Szwecji – chcesz? Nasz samochodzik też jest szwedzki, to mu wolno, przeskoczmy sobie morze i pojedziemy do Szwecji – i przestała się śmiać.

A droga zrobiła się kręta. Samochód jęczał na wirażach. Druga Elżbietka zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Ej, ty, nie wyglupiaj się, zbastuj! – Przecież nas gonią – obojętnie odpowiedziała siostra znad kierownicy. – Nikt nas nie goni, tylko tak mówiłam. – I właśnie wtedy od rogatki naprawdę oderwał się wóz milicyjny. – Nic się nie martw – uspokajała siostra siostrę. Oni nie mają takiego rozpędu. Wydawała się pobłażliwa, rozmarzona. – Pamiętasz tego drwala?



Ładny był. Może to właśnie to, czego nigdy nie umiałam odnaleźć, może to właśnie było to?  
– Druga Elżbietka już się nie odzywała. Widać było, że się boi, naprawdę się boi. – Wszystko ma sens, dopóki ma się przed czym uciekać – mówiła ta przy kierownicy. – A my...

– Nie wygłupiaj się – powtórzyła ta obok.

– Aha, jest jeszcze jedna sprawa... – Samochód otarł się o coś, zazgrzytało, przeleciał na drugą stronę szosy i wpadł z urwiska do morza. Film kończył się wyciem syreny nadjeżdżającego wozu milicyjnego i rozrzedzonymi na ekranie, oślepiającymi światłami reflektorów.

– Ładnie to pan opowiedział. – Moja mała Elżbietka wcale się nie dziwi, że od dłuższego czasu głaszczę ją po ramieniu. Sam to zresztą dopiero teraz dostrzegam. – Jak pan zaczął opowiadać, to pan mówił trochę inaczej, innym stylem, trochę chyba mniej poważnie.

Niegłupia dziewczyna. Jest taka młoda i te szybkie, bystre oczy. Chyba zielone. Tak, ona ma rację. Podniecam się swoim opowiadaniem. To się odbija na stylu. Zacząłem od niechcenia, coś wypadło powiedzieć – no i z tym ukradzionym samochodem wygłupiłem się zdrowo. To już tak zwykle bywa – bohaterów swoich traktuje się najpierw z przymrużeniem oka, a potem poważniej, jak nieco bliższych znajomych. O psiakrew! Skrzywiłem się. Zauważyła. Akurat musiało mnie złapać. Tyle czasu sam leżałem w grajdole i nic...

– Chciał pan coś powiedzieć? – Nie, nie. Tak mi tylko coś przeszkadza, ale to zaraz przejdzie. O... już dobrze. Uśmiecham się i ona też się uśmiecha – jakoś tak dziwnie, przyjaźnie. Patrę na nią jak szczeniak, prosto w oczy, i znów mi się kręci w głowie, ale zupełnie inaczej, od czego innego.

– Wydaje mi się, że mógłbym się w tobie zakochać. – Palnąłem. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie.

– Wie pan co, ja bardzo nie lubię, jak mi się to tak od razu... W ogóle nie lubię. I żeby to kto inny powiedział, to bym przypuszczała, że się nudzi na plaży. – Umilkła. A już się we mnie tak rozszumiało. Czuję, jakby mi coś umknęło i tak mi się zrobiło nagle byle jak. Czego ja właściwie chcę? – otrząsam się szybko.

– Owszem, banalny jestem facet! – głos mój jest cierpki. – Ale i ciebie nie stać na nic więcej niż układne „dzień dobry”.

– Niech pan tak nie mówi, bo mnie stać i na „do widzenia”. Elżbietka prostuje się – jeszcze nie wstała, ale już gotowa, oczy jej się świecą. Nie chcę, bardzo nie chcę, żeby odeszła. Chciałbym jej tyle opowiadać, tyle cudownych rzeczy powiedzieć, wymyślić nowy film, całą powieść, i patrzeć, jak prawdziwie słucha, jak umie słuchać oczami. Ile w nich ciekawości – zupełnie inaczej niż u żony albo u kolegów, którzy sami piszą i są redaktorami. Z nimi można

mówić tylko o dziewczynach albo pić wódkę, a w najlepszym razie od niechcenia poetyzować takie codzienne o tym i owym fabułki. Elżbietkę mogę naprawdę zainteresować, zaprowadzić ją tam, gdzie sam jestem myślami. Nie, chyba się oszukuję. Durna dziewczyna, prostuje się urażona, chce odejść, dlatego tylko, że przez moment, niespodzianie dla nas obojga... – Co jest bardziej uczciwie: iść do łóżka z nową dziewczyną, która pociąga, czy z tą, której już masz dosyć? A czas? Po jakim czasie jest uczciwie? Ja, proszę pani, dzisiaj spojrzę pani w oczy, jutro wezmę za rękę, a dopiero potem...

Oczywiście, nie można tak z każdym, ale ze mną można, niech pani mi wierzy... Ze mną w ciągu dwóch dni przeżyjesz więcej, bardziej prawdziwie, niż z innym całe lata. Względność czasu zależy nie tylko od teorii Einsteina, ale również od nasycenia treścią, od siły przeżycia. Spróbujmy, Elżbietko. Z tobą jest mi tak świeżo i dobrze. – To wszystko nie wypowiedziane, lecz słyszę głos mój twardy: – Owszem, nudzę się tu na tej plaży... Wybrałbym się z tobą na jakąś daleką wycieczkę, do cichego pensjonatu. Wieczorem zapalilibyśmy sobie świeczki, zasunęli seledynowe zasłony, rozebrali się i położyli obok siebie. Ja bym ciebie nie dotykał, tylko bym cały czas myślał, że ty tu, tak blisko koło mnie, masz siedemnaście lat i trochę się boisz... mnie, swoich łagodnych piersi, swojego ciała, które ci może być nagle odebrane. I nic bym nie mówił, wcale bym nie mówił, że cię kocham, że mi się podobasz – bo to wszystko jest takie nie do wymówienia. – Ze zdziwieniem czuję rękę Elżbietki. Dotyka mojej dłoni, ściska mnie w przegubie.

– Przyjdę jutro o tej samej porze. Do widzenia panu. Niech pan tu na mnie czeka. – Wybiega z grajdołka, biegnie po plaży lekka i szybka. Włosy jej rozwiane na wietrze nikną w pierwszych cieniach nadchodzącego wieczoru.

Moja żona jest ponurą ropuchą. Nadmie nos, wybałuszy ślepią, przewróci je do góry białkami i nawet nie zarechocze – już się jej to uprzykrzyło, a poza tym to lepszy sposób, żeby mnie zignorować. Ależ ja wcale nie żartuję, ona od dawna jest moją domową ropuchą, a to, że ja czasem takie zielone paskudztwo lubię, to inna sprawa. Ale i tak ciebie wezmę na prywatkę, a nie ją. Urządzam prywatkę w Teatrze Wielkim, kameralną, na sto par. Będziemy chodzić po suficie, żeby nie podeptać alabastrowej podłogi, będziemy obnosić swoje smutne twarze w lustrach, połykać kryształowe zyrandole, lizać wysokie marmurowe kolumny – orgia! Jak ci się podoba teatralne muzeum? Jest ohydne – nieprawda? Odkurzone, wypiełgnowane ciuchy starych aktorów w gablotach wyglądają, jakby to oni sami stali bez głów, bez rąk, puste rękawy, straszidła. Muzeum. Poprzewracać to całe wypiełgnowanie, ułożenie w rządęk, podziurawić, a choćby zakurzyć kiczowate realistyczne obrazy naszych

teatralnych mistrzów, pozostawić je dla prawdziwej patyny, zardzewiałe, rozrzucone, własną historią cierpiące gdzieś na strychu, w lamusie, bez tych świateł, nieskazitelnych podłóg, bez przestrzeni. Powiadam ci, odetchnęłyby mumie, nabrałyby szczerości. Nie widziane, ocknęłyby się i na dźwięk wyciszonej, dobiegającej ze sceny muzyki zaczęłyby żyć, na pewno by ożyły i przyszłyby tu – do tych kryształów, demokratycznych salonów, na naszą kameralną prywatkę. Albo nie – zostałyby u siebie w cieniu, a my, my we dwoje wymknęlibyśmy się niepostrzeżenie bocznymi schodami na poddasze do nich, żeby je podejrzeć, z ukrycia chyłkiem podpatrzeć. Bo takie rzeczy zdarzają się, ale trzeba je podpatrzeć pojedynczo, intymnie, a nie w całej kupie gapiów znudzonych własnym zachwycaniem się, potrzebą zachwytu, wyfraczonych, wygarniturowanych na czarno, z krawatem jak chomąto, tych kulturalnych, tych powoli pełznących wzrokiem i marszem przez całe dwadzieścia minut wielkiego antraktu. To musi być inaczej, niespodziewanie. Niespodziewanie zanurzymy się w ciemność, uciekniemy od gwaru, od świateł dnia, od twojego chłopca, którego tak ciągle kochasz, że aż musisz mi to powtarzać, od mojej żony, przebrzydłej, dobrej ropuchy. Będziemy iść, aby się zapaść w popielatość, nagle, bo najdroższe, najkunsztowniejsze schody w naszym kraju się skończyły i doszliśmy do takiego miejsca, o którym wszyscy zapomnieli – nawet portier, nawet konserwator i strażak oczekujący pożaru. Tu się nic nie będzie paliło, bo tu wszystko stygnie, aż dymi, tak stygnie, popieleje, cichnie. Tu jest pewnie poddasze, jeżeli schody prowadziły nas w górę, a może to było w dół, może to piwnica – nie pamiętamy. Powiemy pewnie coś o niebie i piekle, i że dla nas to wszystko jedno, a potem z pośpiechem zaczniemy zrzucać swe ciuchy, wyłuskiwać z nich nasze białe ciała – ależ to brzmi głupio, więc ucichniemy, zamilczymy, i wcale nie będziemy się całować jak teraz. – Ale skądże – tylko tak sobie myślę. A naprawdę powiem ze dwa słowa, że owszem, Prokofiew, czy jak mu tam, Korsakow, to wcale, wcale! Dziewczyna uśmiecha się zalotnie, wygląda, jakby rozumiała, ona też lubi Korsakowa, ale swojego chłopca kocha, ach, jak kocha i nigdy nie pozwoliłaby, żebym ją wziął za rękę.

No i gdzie się podziała moja Elżbietka? Jedna jest czy są dwie? Staram się do niej przybliżyć, czy już przed nią uciekam? Już z nią byłem, czy się do niej dopiero przymierzam? Prawdziwa jedynie jest żona, jak epoka polodowcowa. Są pewniki i marzenia, skała i wiatr. Wiatr czasem unosi skałę do nieba, ciska ją w oko Pana, i oko się łzawi, wtedy spadają na ziemię długotrwałe deszcze. Ot, sypie mi się, słowa mi się sypią, pieprzy mi się, żeby mi się to przemieniło w obrazy. I oto już nadpływają, nie wiadomo – z morza czy z gór, ze wspominków, z zachcianki, z filmu albo cudzej książki, z melodii natrętnej albo z udręki

natchnionych wieczorów. W każdym razie znów jestem z mymi wizjami w łóżku i myślę o pieszczocie czulej ręki i o tym, by przechytrzyć tę drugą Elżbietkę. Zawsze jest jakiś ogród miłości za jakimś murem, który trzeba przeskoczyć.

Ta druga noc, a może to poobiednia drzemka w domku campingowym lub w leśniczówce, o której jeszcze będzie mowa, ta druga noc – owoc niedosytu małżeńskiej alkowy – zwała się wraz z sufitem sennego nadmorskiego pensjonatu, z sufitem, na którym liczyłem abstrakcyjne krowy i miewałem odjazdy, choć bez narkotyków i bez alkoholu.

Ręka, jej ręka, znów błędziła po całym moim ciele, a potem usta, a potem o wszystkim przestałem pamiętać... i tylko się przebijałem przez jej chwytne tunele, a ręce jej oplatały mnie, by za chwilę motylił obyczajem zatańczyć lekko opuszkami palców po plecach moich i pośladkach. Chciałem krzyknąć, że oto jestem, jednak jestem w tobie. Wbijam się w ciebie, piękna dziewczyno, przenikam cię do niemożliwych granic i zadaję ci rozkosz. I rzeczywiście poczułem jej rozkosz w nagłych naprężeniach i skurczach wibrującego ciała, w przyspieszonym oddechu, który nie oszuka, w zagryzaniu warg, broniących się przed głośniejszym skomleniem. Dźgałem miarowo, mocno i głęboko. Czuję pełną swobodę, zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Rozpierała mnie słodka ochota, ale też i wewnętrzna pewność. Najtrudniej jest przejść próg pierwszy. Teraz już dysponowałem sobą, mogłem powstrzymać swe wybuchowe reakcje. I tylko w chwilach zbytniego przechyłu, który poprzedza moment zatraty w spadaniu, zatrzymywałem się, by odczekać tych kilka zdradliwych sekund, po czym znów wychodziłem zwycięski, gotów do dalszego galopu. Dziewczyna zaczęła miotać głową raz w prawo, raz w lewo, a jej długie blond włosy zamiatają poduszkę, co jeszcze bardziej dodawało mi animuszu. Trwało to już dość długo, gdy ze zdumieniem na moich nogach poczułem trzecią rękę. Ręka każdego człowieka ma swój specyficzny, niepowtarzalny dotyk. I ten nowy dotyk, nim zdążyłem pojąć, co się stało, doprowadził mnie do błyskawicznego przyspieszenia. – Od jak dawna nie śpisz? – pomyślałem. Wszystko było już jawne, przyjęte i zaaprobowane. Nie musieliśmy się ukrywać ani powstrzymywać wyrywających się z naszych ust okrzyków. Kiedy znów natarłem na wdzięki młodszej Elżbietki, usta starszej zbliżyły się do moich i zaczęły mnie gorączkowo całować. Spletliśmy się we troje, ręce nasze plątały się w penetracji ciał naszych i nogi się nam pomieszały, a z ust wydobywał się skowyt jak płomień z trójgłowego smoka. Widzę, że się śmiejesz, mój chłodny Czytelniku. Cóż, ułomne, nieporadne słowa nie są w stanie oddać piękna porno-kiczu. Gdybyś się jednak sam znalazł w środku takiego erotycznego młyna, nic by cię nie raziło, no chyba że już nie masz zębów lub należysz do pewnej frakcji poselskiej albo też jesteś pod jej zbawczym wpływem. Bo ja... ja byłem zbyt słaby. Czuję tylko, jak

mnie zniewala coś i rozsadza, jak cały jestem rozpalonym ciałem, jak ból namiętności w jednej, tej jedynej chwili ostatecznego spełnienia przechodzi w ukojenie po salwach wytrysku. Zresztą sam już nie wiem, gdzie jestem – w sobie czy na papierze.

Jest leśniczówka w odległym powiecie – na skraju lasu, jak leśniczówce przystało. Odróżnia się jednak trochę od innych. Moja mała Elżbietka mruży oczy, bo słońce co chwila zza chmur wyłazi i drapie ją po tych oczach złotymi pazurkami. Ciuchcia sapie wciąż i się rozpędza, i nic jej to nie pomaga – wlecze się, ciuchciając przez pole. Jedziemy z Elżbietką do tej leśniczówki, będącej dworkiem modrzewiowym. Przebywają w niej różni dziwni ludzie, którzy muszą mieć dużo spokoju, a nie potrafią żyć spokojnie, mają dosyć ludzi, ale bez publiczności przestają istnieć, bez słuchaczy, bez tych, którzy oglądają ich obrazy, filmy, rzeźby, w ogóle ich nie ma. Jadę więc do lasu. A tu zamiast jeleni i pierzchliwych zajęcy znajduję sforę utalentowanych nerwowo chorych, co to im dobrze robi świeże powietrze i zieleń. Zieleń jest tu naprawdę zielona i bujna. Niewielki pensjonacik, stylizowany na sienkiewiczowski dworek, otaczają modrzewie – elita naszych drzew iglastych. W tym ekskluzywnie przyrodniczym zakątku rośnie na kurzej nóżce coś w rodzaju altany o okrągłym dachu, z którego spływają gęste pnącza dzikiego wina. Nieco dalej jest las prawdziwy. Lewe skrzydło pensjonatu zajmuje biuro leśniczego. Pełni on swoją funkcję formalnie w dowolnie wybrane przez siebie dni.

Leśniczy, wprawdzie człowiek na państwowej posiadzie, ale równie nietypowy jak cała leśniczówka. Każdy z tubylców, a potem i z przyjezdnych, kiedy mówi „pan leśniczy” – myśli „pan rzeźbiarz” albo „pan Jan”, bo pan Jan jest rzeźbiarzem – i to znakomitym, więc jak ktoś mówi „pan Jan”, to nigdy nie myśli „pan leśniczy”. Każde dziecko wie dobrze, kto tu kim jest naprawdę. Ostatnio pan Jan wygrał konkurs na rzeźbę pt. „Las wrześniowy”. Jedziemy właśnie z Elżbietką na uroczystość odsłonięcia, która dzięki przedsiębiorczości pewnego działacza i mecenasa sztuki będzie mieć, jak tu wszystko, podwójne dno. Jerzy Suchotko jest niezastąpionym aranżerem od kultury i podtrzymywania tradycji narodowej. Jest on prawdziwym wirtuozem w przeprowadzaniu uroczystości jubileuszowych, oczywiście tych o wielkiej randze. Specjalizuje się szczególnie w pomnikach. Suchotko to mąż opatrnościowy. Właściwie nikt dokładnie nie wie, jakiej instytucji podlega, komu służy, na jakim pracuje stanowisku i jakie ma uprawnienia – niemniej jest rzeczą ogólnie znaną, że Jerzemu Suchotko oprzeć się nie sposób. Jerzy Suchotko dyryguje tłumem. Wystarczy, że szepnie – dzisiaj wernisaż w podziemiach, albo – rewolucja w Kordegardzie, albo – jutro jedzie się na odsłonięcie do lasu puławskiego. Nie mówi, że warto pojechać – lub –

pojedziemy – tylko „jedzie się”. I rzeczywiście „jedzie się”. Pan Suchotko wie, co komu trzeba i jak to się załatwia. W sobie tylko znany sposób rozprawia opinie, buduje właściwe drogowskazy. Nie drogą oficjalną, nie. Nikt przecież nie ogłosił przez radio ani w telewizji, że dzisiaj właśnie „jedzie się” do leśniczówki pana Jana. W dziennikach pojawi się wzmianka już po uroczystości. A gdyby nawet zapowiedziano przez wszystkie możliwe środki masowego przekazu, że w miasteczku M. zostanie całkowicie odsłonięta bufetowa Lulka z pobliskiego GS-u, to i tak mało kto by przyjechał. Tymczasem nasza ciuchcia wypełniona jest po brzegi. Mrowie nastolatków przelewa się poza stare, przydymione ściany wagonów. Co tu ukrywać – my również dobrze wiemy, że w miasteczku M. w leśnym amfiteatrze śpiewać będzie Nowin. – Szczęśliwie się złożyło? Zrządzenie losu? – e, chyba palec Suchotki. Nowin – bożyszcze nastolatków, głos na miarę epoki, biczuje się w czasie koncertu sznurem od mikrofonu, patrzy przed siebie, jak gdyby w przyszłość, nieruchomym wzrokiem sfinksa, taki uśpiony w sobie, chociaż wiadomo, że przeżywa. Gnębą go losy ludzkości, więc budzi się, gdy wstęp filozoficznej pieśni przebrzmi niespokojnymi akordy. Wtedy i on jest cały czas bardzo niespokojny i wspomina to wszystko, co, siedząc, przeżywał, i tak śpiewa, jakby to zupełnie o co innego, nie o śpiew, chodziło. I lkać by i drzeć na piersiach koszulę. Tłum tych, którzy nie skończyli dwudziestu lat, wie, po co jedzie na odsłonięcie pomnika. Pan Suchotko wie, jak należy organizować kulturę. Ja tylko nie wiem, dlaczego w tym uczestniczę. „Jedzie się” – zapewne dobrze jest jechać tam, gdzie Elżbietka. A nawet psy gończe mniej ujadają, kiedy słyszą Nowina...

– Bartku, Bartłomieju, ja rozumiem, że ty jesteś największym polskim poetą. I ja jestem poetą, trochę mniejszym, ale powiedz, Bartku, do czego nas te bładzie doprowadzą. – Podparł się pod brodę i dalej klęczy przy równo ściętym pniu. Poeta Bartek zawisł nad nim z nieodgadzionym wzrokiem i spiczastym nosem. Wiatr mu potargał nikiłe kędziorki.

– Bartku – ciągnie klęczący Zenonek — my tak sobie pochłamy dzielnie, mocni jesteśmy, Bartku, bo z tym, co my wiemy o sobie i o tym całym gównianym kretowisku, to my i tak się dobrze trzymamy. Jesteśmy cholernie wrażliwi, jak ślepe krety – dobrze mówię, Bartku? i chce się nam dotknąć, psiamać, tego piżma, dotknąć tego dziewczęcego raz na jakiś czas, bo bez tego, to nam zostaje mielizna w głowie i katz po suchej wódce.

Poeta Bartłomiej spogląda płynnym, dobrotliwym wzrokiem na pobliskie leszczynowe krzewy. I jemu mąci się w smętnej na ogół głowie – wiele już wypić nie może. Ano tak, ano tak – powtarza, dłubie przy tym patykiem w szczelinie buta, którą utworzyła odklejająca się od reszty podeszwa.

– Ano tak, trzeba być skromnym, ale ty przesadzasz, ty jesteś za skromny. – Zenonek spogląda na mistrza nieprzychylnie. – Zraniłeś mnie, Bartłomieju, zraniłeś mnie, tak mówiąc. Ale masz rację. Trzeba z tym wszystkim stanowczo, po męsku, a my co? – my się ciapciami. Bartłomieju, powiem ci prawdę. My, których nazwiska znane są z lektury szkolnej, a na półkach bibliotek i księgarni aż od nas ciężko, przecież co roku strzelamy nowym tytułem, i to w nie byle jakim, chociaż za małym, nakładzie... my, rozumiesz, idziemy do kawiarni i podrywamy dziewczyny na te nasze nazwiska, na te półki z poezją i na te nakłady. Podrywamy te dziewczyny, bo my jesteśmy kimś, a one są zwyczajne dziewczyny, ale one mają coś takiego, czego my nie mamy, a co jest nam zwyczajnie potrzebne. I dopóki cytujemy im Norwida, „szpikujemy je” kawałami o pedkach ze Związku Literatów, i dopóki pijemy z nimi koniak, to nas chętnie słuchają, śmieją się, szanują, a nawet mają zaszczyt. Koniec. Wreszcie chcemy iść z nimi do łóżka, bo już się nasłuchały, nabombały wińska, nawdychały atmosfery, wypaliły nasze Pall Malle, więc mogłyby. Przecież obiecaliśmy im wizytę w redakcji albo wypracowanie z polskiego, albo że przeczytamy ich straszne wierszydła, jeśli same piszą, a najczęściej coś tam cipy piszą... w końcu obiecaliśmy im dedykacje na własnej książce i znajomość z panem J. i z panem B., a nawet trochę uczucia, trochę miłości, bo przecież one są takie młode, a my tacy wrażliwi – i figę! – nie chcą z nami spać. Przypominają sobie o swoich chłopcach, z którymi są na co dzień i, o kurwa! żegnają nas grzecznie. – Zenonek omal nie płacze. Wreszcie, jak już nic z tego nie wychodzi, łapiemy na schodach gończynię, szczypiemy ją w tyłek i mamy nadzieję, że może przyjdzie do nas na umówioną godzinę. Ale gończyni też nie przychodzi, chociaż na schodach jest bardzo śmiała i pyskata – nie przychodzi, bo ona wie, że z panem redaktorem spoufalać się nie należy.

Poeta Bartłomiej kiwa smutnie głową. – No tak, no tak – ty Zenonek masz dużo racji, bardzo dużo, tylko ty jesteś za skromny! – Tym razem Zenonek nie odpowiada, powstaje z klęczek, otrzepuje wygniecione spodnie, odwraca się od Bartłomieja i idzie przed siebie chwiejnym krokiem. Odchodzi jednak niedaleko. Bartłomiej zapewne jeszcze słyszy, jak Zenonek, klepiąc poufale pana Suchotkę, rozprawia o wdziękach sekretarki w jednej z zaprzyjaźnionych redakcji i o tym, jak to nie można się zwierzać nawet najbliższymi przyjaciółmi. No bo na przykład taki Bartek wysłuchał spowiedzi jego duszy, barwnej, szczerzej spowiedzi, Bartek inteligentny poeta, i nic nie zrozumiał, obraził go dwakroć, chociaż sam jest gównojad, a nie poeta. Ukryty w pobliskich leszczynach widzę, jak bez specjalnej zawziętości poeta Bartek spluwa w ślad za swoim młodszym kolegą. Uwagę moją odwracają dochodzące z dziedzińca podniesione głosy dziewcząt. Zbliża się punkt kulminacyjny. Przed leśniczówkę zajeżdża czarny, pięknie lśniący mercedes.

– Nowin! Nowin! – rozlega się wśród szpalerów entuzjastycznie rozdygotanych dziewcząt. Nowin szybko wysiada z wozu, spogląda wokół orlim wzrokiem, lekko wznosi rękę, bez słowa pozdrawiając rozstępujący się przed nim tłum. Uśmiecha się ze zrozumieniem, troszkę pobłażliwie. Za mercedesem Nowina zatrzymał się drugi, mniej okazały samochód, z którego chłopcy z towarzyszącej mistrzowi kapeli wyciągają pospiesznie instrumenty. Dwie szybkie, zdecydowane dziewczyny rzucają się im z pomocą. Rzeczy Nowinowe, wnoszone z pietyzmem, układane są starannie na werandzie leśniczówki.

– Jeszcze nie! Jeszcze nie czas! – krzyczy do tłumu pan Suchotko, mistrz ceremonii. – Proszę się rozejść! Najpierw pomnik, potem Nowin. Proszę się nie tłoczyć. Wszystko w swoim czasie. Nasz kochany Nowin będzie spać, on jest z podróży, a my wszyscy idziemy pod fascynujący pomnik pana leśniczego Jana, który zostanie odsłonięty, ale nie na długo. Dlaczego nie na długo, każdy może myśleć, ale się nie domyśli. Wszyscy się będziemy fascynować, bo to prawdziwa sztuka, wymowna i nowoczesna. Sami zobaczycie. Będziemy mogli obejrzeć i poddać się sugestii twórcy, odczujecie na pewno siłę wyrazu i wyobraźni tego niezwykłego człowieka. A jak to już będzie za wami, wtedy szlachetny nastrój, pełen prawdziwej poezji dworku modrzewiowego, pełen prawdy o czasach minionych, uświetni i spotęguje nasz mistrz kochany, nasz Nowin szczery, który się teraz musi wyspać, bo jest z podróży, więc idźcie sobie w cholerę spod tych okien i nie zawracajcie mu głowy. – Suchotko wyrzuca to z siebie jednym tchem, obydwooma rękami czyni gest nieodwołalnie odtrącający, wypychający cizbę poza zasięg słuchu oraz wzroku tego, który musi odpocząć. Tłum nie ma wyboru. Cofa się za bramę leśniczówki, by trwać tak, dopóki zmrok się nie uczyni, a wtedy czas będzie iść naturalną aleją zieloności przeróżnej, poplątanej ze srebrną pełni księżyca, pulsującej wśród liści gwiazdami. Ot, sama poezja. Dwa kilometry za leśniczówką, na prawdziwej leśnej polanie, niedaleko skrzyżowania starej drogi z nową asfaltową szosą, prowadzącą do zakładów chemicznych, wznosi się niekształtna bryła, owinięta szczelnie ubrankiem pomnikowym z płótna. Narodu przybywa. Jest tu o wiele więcej starszych niż pod modrzewiowym dworkiem. Przyszli leśni weterani, wprawni w walkach o wolność, liczni bohaterowie zapomniani i cisi, ci dawni leśni chłopcy, co to z granatem na czołgi i z miną przy moście kolejowym, a teraz z gębą pomarszczoną, z brzuchem ojcowskim i siwymi skroniami. Przyprawdzili córki i synów, żeby dzieci lepiej poznały ojców swoich, historii prawdziwego czasu kawał. Przyprawdzili ze sobą sieroty, co to już swoje gniazda zakładają, bo żenią się i na gospodarce własnej osiąść im czas, albo też w mieście za mieszkanie spółdzielcze ostatnią ratę płacą – niech znają swoich ojców, których poznać w dzieciństwie nie mogli, niech usłyszą ich głosy z szumu tego lasu płynące, z ciszy, która moment



odslonięcia poprzedzi, z tych starych zapatrzenia, bezsłownego wspominku. To był czas prawdziwy, czas, w którym ludzie żyją ze zrozumieniem. Chwile nadziei desperackiej, przelękanego strachu i zacząjenia w sobie – to chwile, od których się nie uwolnisz, to samo jądro prawdy, odczute, przeżyte do końca – strzępy czasu prawdziwego.

W oczach Elżbietki płoną ogniki ciekawości. Oto niecodzienny koloryt zmierzchu pod lasem, silne reflektory ze światłem, skoncentrowanym w jeden punkt, gdzie ukrywa się jakieś dziwne stworzenie, nieznaną cud sztuki, zasłonięty przed okiem człowieka. Ludzie stoją półpięścieniem grubym, jeszcze ruchliwym, gwarnym.

– Niech pan spojrzy, panie Filipie – to coś porusza się w worku. – Dziewczyna stoi obok mnie, lekko się nawet o mnie opiera. Kładę jej rękę na ramieniu, delikatnie, niewyczuwalnie, żeby tylko nie spłoszyć. – To wiatr – odpowiadam szeptem, by jej nie wyrwać z tego zasłuchania. – To wiatr porusza zasłonę.

– Co pod nią może być? – również cicho, nabożnie jak w kościele pyta sama siebie. – Jak pan myśli, co to może być? – Nie czeka na odpowiedź. – Zna pan pana Jana? To dobry rzeźbiarz? – Pewnie, że znam. – Sprawia mi to satysfakcję. Mogę pochwalić się znajomością z człowiekiem, którego namacalny sens zastygł pod lekko trzepocącą materią, którego duszę artysty okrywa biały całun albo worek, jak to nazywa Elżbietka. Ta jego dusza w worku jest jeszcze nie odgadniona, ale cóż mi to – znam człowieka, jego samego, znam pana Suchotkę i wielkich poetów, którzy pragną ordynarnej dziewczyny z ciałem młodym i prawdziwym, i piją wódkę, i ja z nimi piję... Co tam poeci. Znam nawet samego Nowina. On być może mnie sobie nie kojarzy, trudno wymagać... Chciałbym o tym wszystkim przypomnieć Elżbietce, żeby tylko nie cofnęła ręki, kiedy ją ujmę nieco mocniej. Tak, wiem, jaki jestem – śmieszny, podobnie jak wy.

Obok nas małe poruszenie. To Kacprowa szuka znów starego Kacpra. Klnie przy tym paskudnie na rząd, na zakłady chemiczne i na męża, który już nic nie potrafi załatwić, tylko chleje i chleje. – Ludzie, Boga się bójcie! – woła. – A cóż to za antychrysty, sumienia nie mają! Ryją, kopią, od dwu lat pod domem kopią wedle tej kanalizacji. A co mi z tego? Dom miałam, swój dom. To co, że do wychodka przez podwórzec chodzę, kto mi zabroni srać w moim wychodku?! Już czterdzieści lat załatwiam tu swoją potrzebę i dobrze. A one nic – tylko ma być kanalizacja i bloki. Figa! – a moje, moje własne, krwią moją i Kacpra zbudowane, to ma iść w gruzy? Szos im się zachciewa budować akuratnie tam, gdzie nasza chałupa, akuratnie tam. A kto pierwszy postawił, kto? Widzieliście ludzie, to jest sprawiedliwość państwowa! To jest ustrój demokracji państwowej, juści, ale nie ludowej, nie człowieka pracy, co czterdzieści lat haruje i precz jest wygoniony. Fabryki im się zachciało,

zakopcili, zadymili, nasz las dobry wycięli, mało tego, żreć nie ma co – wszystko dla fabrycznych, wszystko – mówię! – tu podniosła głos, głowa jej się trzęsie, ręką wygraża nie wiadomo komu. – A my to nie ludzie? Jak jakie Murzyny – to nie dla nas, tego nie ma, to jest, ale tylko dla fabrycznych. Już lepiej było jak kolonie na lato zjeżdżały – plaga wiadoma, ale lato przeszło i po pladze, a tera to ustawiczne udręczenie. – Dwóch porządkowych nadaremnie usiłuje powstrzymać elokwencję Kasprowej, która za przykładem męża podpła sobie nieco. – Nie pójdę, nie pójdę do bloków, a dajcie mi spokój, po mojej śmierci! Każą się nam cieszyć, ciągle się nam każą cieszyć. Jaka to niby siansa, co drugi dzień w telewizorze bajdula, jaka to jest siansa dla naszego miasta. No ale jakby one wiedzieli, co stare miastowe myślą, to one by wiedzieli, gdzie my stare miastowe mamy taką siansę. To nie dla nas. – Co się pan, władzo, popychasz. Jak to piłam? Co piłam? A bo to jest za co? A bodaj was poskręcało, pierońskie nasienie, wymyślniki pogańskie. I tak będę srać za domem, a nie w bloku. – Znalazła sobie Kacprowa czas na przemówienie – podkpiwają staromiałowi. Funkcjonariusze MO ciągną babę, szarpią się z nią, ładują do eleganckiej warszawy. Jest wreszcie spokój. Mogliby odslaniać. I rzeczywiście przewodniczący MRN wgramolił się na postument, coś tam chrypi kiepskim tenorem. Szybko jednak kończy okolicznościową refleksję, skromnie miesza się z tłumem. Jego miejsce zajmuje pan leśniczy Jan. Nieruchoma, zastygła twarz, oczy rozognione. Młody, silny mężczyzna. Wiatr nawet ustaje. Moment skupienia. Pan Jan patrzy na ludzi. Niby chce im coś powiedzieć, przekazać, a może poprosić, ale nie, zwraca się tylko do nich bez słów, czuje, że się zasluchali w tę ciszę nieoczekiwaną, zapatrzyli w jego twarz, gest nieokreślony; więc raptem jednym pociągnięciem zrywa zasłonę. Oczom zdumionym wyłania się dziwny twór fantazji, podarunek przyrody – korzeń, zwykły korzeń, choć nadzwyczajnie poskręcany, rozrośnięty, mocarny. Wrażenie jest piorunujące. Jak macki zmarłej w bezruchu ośmiornicy, jak ręce w konwulsyjnym, ostatnim wydłużeniu, wyrastają pokrętne, sztywne, licznie skłębione wyrostki korzenia. Wszystkie wychodzą ze wspólnego zrostu, milczą potężniejszym znaczeniem, szaleją pozornym bezruchem. Czuje się dramat, wielką metaforę lasu. Pod rozpiętym na czarnym tle nieba korzeniem umieszczona jest urna. Cisza przedłuża się. Ludzie stoją w absolutnym zagapieniu. Ci, którzy jeszcze nie pojęli, już przeczuwają. Nagle z obydwu stron leśnego pomnika nadbiegają dwaj harcerze z pochodniami w rękach. Dotknęli wystających ramion korzennego tworu. Suche drzewo zapala się. Tryska syczący ogień. Czuje ciarki po plecach. Wiem, że tak samo odczuwają inni. Mamy w tej chwili wspólny kręgosłup. Przebiega nas stadny, niepokojący dreszcz. Płonący pomnik dopala się w ciszy, przy wygaszonych reflektorach. W gęstniejącej ciemności widzę opuszczoną głowę pana Jana. Przygarbił się i pochylił. Coś

lekkim nim wstrząsa, odwraca twarz od ludzi, zdaje się, że płacze. Nie, może to tylko złudzenie. I dopiero w tej chwili rozpoznaję w panu Janie, dziwnym leśnym rzeźbiarzu – drwala, mojego drwala z filmu, który opowiedziałem Elżbietce.

– To on, tamten drwal – mówię półgłosem.

– Wiem – odpowiada wtulona we mnie Elżbietka. – Wiem, to twój drwal, ale puść, bo boli.

Rzeczywiście moje palce już od dłuższego czasu zaciskają się na drobnych ramionach Elżbietki. Cofam rękę. Ostatnie resztki popiołu zsypują się do urny.

Wtem zapalają się reflektory i ze wszystkich stron biją ostrym światłem w pogorzelnisko. – Jest! – wyrywa się z kilku piersi. Naszym oczom objawia się metalowa obsmolona pożarem konstrukcja. W drewnie tkwiły stalowe pręty. Korzeń ożył w innej materii. Jest nadpalony, czarny, ale niezniszczalny. Pomysłowy ten Jan. Ludziom to się podoba. Mnie jednak czegoś żal. Wolalbym, żeby korzeń spalił się całkiem. Sztuczne to w końcu i zbyt wyraźne. Szkoda. Pan Jan znów jest dla mnie nadleśniczym, takim trochę udanym, urzędnikiem państwowym. Ludzie sądzili, że to będzie mniej widowiskowe, a tu i ogień był, i różne sztuczki. Interesujące, fascynujące. Suchotko miał rację. Suchotko ma zawsze rację. Samochody już się tłoczą na nowej fabrycznej szosie, wykletej przez Kacprową. Idziemy z Elżbietką blisko siebie, w milczeniu, ale już nie trzymamy się za ręce. Obok nas spotykają się w tłumie dwie smarkuleczki. Są uradowane. Dobiegają mnie strzępy ich rozmowy.

– Wiesz, powiem ci coś – z ożywieniem papie jedna z nich. – Zdobyłam autograf Nowina. Dał mi nawet ponieść gitarę... A jak się do mnie uśmiechnął. – Uśmiecham się i ja do dziewcząt, które mijają nas w ciemności. Opowiadają sobie coś z przejęciem, ale już nie rozróżniam słów. Szczęśliwe moje głupiutki „Elżbietki”.

Dlaczego nie jestem politykiem? Inaczej – dlaczego nie chciałbyś nim być? Polityka nie kieruje się ani prawdą, ani pięknem, lecz – jak powiadają – racją stanu. Na pewno jest jakaś racja stanu, która czyni, że bardziej lub mniej bezpiecznie mogę się przechadzać po Krakowskim Przedmieściu. Ciekawe, jak długo? Mój stosunek do polityki jest jednak mało przychylny, czasem nawet wulgarny. Lubię zwymyślać sobie jakiś zbyt totalitarny system albo zbyt ekspansywny naród, albo też całkiem swojskiego ministra. Szkoda, że tylko „sobie”. A mam takiego jednego. Ach, lepiej już chyba było za czasów Michała Anioła, którego co prawda papież kiedyś obił kijem, ale mu też i Anioł nieraz nawrzucał. Był to rozumny papież, co się znał lepiej na artystach i kulturze niż niejeden minister kultury. Zresztą nie będę się mieszać do polityki. Nie lubię się angażować w to, co raczej nie ode mnie zależy. Od polityki wolę mecz futbolowy. Dramaturgia bez skazy, chociaż i tu faulują. Mecz

piłki nożnej to sztuka sama w sobie, to bardziej czysta forma niż forma Witkacowska. Na przykład taki mecz z Anglią na Wembley był lepszą sztuką dramaturgiczną niż większość polskich dwudziestowiecznych bąków Melpomeny. A bo też nasza dramaturgia współczesna jest nieco cherlawa. Może klimat nieodpowiedni, a może jednak trzeba Anglików na stadionie, by powiało Szekspirem.

Przyszło mi dzisiaj do głowy, że wszystko to, co piszę, jest do bani. Nie kupią. Jak głupia pensjonarka zostanę z moim koślawo zapisanym kajetem.

– Żono, czy ty wierzysz w Kapitał?

– Jak mam w niego wierzyć, kiedy go nie posiadam.

– A niech cię, uświadomiona jesteś jak japońskie sardynki zatrute cywilizacją. Masz jednak nade mną przewagę. Milczysz. Dobra. Zwiewajmy dalej, a ty bądź sobie w grajdołku obok. Mnie już tu nie ma.

Są ludzie, którzy tak wyraźnie do siebie nie pasują, że aż nie mogą się bez siebie obejść. Cały ogrom zdziwienia i oburzenia musi się przecież objawić w działaniu, wzajemnym zaangażowaniu. Elżunia nie mogła reagować na dobrotliwą, lecz głęboką niewiedzę Niedźwiedzia. Niedźwiedź jest ignorantem. Ma przecież jakąś tam inteligencję, a chodzi po tym Krakowskim Przedmieściu jak po mateczniku. Na piwko wstąpi pod Kuchcika. Smakuje mu zwłaszcza na gorąco z korzonkami i z cukrem, ale dziś o to trudno. Na Pradze kiedyś dawali. Gorzałkę łyknie jak barszcz, a jak idzie, to nawet na wystawę nie spojrzy. Ani „Burda”, ani antykwariat, ani płyty na wystawie nic go nie obchodzą. Kościoły też omija, żeby nie wiem jak zabytkowe. Chciała się z nim kiedyś Elżunia umówić w Spatifie, gdzie spędzała wieczory we właściwym towarzystwie. – Co to jest Spatif? – spytał nieśmiało Niedźwiedź. Z takim trudno się gdzieś pokazać. Nie umówiła się więc z Niedźwiedziem ani w Spatifie, ani w Kordegardzie, pewnie by nie wiedział, gdzie to jest. Nie umówiła się wcale, bo pobiegła do koleżanki, której chłopak jest nową twarzą w świecie kulturalnym. Teraz się na niego stawia. Przeszedł właśnie z krótkiego metrażu na pełny. Nawija autentycznie, bez żadnych starych aktorów i bez filmowej gierki. Szmatę robi z człowieka, jak należy. To jest nowa metoda. Trzeba człowieka przewrócić do góry nogami, wypruć z niego wnętrze, nadmuchać mu w bęben helu albo mieszaniny piorunującej i puścić na wizję. To samo się robi z piosenkarzami o tradycyjnym repertuarze i ciepłym lirycznym głose. Smaruje się im terpentyną jaja, potem kopie w dołek – nowocześniej się im wtedy głos moduluje, a potem już tylko filozofia, brudne szklanki, zamiatanie podłogi u kierownika zespołu, w nocy nagranie,

w dzień lewatywka, potem troszkę pospać z dziewczyną kompozytora albo we trójkę, albo z kompozytorem, dwa dni wolnego – wyjazd na wieś do rodziców – niech zaczerpnie powietrza, zagapi się na starą dzwonnice o kryształowym brzmieniu, naćpa się powietrza z leśną żywicą, ugryzie go pszczoła albo kopnie koń, więc czule jak z dzieckiem chodzić z ręcznikiem i watką, dogadzać, nocnik przynosić do łóżka, bo gdzie mu będzie lepiej jak nie wśród ludzi, którzy go rozumieją. Byle tylko wydobył z siebie to załkane c, a potem f – już po męsku, zupełnie inaczej i ostro, i z pasją, z fasonem, więc niechaj jeszcze troszkę pokibluje, a potem będzie telewizja i wszystkie dzieciśka zbiegną się z morgów w Ciasnej Podłędze i gęby rozdziawia, bo swój tak ze srebrnego ekranu cudnie śpiewa.

Nie umówiła się więc z Niedźwiedziem, bo poszła do chłopaka koleżanki po atmosferkę. Sama skrycie marzyła, żeby i z niej ten sławny reżyser zrobił choć raz na tydzień pucybuta i dał w mordę, i unowocześnił. A czym się zajmuje Niedźwiedź, nie bardzo wiedziała. Powiedział jej kiedyś, że to takie wycinanki, trzeba trochę podświetlić, nasłonecznić, jakieś tam faramuszki. Powiedział, że się w tym słyszy piszczałki ludowe. A to, jak się wychodzi w pole, kiedy się jeszcze nie rozwidniło, i coś brzęczy tak sobie, od lepkości po rosie jak smykem srebrnym przeciąga. Głupie gadanie. – A wiesz, jaką sen ma muzykę – a co, wiesz? – pytał ją, stylizując się na poetę. – A wiesz, jaką barwę? – Ale z tym mu nie było do twarzy, bo był Niedźwiedź i wyraźnie było widać, że usiłuje dostosować się do jej poziomu. Och, żeby do Mirona poszedł, a posłuchał jego grania, jego w kołatki, w bębenek i prask! w tysiąc języków, szybkich, giętkich jak jaszczurka, tam by może swoje jarmarki znalazł. Ale by nie zrozumiał, więc po co mu taki teatr.

– Wiesz, co, Niedźwiedź – powiedziała mu kilka dni temu Elżunia – pryśniemy sobie do lasu. Nareszcie się poczujesz. – Spojrzał na nią, jakby o czym innym myślał. – To ja nie wiem, czy to tak... Jeszcze nietęgo się znamy... – Gdzie ty się taki uchował? Grube i ciężkie zwierzę. Wiesz, zupełnie mi przypominasz jednego drwala. Tylko że tamten to się umiał kochać. Jeszcze go czuję na sobie. – Mogłabyś być troszkę bardziej kulturalna. – To ty mi o kulturze mówisz. Niedźwiedziu? Idź – nudny jesteś.

Brał ją wtedy w wielkie łapy przed katedrą św. Jana i podnosił jak kota do góry. Machała nogami, piszcząc. – Puść mnie, bandyto, puść mnie, brudasie! – Niósł ją ulicą Świętojerską, a ludzie się oglądali, co starsi głowami kiwali, zgorszeni tą rozpustną młodzieżą. I nie wiadomo, dlaczego Elżunia czas traciła z Niedźwiedziem. Durny był – zupełnie do ludzi niepodobny, ale szanowała go, a nawet więcej – coś ją do niego pociągało, ale wolała trzymać go na dystans – ee... chyba raczej siebie, bo on naprawdę nie był do ludzi podobny. Niedźwiedź jeszcze nigdy się do niej nie zalecał. Dziwny był. Chodzili najczęściej do parku.

Nie chciał siedzieć nawet w najwykwintniejszej kawiarni, bywał tylko na koncertach, ale zawsze sam. Nigdy jej do filharmonii nie zabierał, boby mu przeszkadzała. Zdaje się, że tam był jego kościół. Wywiózł ją kilka razy za miasto, najczęściej do Puszczy Kampinoskiej, ale nogi ją zaraz bolały, buciki się brudziły, a on głuptas wcale nie kładł się z nią na trawę. Wystrugał tylko z wierzby piszczałkę i pojękiwał na niej całą drogę, nie odpowiadając jej ani nie słysząc, co do niego mówiła. Po co ją zabierał? Ale i ona zupełnie nie mogła się domyślić, dlaczego zaraz po wykładach nie pędziła jak dawniej do Bristolu albo do Europejskiego, żeby w tej ekskluzywności emanować całą sobą, całą swoją pełnoświatową filologiczną erudycją. Mogła przecież wdzięcznie przekreślić na swoim języczku wszystkie ploteczki artystycznego świata. Nie – szła drogą wiejską, wśród piaszczystych kolein, pozostawionych przez drabiniaste wozy, chociaż między tymi koleinami trafiały się błotniste kałuże, a nawet końskie łajno.

Elżunia była prekursorką. Jeszcze wielki reżyser nie przysłonił oczu dziewczynom olbrzymimi liliowymi okularami, gdy Elżunia już je osadziła na swoim spiczastym nosku. I ona, jak ta w filmie i jak wiele innych, była studentką wprawdzie początkującą, ale w rasach poetów dokładnie obeznaną. Znała się na maści tych artystów, którzy mieli koligacje z filmem i malarstwem. Już niejeden znany plastyk szkicował jej młode ciało, prznosił ją z całą napięcią, twórczą uwagą na płótno, a i niejeden asystent filmowy lub aktor całował ją w gładki tyłek. Znała prawdziwe towarzystwo, znała kulturę. Wiedziała, że pan redaktor F. ma lumbago, panna piosenkarka L. uciekła do Anglii z połową „Mazowsza”, pani kompozytorka P. wyrzuciła przez balkon trzeciego męża, a staruszek J. sypia znów z nowym chłopcem o włosach cherubinka. Potrafiła również ze znanstwem ocenić ich prawdziwą twórczość, która najczęściej sama w sobie nie zainteresowałaby jej tak bardzo, gdyby nie nagły zachwyt samą postacią autora, oczarowanie jego przywarami, jego świństwami, więc i jeszcze większy szacunek dla nazwiska. A zresztą i w tym świecie bywają mili ludzie. Była więc Elżunia prekursorką, miała od początku liliowe okulary i ten modny uśmiech, znała się na sztuce i, jak mało kto, na sztukmistrzach. Czemuż więc brnęła przez ten piach w coraz większe pole, za tym gburem milczącym, za tym ciężkim, nierozumnym Niedźwiedziem? Chyba tylko z irytacji i ze zdziwienia, no bo jakże można nie wiedzieć, co to jest Spatif?

Chodzili po parku i długo milczeli. W końcu Niedźwiedź zapytał: – Co ciebie najbardziej oburza albo smuci? – Elżunia chwilę się zastanowiła. – Smuci mnie to, że nie mogę być taką, jaką bym chciała, i że nie potrafię zrobić wielu rzeczy, które są dla innych tak proste. To mnie nawet oburza.

– A mnie smuci to, że tyle czasu poświęca się sobie – ważył słowa Niedźwiedź. –

Poświęca się tylko sobie i z konieczności do siebie się tylko ogranicza. Staje się to nieciekawe.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem egoistką?

– Pewnie jesteś, ale nie o ciebie mi chodzi. Widziałem dzisiaj, jak szedł niewidomy z białą laską. Mijało go mnóstwo ludzi i nikt, nikt z tych drani nie wziął go pod rękę.

– A ty – uśmiechnęła się Elżunia – ty na pewno go zaraz schwytałeś i poprowadziłeś w przeciwnym kierunku, niż sam miałeś iść? Dlatego się spóźniłeś.

– Nie. Już zbliżałem się do niego, już wyciągnąłem nawet rękę, ale nie wiem czemu, zrobiło mi się wstyd.

– Czego, głuptasie?

– Nie wiem. Chyba mojej przewagi. Oto, ślepy człowieku, przychodzę, żeby cię prowadzić, bo ty nic nie widzisz, a dla mnie iść po zatłoczonej ulicy to fraszka. No, po prostu nie chciałem się przed nim przyznać, że on jest w porównaniu ze mną zupełnie niezaradny.

– Swoista filozofia. Ty, Niedźwiedź, powinieneś zostać rzeźnikiem, powinieneś chociażby trenować na wsi zarzynanie kur – to by ci pomogło.

– I w tobie też mnie czasem gniewa taka wyższość. Wiem jednak, że jesteś zupełnie słaba i trochę mi cię żal, bo w rzeczywistości to ty jesteś biedna.

– Lituj się lepiej nad sobą, ty Niedźwiedziu. A czemuż to mam być biedna? Masz przecież górę ciała. Mięso – o, widzisz. Miło się będzie z tobą pokazać na „Legii” wśród tych chuderlawych poetów. Niedługo przystosuję cię do życia i pokażę ludziom... a potem nauczę cię miłości. Będzie całkiem przyjemnie. A wiesz, podnieca mnie to, że jeszcze z tobą nie spałam.

– Jesteś jeszcze bardzo dziecinna, Elżuniu. Chcesz mnie zaszokować, ale zobacz, pobrudziłaś sobie bluzeczkę sokiem malinowym, niełatwo dopierzesz. – I brał ją nieporadnie za rękę, a jej piąstka ginęła gdzieś w głębi jego wielkiej, owłosionej łapy.

Pewnego razu Niedźwiedź zaprosił Elżunię do swojego domu. Już od dawna miała wielką ochotę odwiedzić dziwnego człowieka, Zawsze jednak wykręcał się, odkładał, piętrzył przeszkody. Czegoś się krępował. Domyślała się różności.

Z bramy wchodziło się na zaśmiecone podwórze, z czterech stron otoczone przez mury kilkupiętrowych domów. Wynałazł sobie Niedźwiedź legowisko w archaicznym zakątku, który pozostawiono w tym odmlodzionym mieście chyba tylko po to, by starym niedźwiedzim było z tym do twarzy. Zapewne też filmowcom mogłaby się przydać owa miejska studnia, zbudowana z szarych kamienic i odwrócona do góry nogami, bo zamiast wody gdzieś w górze lśniło denko nieba. W rogu podwórka stała niewysoka komórka kryta

papą. Latem na jej dachu wygrzewały się koty, a zimą leżało zawsze pełno śniegu. Stąd też zwisały długie wąsy sopli. Dzieci odłamywały je, by po kawałku brać do ust i ssać niby najlepsze ślazowe cukierki. Przy komórcie rozkładał się uroczy śmietnik. Tam kot mógł znaleźć rybi pęcherz, a pijany żebrak pustą butelkę, która po umyciu miała wartość złotówki. Niedźwiedź szedł pierwszy, wymijając kałuże i porozrzucane cegły. Przy klatce schodowej ciągnął się długi niefunkcjonalny korytarz. Weszli na ostatnie piętro, właściwie na poddasze. Okno było zasłonięte, w pokoju panował półmrok. Elżunia zbliżyła się do zasłony, wyciągnęła rękę.

– Nie. Nie odsłaniaj! – usłyszała nad sobą skrzekliwy kobiecy głos. Troszkę ją ten głos przeraził.

– To moja babcia Petronia – wyjaśnił Niedźwiedź.

– Nie można odsłaniać. Obudziłyby się – powtórzyła babcia.

Dopiero teraz, kiedy jej wzrok się przyzwyczaił, Elżunia dostrzegła w różnych miejscach pokoju porozwieszane ptaki. Każdy w innej pozycji, każdy innej wielkości i gatunku. Jedne gotowały się do lotu, inne swobodnie szybowaly nad głowami, wszystkie w ptasim zapamiętaniu wpatrywały się w tę samą niezmienną dań, w mrok zamarłego pokoju. Nieruchome szybowanie straszydeł, pozy wypchanych ptasich manekinów, ich naturalny kształt, wyraziste oczy sprawiały nieco niesamowite wrażenie.

– One jeszcze śpią – objaśniła Petronia. W pokoju prawie nie było konwencjonalnych mebli. Ze ściany wyrastały gałęzie. Naprzeciw drzwi rozciągał się olbrzymi obraz lasu, który wchłaniał wchodzącego swą perspektywą.

– Widzisz, ja na razie to tak z babcią. Może wolałabyś posiedzieć w kuchni, ale lepiej nie.

– A cóż tam jest? – podejrzliwie zapytała dziewczyna.

– Nie, nic takiego.

– Widzę, że twoja staruszka ma fantazję.

– A owszem.

– Czy ona na pewno nas nie słyszy?

– Nie. Jeśli rozmawiamy normalnym głosem, nie rozróżnia słów.

– Ty, dziecko, jesteś Jadwisią. To dobrze, że przyszłaś. Noruś tak do ciebie tęsknił.

– Niech babcia da spokój, to nie jest Jadwisia.

– Co, może narzeczona? – z pobłażliwym uśmiechem podchwyciła Elżunia.

– Nie mam narzeczonej. To dawna, bardzo dawna historia.

– Ładna?

– Kto?



– Ta twoja narzeczona.

– To ty, dziecko, nie jesteś Jadwisią? – aha, pewnie przyszedłeś do mnie na lekcję gry na fortepianie. Zaraz, zaraz – poćwiczymy, tylko nie na fortepianie, bo to stare pudło kazałam spalić. Trumnę mi przypominało. E..., co to zresztą za staromodny instrument! Chodź, chodź, Jadwisiu – pokażę ci prawdziwe instrumenty.

– Babcia jest muzykalna. Przez wiele lat uczyła gry na fortepianie, ale teraz strasznie fałszuje. – Jakby na potwierdzenie słów wnuka, Petronia, z kieszeni bardzo długiej zwisającej sukni, wyjęła organki i zaczęła na nich wygrywać dziwne melodie, które niekiedy przypominały Chopina. Stała tak starczo-rasowa, troszkę rozedrgana w sukni czarnej. Białe długie włosy, nieporządnie zaczesane, trzęsły się jej w takt nierównego, poszarpanego rytmu.

– Babcia ostatnio bardzo wychudła – starał się usprawiedliwić grę Petronii Niedźwiedź. Petronia sama przerwała w pół taktu i powiedziała tonem zupełnie rzeczowym: – Noreczku, ty chcesz na pewno placki. Robię doskonałe, na oleju, ziemniaczane. Jadwisia zawsze lubiła... – Skierowała się do kuchni dość energicznie jak na swój wiek.

– Dlaczego ona mówi do ciebie Noreczku, przecież ty masz na imię Krzysztof. Wiesz, to śmieszne, ale ja nawet nie wiem, jak ty się nazywasz. Nie, nie chcę wiedzieć. Dla mnie jesteś Niedźwiedź – po prostu Niedźwiedź. Dziś mi jednak zaimponowałeś swoją babcią i tym wszystkim – zupełnie coś innego, nie spodziewałam się. Całkiem romantyczna historia. Mieszkasz sobie z taką staruchą, na strychu...

– Na poddaszu – wtrącił Niedźwiedź.

– Właśnie, na poddaszu, jak jaki artysta, a jesteś przecież – no tak... a co się stało z twoją Jadwisią?

– To była moja żona. Umarła na raka płuc.

– Przepraszam. – Głos Elżuni zabrzmiał bardziej miękko.

– Za co mnie przepraszasz? – Umilkli oboje. Po pewnym czasie Elżunia odezwała się pierwsza.

– Nic nie mówiłeś. Nie wiedziałam.

W tej chwili aż podskoczyła, bowiem powietrze rozdarł ostry dźwięk trąbki. Petronia, z dumnie wzniesionym czołem, dęła z nadspodziewaną siłą bojową melodię polskich legionów.

– Przecież to babci szkodzi – słaby, zrezygnowany głos Niedźwiedzia ginął w tumulcie dźwięków, w tej lawinie artystycznej starości. Babcia skończyła wreszcie – wydyszała się, nabrała nową porcję powietrza:

– Placki na stole. Proszę do kuchni – powiedziała.

– Dlaczego ty mnie nie zdradzasz?

– Bo nie mam czasu. – Żelazko fruwa jej w rękach jak gorący motyl.

– Widać twoja miłość jest mocno prawdziwa. Dobrze, że chociaż jesteś szczerą. Zresztą nie, nie wierzę w twoją szczerość. To zapewne jest prawda, że mnie nie zdradzasz, bo nie masz czasu, ale sama nie wierzysz w taką przyczynę.

– Głupi jesteś.

– Nieładnie jest zdradzać. Co? rozdawać swoją pełnię uczuć, swoją czystą wrażliwość, rozdawać bardziej lub mniej przygodnym oczom, ustom, palcom. Prawda?

– Jesteście fizyczni.

– Tak, potrafimy przeżywać zbliżenie z różnymi panienkami bez względu na rzeczywiste przywiązanie czy też istotny wybór. Owszem. Mogę cię nadal kochać i sypiać z twoją koleżanką. Przelotne trafienie się z inną jest zasadniczo dla mnie bez znaczenia. O wiele gorsze wydaje mi się poczucie niezmienności, może pozornej, ale odczuwalnej. Uwikłanie w rodzinność, przyzwoitość, dojrzałość, stateczność, powagę stanowiska – mam to wszystko gdzieś. Czytałaś „Ferdydurke” Gombrowicza. To niegłupia heca. Facet zasuwa z tornistrem na plecach do szkoły, chociaż jest już po trzydziestce. Traktują go jak szczeniaka. I dobrze, bo on by chciał być szczeniakiem jak najdłużej. Ze wszystkich gęb, jakie człowiekowi przyprawiają, najsmutniejsza jest gęba stateczna. Dystans do samego siebie jest rzadką sztuką, wyróżniającą człowieka refleksyjnego z całej szarańczy żrących, kopulujących, pierdzących ludzi.

Trudno się od nich uwolnić, tak jak nie można uciec od siebie i od wszelkiej powtarzalności, tkwiącej nie tylko w nas. Wczoraj słońce weszło i dzisiaj, tydzień temu prasowałaś i teraz prasujesz, nawet tę samą koszulę. A mała śpi, jak spała o tej samej porze dnia. Ale mała ma codziennie więcej komórek mózgowych, większe ręce, dłuższe włosy – trzeba jej podciąć, bo grzywka opada na oczy. I rozbieramy się, ubieramy się, i rozbieramy się, i ubieramy się, i ubieramy się, i rozbieramy się, i... i... Chciałbym powiedzieć ci kiedyś całą prawdę, chociaż sam nie wiem, jaka ona jest, rzucić ci nią w twarz, chociaż to wcale nie twoja wina, chciałbym rozwalić bańkę mydlaną naszego wokół siebie przycupnięcia, przerwać pępowinę wspólnego brzucha, złamać pieczęcie przysiąg, przyrzeczeń i tych podobno naturalnych obowiązków, a nawet przyjemności, rozkrochmalić wszystko, uciec, uciec gdzieś nigdzie, gdzieś bez celu, bezinteresownie. A potem smakować nieznanne, zachłystywać się niepowtarzalnym dotykiem wszystkiego, co nie moje. – Czy mnie z tobą źle? – Nie. Gorzej mi jest ze sobą. Jesteś ładna, delikatna, pewnie też dobra, ale poznana przeze mnie, ta sama. To jest twoja największa wada. Skoro nie mogę uciec od siebie,

uciekam od ciebie. Ale uciekam jak we śnie, drobiąc wciąż w tym samym miejscu. I dlatego ta cała fabuła, w którą przenoszę się bezustannie, jest coraz bardziej nierealna, lecz mimo to jest bardziej we mnie, niż ja jestem w tym pokoju. Wzdyma się tu suche powietrze, ciepłe od żelazka i rozgrzanej pościeli. Spójrz, otwierają się błękitne ślepka zaspanego dziecka, pachnącego snem, spokojem, rodzinnym zasiusianym szczęściem. – Spojrzała na mnie. Odłożyła ciepłą gadzinę, ruchliwą żywiółkę żelazka, odłożyła chyba po raz pierwszy coś, co było rzeczą, aby podejść do mnie i położyć mi rękę na szyi.

– Wybacz mi, nie lubię landrynków, to nic nie rozwiąże. – Zdejmuję jej ręce ze swojego karku. – Ale i tak Bóg ci zapłać, mógł mnie gorzej pokarać. Masz dużo wdzięku, a dawniej byłaś nawet sympatyczna.

Wchłaniamy szosę jednostajnym pożeraniem. Znowu jazda, znowu samochód. Gdzie i po co tak mnie nosi? Zenonek manewruje kierownicą, jak gdyby pisał wiersz – z polotem i z namiętnością. Pieści główkę biegów ręcznych, nogą przydeptuje do dechy. Zenonek wcale nie zwraca uwagi na dyrektora Kapuśniaka, który się z nami zabrał. Dyrektor ma głowę osadzoną w takim specjalnym imadle. Z przodu rusztowanie, z tyłu mechanizm w kształcie pierścienia, podtrzymujący mu głowę. Od chwili, gdy wyszedł ze szpitala, dyrektor Kapuśniak nie rozstaje się ze swym aparatem. Dyrektor poważnej kulturalnej placówki narażony jest na wypadki samochodowe, podobnie jak prawdziwi artyści, którzy w ostatnich latach bez przerwy się u nas rozwalają. Nie wiem, czy pod wpływem mody, czy też specyficznego artystycznego fatum, rąbnął Kapuśniak swoim fiattem kilka miesięcy temu o wędrowną krowę, a potem w słup telegraficzny, nadwreżył samochód i swoje kręgi szyjne. Teraz aparat musi mu podtrzymywać głowę, żeby nie spadła albo żeby się mniej chwiała. Wyobrażam sobie, że gdyby nie ten jeszcze jeden cud techniki, dyrektor Kapuśniak musiałby chodzić, trzymając bez przerwy głowę w rękach. A i teraz, kiedy Zenonek przeżywał chwile swojej męskiej rekonstrukcji i panował niepodzielnie na szosie, na zakrętach łepetyna nieszczęsnego Kapuśniaka orbitowała razem z konstrukcją podstawową. Jazda samochodem szybko mnie usypia. Sen w niewygodnej pozycji niewiele daje. Najgorzej jest się rozespać. Próbuję więc rozmowy. Właściwie nie chce mi się gadać. Jestem trochę po wczorajszym trzaśnięty – znowu była wódeczka, te same gęby, ta sama poetyka. – Ale się Bartłomiej wczoraj porzygał, co? – mówię. – Porzygał. – Widać, że Zenonek nie ma ochoty wynurzać się ze swego indywidualnego rozpędzenia.

– Po co ci wycieraczki przy pogodzie, tylko mażesz...

– Muszki – Zenonek jest po męsku lakoniczny.

– Miałeś wczoraj jaką dziewczynę? – nadal się dopytuje.

– Ja nie. Gucio zdmuchał. – Zenonek uśmiecha się przy tym perfidnie. Nie wiem czemu, ale przytakuję. – Tak. Gucio ma łeb. Prawdziwy wiejski poeta, krowę wydoić potrafi.

– Muszę się panom w tajemnicy przyznać, że i ja miałem w tej leśniczówce dziwną przygodę – włącza się do rozmowy rozchybotany dyrektor.

– Zdmuchał pan co? – pyta grzecznie Zenonek.

– To za duże słowo, panie Zenonie – uśmiecha się skromnie Kapuśniak – ale właściwie była to w swoim rodzaju pikantna historyjka. Proszę sobie wyobrazić – taka mocno podretuszowana koniaczkim panienka usiłowała się wczoraj do mnie dostroić.

– Niech pan opowiada – zachęca Zenonek.

– Co tu opowiadać? Ledwo się przebrałem w piżamę, ktoś stuka do drzwi. Otwieram, a tu bach! leci mi prosto w ręce. – Kotuś – mówi – chciałam cię trochę przekręcić – i śmieje się, leci mi w ręce i zanosi się od śmiechu. – Chciałam bliżej poznać ten twój instrument. – I chwyta mnie za aparat. – To, co mówi Kapuśniak, wydaje się nam mocno dwuznaczne, uśmiechamy się więc do niego po męsku, podkpiwamy sobie, i on też podkpiwa, jest zadowolony. Używa młodzieżowych powiedzonek, bo go na to stać. Może się trochę pozgrywać. On poważny, pięćdziesięcioletni pan na stanowisku, ojcem by naszym mógł być, ma więc prawo nawet na dystans do samego siebie.

– No i jak? – podobał się jej pański instrument? – Zenonek się trochę ożywił. – Najpierw to mnie diabli wzięli, bezczelna cipa – pomyślałem, chciałem ją wyrzucić, a ona mi – kotuś, pozwól to odkręcić, a będziesz mógł ze mną wszystko – i siada mi na kolanach. – Ależ pani redaktorko – usiłuję powstrzymać panienkę. Nadaremnie.

– Tak lubię rozbierać mężczyzn – i dawaj mi odkręcać pierwszą śrubkę. – Kochany dyrektorku, nigdy bym sobie na to nie pozwoliła, gdybym nie wiedziała, że za kilka dni zdejmie pan to interesujące jarzmo. Będzie pan wtedy zwyczajnym mężczyzną i nie będzie miał pan, kotuś, szans. Sama szybko rozebrała się do bikini i wtedy, proszę panów, odkręciła mi to cholerne paskudztwo, po czym odwróciła mi głowę do ściany. Nie bardzo mogę jeszcze władać swym ciężkim łbem, słyszałem więc tylko jak zdejmuje resztę garderoby i rzuca na podłogę. Straszne cierpiałem męki, nie mogąc tego zobaczyć. Usadowiła się na fotelu i zaraz zasnęła. Poznałem to po oddechu. Rano już jej nie było. Musiałem wołać na przyjaciół, żeby mi odnaleźli trzymadło, bo gdzieś wepchnęła pod łóżko.

Dyrektor usiłuje się roześmiać, ale jakoś mu to nie wychodzi. Po co on to nam opowiada? Głupia fabułka, ani do śmiechu, ani do płaczu. – Tak to różnie bywa – pointuje od rzeczy. Znowu chce mi się spać.

– To mówisz, że Guccio wczoraj... – zaczepiam Zenonka.

– Ano – potwierdza.

– Powiedz mi, stary, jak ty myślisz. Podoba mi się taka jedna, o której trudno powiedzieć, że ma już osiemnaście lat. Głupio trochę, nie?

– Idiota! – Zenonek znów jest lakoniczny.

– Zrozum. Uczennica. Porozmawiać – owszem, można było, raz ją nawet chciałem pocałować, ale się domyśliła i... Ja już nie umiem z młodzieżą.

– To fakt, trzeba umieć – przyznaje mi rację Kapuśniak, ze swoją przylepioną głową i przylepionym uśmiechem.

W tej właśnie chwili mijamy ślepego człowieka w czarnych okularach z białą laską. Klęczy przy szosie z wyciągniętą ręką.

– Co za cudak?! – Nie wiadomo, kogo Zenonek ma na myśli.

– No więc – kontynuuję – chodziłem tak przez parę dni z jedną panienką, sam zresztą wiesz i... i nie wiedziałem...

– To bardzo ładnie z twojej strony, bardzo ładnie.

– A ty co byś zrobił na moim miejscu?

– Wiesz, Filip, wiesz co ja ci powiem – my jesteśmy mięczaki i dlatego zawsze dostajemy po dupie. Nie chciałem ci tego powiedzieć, ale widzę, że ci to koniecznie potrzebne. Wiesz, z kim dzisiejszej nocy kotłował się nasz kochany Guccio? No zgadnij. Co się gapisz? A tak, z Elżbietką, właśnie z twoją grzeczną Elżbietką. Uczennica!

Nie wiem czemu, ale senność mi przeszła. Co ja mam do tej Elżbietki? Gdybym dowiedział się czegoś takiego o żonie...? Elżbietka – znam ją właściwie kilkanaście dni. Chętnie bym jednak Zenonkowi dał w gębę. Hamuję się i nic nie odpowiadam. Kapuśniak nie bardzo wie, o co chodzi. Na wszelki wypadek mówi, że to niemiłe i znowu się bałwan uśmiecha. Różne myśli skaczą mi po głowie. Wszystko to jednak powoli umyka. Zostaje gdzieś daleko, ukryte za sennym horyzontem. Porzucam chętnie ten krajobraz miniony, niech się zamieni w cichy poszum wiatru, który się wdziera przez otwarte okno. Co u licha? – na rogatce ten sam niewidomy klęczy i wyciąga rękę. Przecieram oczy.

– Zenonek, nie zablądziliśmy?

– He?

Zenonek zawisł nad kierownicą niby jastrząb nad ponętym jagnięciem. Patrzę przez okno. Pola, jednostajny, równinny teren. Lato jeszcze nie pokonane, ale już wystudzone, mniej namiętne. Patrzę przez okno i widzę jak wyprzedza nas jakieś auto. Poznaje markę – to volvo. Wydaje mi się, że na tylnym siedzeniu obok jakiegoś faceta siedzi Elżbietka. Volvo znika

nam na zakręcie.

Sen mój w samochodzie jest taki: śni mi się, że jadę samochodem przez pole ryżowe. Ryżu coraz więcej, zarasta mi drogę, grubaśny, trzciniastry, rośnie strzelistym lasem. Nic mogę przejechać. Spod karoserii wynurzają się dziwaczne ostrza wielkiego sekatora. Sekator zaraz się bierze do roboty i wycina przed sobą gęste wysokie trzciny. Metalicznie przy tym ujada i kłaska, a zaraz z przeciętych roślin płynie ludzka krew. Smutno mi trochę, ale ręce zacieram. – Polowanie – myślę. Nagle spada kolorowy deszcz. Zielona jego barwa miesza się z czerwienią krwawiącego ryżu. Barwy przetaczają się, zamazują horyzont. Z tego rozmazania wyłania się wreszcie czyste betonowe pole. Pośrodku pola stoi moja matka w za długim płaszczu. Siewnym ruchem sypie wronom ryż. Krążą wokół jej głowy, trzepocą u jej nóg. W powietrzu wisi gęsta cisza. Wiem, że wrony kraczą, ale ich nie słyshać, wiem, że matka woła – synku! – ale to tylko mój głos powtarza: – synku! synku!

Matka idzie. Skrzypią jej niemodne buty. Wciąż ma nadzieję na coś wielkiego jak obłok. Nic nie słyszę, ale wiem, że mówi: Trzeba jeść dużo jabłuszek, bardzo dużo jabłuszek.

Coraz więcej czarnych wron. Nagle matka unosi ręce i ulatuje.

Niebo zacieka błękitem. Nic nie widać, tylko szalone błękitnieniem niebo. Wreszcie ustępuje. Zamiast mego samochodu na leśnej dróżce drepcze ciemnogrnatowy żuk. Idzie ufnie, ale wiatr wywraca go na plecy. Wiatr huczy, chociaż nic nie słyszę. Żuk merda nogami, nadaremnie chcąc się przekręcić z powrotem. Widzę nagle czyjąś olbrzymią stopę, która zawisła nad żukiem, nade mną. Przybliży się, przytłacza. Obraz mazisto granatowy.

A ja tak wciąż w czterech ścianach – nie chce mi się przejść tych stu metrów nad morze – leżę i patrzę, jak się żona krząta, omija mnie spojrzeniem. Wreszcie wychodzi z materacem, kocem i dzieckiem na rękę. Joasia w mocno zaciśniętej łapce trzyma wiaderko. Na schodach słyszać hałas. Blaszane naczynie toczy się z jazgotem.

Nie ma ucieczki. Jest się tylko sobą. Życie jest tylko jedno. Kochaj swego bliźniego. Małpy skaczą po drzewach. Wody ubywa. A gdzie w tym zdaniu jest podmiot? W afrykańskich krajach zacofanych głoduje 80% ludności. A ja mam być optymistą, bo moja żona jest ładna i wierna. Między wieprzowiną i pietruszką jest tylko różnica w smaku. Sałatka ze śledzi, pikantne ogóreczki, za tych co na morzu! Sterta rybich głów prosto z sieci. Tysiące rybich pysków nadaremnie łapie powietrze. Sałatka ze śledzi dyszy bezsensownym, komicznym pragnieniem życia. I zaraz spadnie młot prosto w czaszkę. Wieprz jeszcze młody zanosi się od spazmów. – On już wie, on już przeczuwa w sobie kotlet wieprzowy i nóżki w

galarecie, drze się, jakby z otaczającej ciszy można było wydrzeć współczucie człowieka...

Przyroda, szlachtownie i ciepła, buchająca ciemnoczerwona jucha prosto z serca. Tysiące serc wypełnionych bezgłośnym skomleniem i nienawiścią – Wietnam. Afganistan. Idzie takie małe zdziwione, pełne huku i pustej ciemności w wypalonych oczach. Uratowana matka, przypadkowo cała, stoi z rękami, które ani opuszczone, ani wyciągnięte, martwe ręce żywego człowieka. Mam być optymistą. Przyjęto mi wiersz do „Kultury”. Nie pamiętam Oświęcimia. Mój ojciec musiał być tak chudziutki jak człowiek z Biafry. Ktoś powiedział, że Murzyni potrafią spokojnie umierać. To bardzo ładnie z ich strony. Liczby. Znów straszliwe liczby. Nie pamiętam. Nie znam się na liczbach. Są mi obojętne. Każdy człowiek jest tylko jeden. Udało mi się dostać dobrego stolarza. Obiecał dwudrzwiową szafę, połysk „prima sort”, sam postara się o surowiec niedrogo i szybko. Ech, gdyby jeszcze mieć dobrą gosposię do dziecka albo 126p, to kurczątko. Muszę być optymistą. Moja żona ma przecież wiele zalet, moje dziecko uśmiecha się do mnie tak bez oszukaństwa i po prostu, że nic mnie nie obchodzi Biafra i niech wszystkie skośne, żółte gęby zostaną ze swoim nieszczęściem daleko ode mnie, poza granicami mojej wyobraźni. Ja w ogóle nie chcę wiedzieć! Ja jestem optymistą! Ja będę jaroszem!

Elżunia przyzwyczaiła się szybko do dziwnego poddasza i szalonej babci Niedźwiedzia. Odwiedzała Noreczka dość często, sama nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi. Nic się właściwie na tym poddaszu nie działo. Niedźwiedź po dawnemu był zamknięty w sobie, najczęściej milczał i wcale nie szukał bliższego kontaktu z dziewczyną. Ustawiał sobie w oknie różnego kształtu słoiki i słuchał wiatru. Potrafili tak siedzieć obok siebie godzinami, nie zamieniając między sobą ani słowa, jak stare małżeństwo. Elżunia zapewne nie zdawała sobie sprawy z tego, że coś się w niej dokonuje, coś zmienia. Zrozumiała to o wiele później, o wiele za późno. Nadal traktowała starszego mężczyznę jak interesujące cacko, zupełnie odmienne od wszystkich przedmiotów jej prawdziwego świata.

Był inny. To że jeszcze do tej pory nie usiłował zrobić z niej swojej kochanki, zastanawiało ją najbardziej i trochę pociągało. Może jest niezdolny. Może to impotent – myślała czasami bez zbytniego zresztą przekonania. Coraz bardziej utwierdzała się w podejrzeniu, że Norus jest dobrotliwie stuknięty. Kiedy przychodziła, drzwi były zawsze otwarte – odnajdywała go najczęściej w kuchni, zajętego opukiwaniem różnych przedmiotów – szczególnie metalowych i szklanych.

Muzykalna babcia siedziała wtedy przy jakimś cudacznym instrumencie, przypominającym fortepian, i usiłowała przełożyć odgłosy, które wydawały obstukiwane

przedmioty, na tajemniczy język muzyków. Gryzmoła więc w starym nutowym notatniku. Na widok Elżuni Noruś przerywał swoje czynności, brał ze sobą kilka słoików i wyprowadzał się z tym wszystkim do pokoju. Babcia niebawem przynosiła herbatę ze słonymi precelkami. Była o wiele mniej ożywiona niż pierwszego dnia, kiedy poznała Elżunię. Wydawała się też bardziej normalna. Siedziało się już przy odsłoniętym oknie. Ptaki po prostu były wypchane. Babcia wypowiadała, jak to zwykle staruszka, te same kwestie, zapomniała, gdzie co położyła, na trąbie nie grała, czasami tylko cichutko, nawet nieśmiało, piszczła Chopinem na niewielkich organkach.

– Ja wiem, dziecko, że ty masz na imię inaczej – zwracała się do Elżuni – ale ja cię będę nazywać Jadwisią, bo tak przywykłam. Noruś miał siedem lat, kiedy umarła moja córka, a jego matka. Ojca też nie pamięta, bo zięć był bardzo odważny. Mówię ci, Jadwisiu – przychodził, bywało, kładł się na leżaku w ogrodzie, jakby przyjechał na weekend. Licho nie śpi.

– Babcia opowiada o okupacji – wyjaśnił Niedźwiedź.

– No i widzisz, przy samej ulicy, tyle że go porzeczeki zasłaniały, ale co to za porzeczeki. Każdy krzaczek chudziutki, zmarniały, nie miał się kto ogrodem zajmować, komu to zresztą było w głowie? O, ja wszystko dobrze pamiętam, bardzo dobrze, a najlepiej to jak byłam młoda. Mogę ci powiedzieć, jak która miała na imię, jak była ubrana. Wszystkie się kochały w nauczycielu gry na fortepianie, co go potem wyrzucili, ale mnie to zostało – ta miłość do fortepianu, dopóki go nie porąbałam. Więc zięć, póki wojna nie wybuchła, to był drań – nie lubiłam go, bo taki był ważny i nosił brzydkie, nieeleganckie kołnierzyki, ale po co ja ci to mówię! Był jednak wartościowym człowiekiem – zaraz go zabili.

Noruś się w niego wdał, więc uważaj dziecinko, Jadwisiu kochana, bo na takich ludzi trzeba szczególnie uważać. Chłopiec jest nieśmiały, zdolny bardzo, ale do życia nie ma szczęścia, a to jest najważniejsze. Ty mu, Jadwisiu, powinnaś pomóc, bo chociaż go koledzy szanują, to właściwie on nie ma kolegów i beze mnie byłby tylko miał ciebie, ale jak ja odejdę i ty odejdziesz, chociaż w inną stronę, to dla niego będzie zupełnie, jakbyśmy go zostawiły.

Dzisiaj się trochę rozgadałam, może to niedobrze, ale chciałam, żebyś zrozumiała, póki nie jest za późno. Powinnaś się nauczyć robić na drutach, jak się nie znasz na muzyce – trudno, nie wiadomo, dlaczego Bóg cię pokarał, ja bym się na twoim miejscu powiesiła, jakbym była tak głucha jak ty – pień zupełny! – Tamta Jadwisia, to chociaż udawała, że coś słyszy. Idę usmażyć placki.

– Co ją tak rozsierdziło? – starała się zrozumieć zdziwiona Elżunia.

– E, nic, zagadała się. To się czasem ludziom zdarza. Własne słowa roznamiętniają, a



babcia ma duszę artysty.

– Kupa wariatów – dziewczyna wzruszyła ramionami. Babcia już nie raz była agresywna. Często miała coś za złe Elżuni. Dziewczyna nie mogła się jednak powstrzymać, aby nie wpaść do Niedźwiedzia chociażby na chwilę. Coś ją tam ciągnęło.

– Co ty właściwie robisz, Noruś? – przezywała go tak czasem z babciną intonacją. – Co wy właściwie majstrujecie z tą zwariowaną Petronelą? Duchy wywołujesz z garnków? Może jesteś asystentem czarownicy?

– E, to takie bąbelki...e... nie warto.

Niedźwiedź nigdy się przed Elżunią nie zdradzał ze swych tajemniczych praktyk. Właściwie nie miała prawa, by czegokolwiek żądać, nie miała prawa do jego życia i czuła to wyraźnie, jak każda kobieta lub dziewczyna, która nie stała się jeszcze naprawdę kobietą dla swojego mężczyzny.

Stosunek własności między ludźmi wytwarza się zwykle dopiero po dokonaniu się stosunku płciowego. Jest to niepisane prawo. Któregoś dnia Elżunia spytała wprost:

– Niedźwiedziu, dlaczego ty mi do tej pory nie wsadziłeś? Nie chciałbyś?

Niedźwiedź, trochę gapiowaty, popatrzył na nią jak na zbyt szybko kiełkującą roślinkę.

– Wiesz, mam jeszcze jedną ważną sprawę, posłuchaj – jak w dużym słoiku jest mały słoik i są one ze sobą stopione, a między nimi jest powietrze, i w tym małym słoiku jest na dnie woda – to jak go postukasz...

Elżunia popatrzyła z politowaniem.

– Ty się sam postukaj.

Niedźwiedź siedział w swej norze. To już zaczynało Elżunię irytować. Nie mogła go namówić ani na Kamieniołomy nocą, ani na Europejską za dnia, ani na żadne party u dyrektorowej departamentowej. Nawet już rzadziej wymawiała przy nim tak mile brzmiące słowo „Spatif”, bo ziewał.

Spódniczkę jeszcze bardziej skróciła, a babcia zaraz zapytała, dlaczego chodzi w majtkach, więc przyszła w majtkach, takich specjalnie uszytych, co spod spódniczki wylażą. Kolorowe były, z intymną koronką. Miała za to bardzo długi płaszcz, jak to bywało w czasach babcinych – prawie do kostek.

– Ech, gdybyś ty był Europejczykiem – wzdychała, patrząc na Niedźwiedzia. – Żebyś ty się znał na sztuce albo żebyś chociaż chciał zrobić karierę. A może ty chcesz robić karierę? Może masz zdolności plastyczne? Pozowałbyś najpierw u jednej Mulatki. Jest malarką, to moja dobra znajoma. Tylko nie daj się, bo ona sypia ze wszystkimi modelami. Zdolna dziewczyna. Już po raz czwarty wychodzi za mąż, a ma dwadzieścia pięć lat.

– Ty pewnie chciałbyś być muzykiem?

Niedźwiedź spojrzał jej głęboko w oczy.

– Tak, chciałbym – odpowiedział poważnie.

– To wiesz co, kupimy ci gitarę. – Dziewczyna natychmiast wybiegła, uradowana ze swego pomysłu.

W kilka dni później pod starą przedwojenną rudere zajechał prześlizniętej maści opel kadett. Wyskoczył z niego „basowy” z długą, falującą grzywą. Trzymał w ręku gitarę przedniej marki, błyszczała w słońcu. Elżunia pobiegła pierwsza, wskazując drogę. „Basowy” pognął za nią w podskokach. Kiedy otworzyli drzwi na szóstym piętrze, byli całkiem zadyszani. W progu stanął Niedźwiedź.

– To jest Niedźwiedź – powiedziała – a to w Polsce pierwszy „basowy”, Edzio. Da ci kilka lekcji na tym instrumencie.

– Elka! – chłopak złapał oddech, ale go coś zamroczyło, bo wybuchnął strasznym śmiechem. – Elka, ale... to... ale to...

Zatoczył się w drzwiach i śmiejąc się zbiegł z powrotem ze schodów. Niedźwiedź się zmarszczył. – Co mu się stało? – Wzruszył ramionami. Elżunia również nic nie rozumiała. Głupi wygłup. – Ten „basowy” to trochę szmergiel – nie? – dopytywał się Noruś. – A bo ja wiem? – dziewczyna odwróciła się na pięcie. Tego wieczoru Niedźwiedź postanowił, że wyjadą nad jeziora. Na poddaszu jest stanowczo za gorąco.

– Piękna jesteś kobieta?

– Pewnie.

– Marnujesz się przy mnie?

– Pewnie.

– Nie rozumiem, jak taka piękna i wykształcona kobieta może się przy mnie marnować. Kupiła sobie maszynę do szycia. Teraz to już zupełna paranoja. Płaczą się jej myśli z niemi. Cała jej filozofia ginie w fastrygach.

Kobieta jest nie tylko przebiegła, ale i zupełnie inaczej niż mężczyzna konkretna – w pewien szczególny, namacalny sposób. Wydaje mi się czasem, że mężczyzna wynalazł kobietę, a kobieta resztę materialnego świata. Oczywiście jest to złudzenie, bo mężczyźni wynaleźli wszystko.

Podejrzewam jednak, że gdyby nie było kobiet, nie wynaleziono by maszyny do szycia. A wtedy moja żona nie mogłaby zaznać w pełni smaku świata. Zresztą i tak się marnuje. Psychika kobiety składa się z podświadomości, kobiecej intuicji, próżności, erotyzmu,

czułości i innych błahostek – ale nie ma w niej nic na serio metafizycznego. Metafizyka graniczy ze sztuką. Jest podstawą, może nawet prąródłem wszelkiej twórczości. Kobiety nie tworzą, kobiety jedynie generują to, co w nie wrzucono, jak taśmę programującą w komputer. Według reguł substytucji przy określonym pierwotnym, wyjściowym założeniu. Nie ma w tym nic boskiego. Owszem, sprytna to sprawna, nieraz przewyższająca nas precyzją maszyna, niekiedy odznaczająca się przy tym wdziękiem i powabem. Ma smukłe rozszerzające się ku górze, owalnopupiaste nogi. W jej środku znajduje się zestaw specyficznym sprzężonych soczewek, pozwalających wyławiać z rzeczywistości mnóstwo nieprzeczuwalnych dla nas światłocieni. Ale cóż, delikatność i wrażliwość kobiety wynika jedynie z jej fizyczności, z przerafinowanego i jednocześnie nie dostosowanego do surowej przyrody ciała, które w tej niedogodnej wielowiekowej sytuacji musiało się odpowiednio inaczej ukonstytuować, by właściwie reagować i równoważyć ze środowiskiem. Ale i tak w większości wypadków potrafiła sobie podporządkować samca, który na tyle jest głupi, że nie zdaje sobie sprawy z tego, iż jest od niej mądrzejszy. Kobieta poza tym dysponuje czarem, ale to też nie jest metafizyka. Dobrze o tym wiedzieli święci inkwizytorzy i dlatego mogli sobie pozwolić na różne wesołe psoty z czarownicami, absolutnie się ich nie obawiając.

Ja natomiast nie mogę sobie pozwolić na wiele w stosunku do mojej żony i z tej racji cierpię niemało.

A przecież z taką satysfakcją oglądałbym ją w zatrutej koszuli z odrąbaną głową, powieszoną za nogi nad zapalonym stosem na zmuszalej tratwie, która dostała się właśnie pod wodospad Niagara.

Ach, jakie intensywne uczucie żywię do mojej jedynej wobec Boga.

– Ten ginekolog to wyjątkowo piękny mężczyzna – naraz sobie przypomniała.

– Aha, a ty piękna jesteś kobieta. Wszyscy się marnujemy. Zapewne całe tabuny kobiet przychodzą do niego jak do komunii.

– Jakbyś zgadł. Jedną to nawet wyrzucił. Ale zdążyła się rozebrać.

Zenonek wygląda jak rybak. Przygarbił się nad stołem w takim rybackim skafandrze z postawionym kołnierzem, w ceratowej czapce z szerokim, okrągłym rondem.

– Czy chciałaby się pani ze mną pierdolić? – Zenonek przegina się w ukłonie. – Tak, właśnie pani. – Aż dziw, że fizycznie nieobecna interlokutorka nie wyłania się z jego wyobraźni na wierzch, by mu dać po mordzie.

– Hrabia uderzał się w takich razach lekko po nodze końcem ozdobnej laseczki, z którą się nigdy nie rozstawał – kontynuuje Zenonek.

– Tfu! – spluwa w garści. Wstaje, prostuje się.

Nieliczni plażowicze, którzy w czas niepewnej pogody schronili się pod dachem kawiarenki nad samym jeziorem, spoglądają ku nam z zaciekawieniem. Zenonek nalewa sobie czystej z własnej buteleczki do garnuszka, z którym się nigdy nie rozstaje. Garnuszek ma kształt nocnika. Już trzeci dzień świeci nam w oczy tym ekwipunkiem. Znów spluwa w garść, jakby miał zaraz podnieść wielki ciężar i grzmi: – Co mi tam! bo to ja na panią lecę?! Co? To pani tego chce. Cicho! Znam. Znam na pamięć te wasze oburzenia. Oczy do góry białkami. Pogardliwe wykrzywienie ust. – Co? – brzydkie słownictwo? Wyście do tego nie przywykły? Cham jestem? A pani wie, co ja mogę w łóżku?

Zenonek rozpalił się. – I wiecie państwo? – Hrabia jestem – powiada – więc mi wolno i po chamsku, i po hrabiowsku. Tytuł mam i krew błękitną i niech mi żadna nie mówi, że to nic nie znaczy. – Taki był. Albo, bywało, podchodzi do nieznajomej w parku, wskazuje na nią laską i mówi: – Ty jesteś kot – ty mi będziesz służyć. – I służyły mu, a owszem. Najpierw się śmiały, a potem szły z nim na materac, bo my, Filip, jesteśmy za delikatni, za dużo mamy kompleksów i cywilizowanych przyzwyczajęń, a to trzeba wszystko tak, za mordę, o tak. – Zenonek zaciska kułak.

– Bił je szpicrutą po hrabiowsku – szanowały go i prosiły o miłość. Tak trzeba.

– Jak trzeba, panie Zenonku, jak? – Dyrektor Kapuśniak jedną ręką poprawia sobie chomąto, drugą obejmuje młodocianą blondynę w przeciwdeszczowym płaszczu, narzuconym na skąpy plażowy kostium.

– Panowie poeci – prawdziwi mocarze świata tego, i pani Elżunia – moje największe odkrycie na tej paskudnej plaży – dokonuje prezentacji Kapuśniak.

– Druga Elżbietka – mówię do siebie półgłosem.

– Dlaczego druga, panie Filipie? – pierwsza, najpierwsza i jedyna w swoim rodzaju. Nie znam innej i nie chcę znać. – Stary rozpuścił się w komplementarskiej słodyczy.

Rozsiadł się przy naszym stoliku i mędzi.

– Cudowności świata trzeba zbierać szczególnie uważnie, żeby nie uronić, z pietyzmem i czułością znawcy – nieprawdaż, panie Zenonku? Trzeba trochę po ojcowsku, trochę jak kustosz – znawca sztuki helleńskiej.

– Eee... – Zenonek z trudem się opanowuje. Widzę, jak mu warga lata. Patrzy pogardliwie na Kapuśniaka.

– A pan wie, panie dyrektorze, jak w Gdańsku w pewnym salonie marynarze o kurwę grali? – Z którym mam pójść? – mówi dziwka – sama nie wiem. A który z was ma lepszego, który? – No tak zaraz poprobujęm – marynarze spojrzeli na siebie. – Będziem walić w stół, a

ty wybieraj. I wyciągnęli na wierzch i rąbali z całej siły w stół aż grzmiało. Dziwka usiadła i prawie płakała z radości. – Obydwajście dobrzy – krzyczała, ale już jej nie chcieli, bo spuchli. O, widzisz pan, panie Kapuśniak. Elżunia rumieni się, niby szuka czegoś w torebce. Kapuśniak chwyta się obydwoma rękami za trzymadło, które go nagle mocno uwiera.

– No jakże to tak... – spogląda ukradkiem na Elżunię.

– A z tym hrabią to ci nie skończyłem.

Zenonek nie zwraca uwagi na Kapuśniaka – z tym hrabią to trochę było nie tak, bo on się w końcu sam w jednej zakochał i okazało się, że wcale nie jest hrabią, a nawet nie jest mężczyzną. Dziewczyny za nim latały, dopóki nie musiał się kłaść z nimi do łóżka. A był też i drugi, co był pies na baby, mocno go kochały na wczasach, bo prawdziwy górnik – na przodku strasznie głęboko pod ziemią całe życie siedział, rąbał czarną skałę, aż mu w plecach rósł pył węglowy. Uśmiechnięty zawsze i mocny – na sztandze podnosił dwie tłuste baby, więc się pannom wczasowiczkom podobał że hej! Włosy sobie z głowy o niego wydzierały, taki miał być prawdziwie rasowy, ale się okazało, że tak jak ten hrabia podrobiony, żaden górnik, tylko zwyczajny artysta plastik, i to małego kalibru. Artystów plastików jest prawie jak poetów, a do tego są głupszi.

– Dlaczego? – ja bardzo lubię malarzy.

– Niech się pani nie wtrąca – gromi Zenonek Elżunię. Przez chwilę panuje milczenie. Widać, że zbiera się na deszcz, a to zbieranie się na deszcz nie nastraja Zenonka przychylnie do ludzi. Znowu pije, nawet nie częstuje, chudzina taki, wrażliwy, zdenerwowany. Oczka mu się świecą. Chciałby coś przełamać, pokonać coś w pierwszym boju, rozkłada bezradnie ręce – no tak, jesteśmy mięczaki – powtarza swój refren i nagle tym samym tonem, tylko trochę ciszej mówi:

– Idą, idą prosto z wody. – Podążamy za jego wzrokiem. Z gęstniejącej przedwieczornej mgły, wprost z jeziora, wyłaniają się ociekające wodą psy. Jest ich chyba osiem. Otrząsają się z wody i jak nieoczekiwane zjawy, jak duchy psów, idą ku nam. – Psy – słyszę swój głos.

W poszumie gwiazd, kiedy ogarnia cię to wielkie Bezsensowne, które ludzie nazywają Nieskończonym, nie rozumiejąc, co to może znaczyć, rozpływasz się w chwilach styczności z Bogiem. To jest właśnie wtedy, kiedy potrafisz tak wnikać w siebie samego, że już przestajesz odczuwać jakąkolwiek odrębność, a więc i swoją, i otaczającego świata. Jest to drugi biegun schizofrenii lub rozdwojenia jaźni, kiedy potrafisz być jednocześnie i w sobie, i obok. Ci chorzy, psychicznie uzdolnieni ludzie, potrafią odczuć delikatne skrzydło metafizycznego liliowego anioła, który się zjawia w ich rozkoncentrowaniu, w swoistym

psychicznym zezie. Kiedy jednak słyszysz szum gwiazd, zaplątany rozpaczliwie w odległe konstelacje, i jesteś naraz we wszystkich źródłach światła poruszanych śpiewem drutów srebrzystych, co biegną przez twój mózg – jesteś we wspaniałej, wszechogarniającej koncentracji i nic nie jest w stanie jej przeszkodzić, zachwiać twej harmonijnej wszechobecności, dopóki się nie obudzi imbryk z gwizdkiem – twój poranny przyjaciel, rozhisteryzowany, gorszy niż attycki kogut, pyskаты, ale swojsko napominający, że czas na herbatę, że czas rozróżniać nie tylko przedmioty, ale i godziny, o wiele mniej kanciaste od tych przedmiotów, bo płynne, inaczej niż herbata, którą jednak wypijasz z zadowoleniem. Ciepła materia w tobie. Jesteś już sobą naprawdę.

I z tej perspektywy wewnętrznej ciepłoty patrzysz inaczej na dopalone gwiazdy, które są już dla ciebie po prostu sfajczalnymi cekinami, bzdurkami, co ci się śniły w stosownej, dawno przebrzmiałej porze.

A teraz ty, osobny człowiek, pan swojego imbryka, jesteś całkiem spokojny i trzeźwy i nie przychodzi ci nawet do głowy, że mógłbyś za zbyt wysoki ton nawymyślać temu z gwizdkiem.

Skądże? Jesteś obyty w tym świecie uporządkowanych rzeczy. Do wymyślania jest żona, która ci wychodząc, nastawia imbryk z gwizdkiem, bo nie masz budzika, szczotka jest do sprzątnia, Czas do cykania, imbryk do herbaty, kogut do piania albo do kury, albo na stół. A swoją drogą – nieszczęśliwe są koguty. Rodzą się z tak jednostronnie i prymitywnie potraktowanym przeznaczeniem. Masz bratku trzydzieści kur – ćwicz je od rana, a jak się nie wyrabiasz, to rondel, albo od razu rondel, jak ci się nie udało być poczętym z jaja na solidnej farmie. Nie chciałbym być kogutem. Zasmuciły mnie również trzy kury w Krynicy. Obserwowałem je idąc ścieżką pod górę do jednego z domów wczasowych na obiad załatwiony po protekcji. Te trzy kury stały sobie spokojnie na balkonie szarobrudnego domku, a właściwie to czuło się, że są tam wystawione i nieruchomo czekają nie wiadomo na co, chociaż ja się domyślałem, na co. Drugiego dnia również szedłem tą samą ścieżką na protekcyjny obiad.

Tu się należy pewne wyjaśnienie. Był to sezon zimowy, i nie w Krynicy Morskiej, jak ktoś, przywykły od poprzedniego krajobrazu, mógłby być przypuszczać, ale w Krynicy Górskiej, co w związku z sezonem i trudnościami bezprotekcyjnego stołowania nie zmienia stanu rzeczy. Więc te trzy kury, kiedy szedłem na drugi dzień, znajdowały się w tym samym miejscu. Trudno jednak powiedzieć, że stały – właściwie były przycupnięte. To chyba lepsze określenie. Nic zresztą nie zawiera się w tym określeniu osobistego czy też subiektywnego ze strony marznących kur. Zastanawiające jest, jak zwierzęta o niezbyt wysokim intelekcie

potrafią być cierpliwe w swej niedoli, biernie – i tak niewiele same z siebie wyrażające. Może to jest zresztą szczególną cechą kur, bo na przykład karaluch albo prusak, jak się mu w kuchni zaświeci w oczy, to się bardzo gorączkuje i zmyka wszystkimi swoimi nogami. Ryba natomiast milczy.

Trzeciego dnia stały te trzy kurzyny na balkonie jeszcze bardziej osowiałe – czy kura może osowieć? – jeszcze bliżej siebie niż w dniach poprzednich, widocznie tak im było cieplej, a może raźniej, właściwie to już prawie siedziały jedna na drugiej, ale nie tak jak kogut na kurze, to były zresztą same kury, i wyłaziła z nich beznamiętna determinacja, taka kurza ugoda, aprobata wszystkiego, co ten cudowny, choć ostatnio trochę mroźny świat im przynosi.

Ale po co ja o tych kurach?

Stały sobie na balkonie. Na pewno już niedługo, bo chociaż po świętach, to przecież w domach wczasowych je się codziennie, czasami nawet kury.

Sam też jadłem. Może właśnie te moje z balkonu. Jeśli tak, to bardzo mi przykro. Zresztą dlaczego? dlaczego miałbym je wyróżniać? Nie pamiętałem wtedy o nich, kiedy jadłem kurę w domu wczasowym. Ale rzeczywiście, ze znajomymi zazwyczaj postępuje się inaczej niż z całkiem obcymi. Chociażby w pociągu albo w kolejce do kina. Gdyby to byli nieznajomi, to byśmy ich obrugali, że się pchają przed nas, a tak to pozwalamy się obrugać innym, za tych naszych znajomych, którym kupujemy bilety, chociażby to byli znajomi poznani przed chwilą, sto metrów wcześniej przy kiosku z gazetami albo w pijalni wód – u wodopoju, nie, u wodozdroju – nie, chyba ani tak, ani tak, dość że narażalibyśmy się dla nich. Może dlatego, gdybym wiedział, że to są moje znajome kury, byłoby mi przykro. Jestem pewnie przewrażliwiony, bo na wsi gospodyni wita się z nimi co dzień, nosi im ziarno, maca jaja, cip, cip – woła, a potem całkiem zwyczajnie dyda je kuchennym nożem po delikatnej szyjce.

Ale po co ja o tych kurach?

Nie wiem, co chciałem przez to powiedzieć. Na pewno miałem coś na myśli.

Założyłbym się, że w poincie siedziała żona.

Albo stała jak te kury na balkonie, o właśnie – przycupnęła, jak ta bierna, przywiązana do świata, ożywiona materia. Ale co to za ożywienie?

Nie, tym razem nie o to mi chodziło.

Bo jak szedłem ścieżką do góry opodal balkonu z kurami, to myślałem o attyckich kogutach i o ich pianiu, które tak sugestywnie i znacząco opisał Wolfgang Hildesheimer w swoim „Tynsecie”. W jego zwykłej, dwudziestowiecznej prozie, smakowitym monologu wewnętrznym, otarłem się o współczesną metafizykę gwiezdą. Ech, gdybym ja tak potrafił –

choć na jednej stronie. Nie pisałbym już następnych. Mógłbym się już zamienić w kurę, którą dopadła na balkonie wielka Koncentracja. Domyślam się, że te stateczne zwierzęta od dawna posiadły filozofię Wschodu i teraz z wyćwiczonym spokojem, płynącym ze zrozumienia wszelkiej konieczności, czekają na metafizyczny, a jednak prawdziwy szum gwiazd.

Oto jestem w mrocznym, intymnie urządzonej wnętrzu. Znajduje się tu kilka porzuconych beczek. Palą się na nich świeczki. Jedni snują się bez celu, drudzy leżą na podłodze, patrzą w sufit. Abstrakcyjnie wymalowane ściany. Dziewczyna w krótkim szarym worku na głowie ma włosienicę. Niesie miednicę z namoczonymi różgami. Rozdaje je stojącym w zadumie. Rozbiera się. Nikt na nią nie zwraca uwagi, bo oto pojawił się On. Wiem, że to On, chociaż nie wiem kto. Obojętnie mija odprawiających swoje przyziemne czynności, ze wzgardą i wyższością rozpoczyna swój „kapłański” obrządek. Wpół intonując, wpół mówiąc, wygląda jakby się modlił przez sen. Pełzną ku niemu z różnych kątów „wierni”, akcentując silniejsze momenty, rwą na sobie odzież. Leci z niej wtedy gęsty, białawy kurz. Z kurzem spływają na słuchaczy słowa kojące o bezsensie wszystkiego, co nas otacza. Chwilami zagłuszają go pełne rozkoszy wrzaski chłostanej. „Wierni” rezonują. Idę machinalnie ku temu, który coraz bardziej śpiewa, niż mówi. Rozmazuje się w mej pamięci niepokojąco wzniesiony ołówek, który w ręce śledczego zawisł jak miecz Damoklesa. Przyznanie się do winy wobec braku kary nie dało mi ukojenia. Powoli ustępują minione obrazy: noc z Elżbietkami, ujadający babsztyl, komenda, protokół, porwanie. Przebija się przez to zwycięsko głos nawiedzonego: – Precz z bogami racjonalizmu! Wszystko jest godne pogardy! Żyjmy bezinteresownie. Bracia! Nie zdobywajcie przedmiotów! Pozbywajcie się ich! Pozbądźcie się wszystkiego – zdobędziecie siebie. Wasze odruchy są święte. Wasza wola nie może być niczym skrepowana, bo wola komuś lub czemuś podporządkowana nie jest sobą. Wolność to impuls! Wolność to czystość! Jesteśmy czystymi braćmi, choć nas gryzą wszy. Jesteśmy wolni!

Z góry wali się kosmaty pająk, sieć. Nagie ciała kotłują się wokół mnie, przygniatają. Znów jakieś węzowe ręce suną mi od kostek nóg ku udom, przebiegają pieszczotą delikatną i obleśną. Dym kadzidła odurza mnie i pobudza dziwnie. Chce mi się kołować wraz z innymi. Moja głowa osadzona jakby na obcym tułowiu już mi zaczyna krążyć. Żmijki cudzych rąk wdzierają się powoli we mnie ze wszystkich stron. Zaglądają mi do mankietów, pod koszulę, wsuwają się w spodnie. Nagie długie uda dziewczęce pojawiają się tuż przed moją twarzą, oplatają mnie swą prężną gładzizną. Czuję ich słodkogorzki smak. Mam je w ustach.



Spożywam niczym komunię. Ciało i krew panięską. Gładko mi, wypukle. We mnie, przede mną. Po dziewczęcej skórze, przy której drżą moje wargi, toczą się krople soków życiodajnych – może to z brzozy przekłutej przeze mnie przed laty w puławskim lesie. Pamiętam – do wydrążonego otworu wraziłem rurkę, taką wąską rynienkę i przywiązałem do jej wylotu butelkę. Sok skapywał powoli, gorzkosłodki, cierpki, brzozowy. Nigdy go nie zapomnę – smak dzieciństwa. Coraz bardziej mnie oszołamia. I ten zapach kadzidła, pomieszany z zapachem ich ciał. Liżę korę brzozy, białą, gładką korę. Może to czyjaś skóra. Dwie dziewczyny zdejmują mi koszulę. Uśmiechają się przy tym obiecująco swym spokojnym, wyrozumiałym uśmiechem. – Jesteś słodki chłopak – szepce jedna z nich. Wrywa mi się cichy jęk.

Elżbietki dyskretnie wyprowadzają mnie piwnicznym korytarzem. Chcę o coś spytać. Jedna z nich kładzie mi palec na ustach. Zbliżyliśmy się do volvo, stojącego na obszernym dziedzińcu. Nagle reflektor samochodu pędzącego wprost na nas. Uskakuje w bok. Zawraca. Kulę się pod żywopłotem. Światłne macki. Zaczynam biec. Samochód goni mnie równoległe ze ścieżką po drugiej stronie żywopłotu. Już się prawie ze mną zrównał. Z auta wyskakuje dwóch mężczyzn. Mają mnie. Nie, jeszcze nie. Uciekam zakosami. Biegnę tak szybko, jak mój strach. Nie przypuszczałem, że potrafię tak biec. Tuż-tuż za mną tupot nóg. Już prawie czuję czyjś oddech. Na oślepie lawiruję między drzewami. Pod stopami podmokła łączka. Potykam się. Jestem zupełnie wyczerpany. Z trudem łapię powietrze. Wczołguję się do niewielkiego dołka. Opadam na jego dnie. Czekam. Byle złapać oddech. Leżę dłuższy czas na dnie rowu i dyszę: Elżbietki – moje fatum. Nie ma ucieczki od Elżbietek, tak jak nie ma ucieczki od żony. Chociaż to co innego. Przed nimi uciekam, a jednak je gonię. Wciąż mi się wymykają, ale i ustawicznie mnie tropią. Jest we mnie jakaś drażniąca ciekawość, która przewycięża obawę. Chciałoby mi się podejrzeć, dotknąć. Wróć. Nie! Lepiej schować głowę w tłustej kałuży albo w stogu siana. Nie! Wróć. Ech, zakneblować by ten trzaskający głupstwem mózg.

Za rogiem omal nie wpadam na człowieka, który mnie ścigał. Już go prawie mijam. On jednak kładzie mi rękę na ramieniu. Idziemy przez długie ciemne korytarze, nisko sklepione drzwi. Panuje tu surowa asceza; okna zakratowane, półmrok, prawdziwe cele. Przyjmuje mnie dwóch zakapturzonych. Znowu idziemy nie kończącymi się korytarzami.

– Gdzie ja jestem? – mówię jakby do siebie. – To cudowny zakon – z wielkim zadowoleniem oznajmia spasiony „mnich”.

– Sądziłem, że w dzisiejszych czasach nie ma masonerii. Grubas śmieje się chytrze. Drugi, zasuszony, o kamiennej twarzy, marszczy brew. Grubas poważnieje. Wprowadzają mnie do

przestronnej komnaty bez okien. Zgromadzone są tu zmyślne, średniowieczne przyrządy, służące do przypominania o cielesności naszej marnej powłoki. Zbytek tu różnego rodzaju dyscyplin, rzemieni, batów zakończonych ołowianą kulka, są też kłody, gąsiorzy, pręgierz, a nawet koło do łamania kręgosłupa. Są i inne narzędzia, których bolesne zastosowanie nie jest mi nawet teoretycznie znane. Przy palenisku uwija się mężczyzna z muskularnym gołym torsem, którego twarz przypomina mi autoportret Rembrandta. Obsługuje długie szczypce służące do przypiekania ofiary. Robi mi się niedobrze. – Dla nich pracujesz? – Spoglądam w kierunku, skąd dochodzi głos. Pojawił się niepostrzeżenie człowiek o inteligentnej twarzy i smutnych oczach. I on wydaje mi się dziwnie znajomy. Przypomina mi naszego wieszca, przyjaciela Zenonka.

– Dla nich pracujesz? – ponawia pytanie, stając przy mnie. – Ja z nimi nie mam nic wspólnego, ja w ogóle nie chciałem. Zabrały mnie tym przeklętym volvo, ale ja nie mam z nimi nic wspólnego.

– Czy naprawdę nie masz z nimi nic wspólnego? – Waży słowa spokojnym, głębokim głosem. – Mów szczerze. My i tak wszystko' wiemy. Mamy wszędzie swoje oczy, mamy wszędzie swoje uszy. Jesteśmy i byliśmy zawsze. Wiemy, że chcesz się od nich uwolnić, ale mimo to wciąż jesteś z nimi. Dręczy cię problem odpowiedzialności. Poniesiesz więc karę, w ten sposób odpowiesz za swoje pragnienia, pozbędziesz się swojej uciążliwej odpowiedzialności. Należysz do ludzi, którzy sami nie potrafią się z tym uporać i którym kara jest potrzebna jak powietrze i woda. Nauczysz się u nas żyć prawdziwie. Czy chcesz zostać jednym z nas? Nie odpowiadaj. Wiem. Każdy chce żyć prawdziwie... Najpierw więc chrzest ognia. – Daje znak. Zbliży się do mnie człowiek z rozżarzoną żelazem. Okrutnie boję się bólu. Przytomność odzyskuję już w innej sali. Mam na sobie podobny jak oni strój, ale biały. Odprawia się tu coś w rodzaju swoistej mszy. Mistrz w czymś na kształt rzymskiej tuniki wykonuje czynności rytualne. Akompaniują mu przy tym młode „mniszki”, pobrękując dzwoneczkami i obsypując go kwiatkami. Jak zauważyłem, panuje tu zwyczaj posypywania się płatkami kwiatów przy mijaniu się. Zamiast „dzień dobry” lub „niech będzie pochwalony”, wyznawcy wolnej wiary obrzucają się kwiatami, wypełniającymi dzbanuszek, przytroczony u pasa habitu. Mistrz krząta się przy palenisku niby przy ołtarzu. Po obu jego stronach dwaj zakapturzeni machają kadzidłami, przepełniając wnętrze odurzającą słodką wonią. Jestem trochę zamroczony.

– Oto zbratanie przez krew – słyszę szept mojego opiekuna. Mistrz jednym ruchem przecina kogutowi szyję. Tryska czerwona posoka. Dziewczęta podstawiają ozdobne konchy, do których skapuje żywa czerwień. Mistrz nadpija pierwszy. Rozlega się szybki, rytmiczny

odgłos perkusji. Zakapturzeni machają kadzidłami do zwariowania. Wszystko mi się mąci. – Dlaczego mnie ścigacie? – pytam szeptem mojego towarzysza o smutnych inteligentnych oczach. – To ty nas ścigasz – odpowiada równie cicho. Słodkomdłący zapach. Rozpędzone tunele. Zapadam się powoli, a naprzeciw mnie płyną srebrnołuskie rzeki.

Nie wiem, dlaczego moja modliszka co tydzień chodzi do ginekologa. Już mi łatwiej zrozumieć jej matkę, która równie często chodzi do spowiedzi. Sam kiedyś chodziłem do spowiedzi, dopóki nie zacząłem ulegać wpływowi złego ducha w zaroślach. Spowiedź to najbardziej obrzydliwa rzecz. Przypomina mi karmienie niemowlaka w pociągu.

Karmiąca swobodnie przy wszystkich wyciąga pierś nabrzmiąłą mlekiem i dumą i wpycha rozdartemu w paszczę. Małe od urodzenia żarłoczne, a nade wszystko gotowe do narkotyzowania się, upaja się mdłym zapachem matczynego ciepła, wyduszając kropelkę po kropelce, niby spowiednik wysysający grzechy przed udzieleniem rozgrzeszenia. Grzeszek za grzeskiem, nie zatajaj, synu. Rozbieraj się przed nim – tym ospałym starcem, rozchylaj płatki nieskromnych postępków, z pokorą, z nadzieją na boskie i księżę przebaczenie. Najtrudniej było mi wzbudzić w sobie żal za te cudowne grzechy. Zwykle wołałem starszych ginekologów duszy. Zmurszali, przytłoczeni własną siwizną i ogromem ohydy tego świata, obezwładnieni smutkiem empirii, wiedzy, która budzi jedynie niewiarę, nie kwapili się jak ci młodzi klerycy do zbyt ostrego skrzyżowania bagnetów występku i miłosierdzia. Czasem tylko trochę krwawiłeś z jakiejś przez nich, zapewne niechęcą, rozjątrzonej rany, ale po rozgrzeszeniu, kiedy już odstukany, w wielkiej skrusze odchodząc, pokazywałeś proboszczowi język, skrycie przed Panem twoim, Chrystusem, co się w ołtarzu jak ćma przebita umęczony rozpostarł, i spluwałeś w kąt jeszcze na stopniu konfesjonału, byłeś już lekki i gotowy do nowego grzechobrania. Gorzej u tych w średnim wieku – a niech ich wszyscy święci! Przyznawałeś, owszem, że ciężki grzech gniewu nie był ci zupełnie obcy, bo nie dawniej jak wczoraj scholerowałeś matkę w czwartym przykazaniu, a i pycha była – strasznie smaczne pączki w cukierni u Żydka w Wielki Piątek, Panie Boże przebacz, więcej grzechów nie pamiętasz... Zaraz, zaraz – a on ci ten klecha zagląda w oczy przez dziurki w świętej ścianie i, chociaż półmrok, widzi sine pierścionki pod twymi oczami.

I wtedy się zaczyna.

Nieufny, a podpytuje, chrząka i duszyczkę ci podgląda a obraca do góry podszewką. Chłopczyk jeszcze, swój wstyd jednak masz, i to jaki – nie lubisz, jak ci w porteczki zaglądają. A ten cię rozpina, guziczek po guziczku, dyskretnie, powolutku, i zanim się zorientujesz, już ci parafialny nie doczyszczony paznokciek wbija w świeże chłopięce ciało,

co się dopiero budzi, kiełkujące listki ci kwitną na podudziach, chwasty na piersiach nieplewione, a z uszu całe gałązki, gałęzie, a w końcu całe drzewo złego i dobrego ci wyrasta. Ten średni w czarnym kitlu i w białej komży niby zręczna małpa po owym drzewie się wspina i z okrutnym frasunkiem na twarzy zrywa kokosy twoich grzechów.

– A z siostrzyczką jak się obchodzisz? Nie ciągniesz jej za warkocze? A czy przypadkiem jej nie podglądasz? – Nie mam siostrzyczki. – To chwała Bogu! A braciszka? – Też nie mam. – Nie masz? – grzech egoizmu.

Kochasz samego siebie i bliźni cię nic nie obchodzi.

– Obchodzi. – Jednej bliźniej zrobiłem dziecko, ale się nie przyjęło.

– Jak to – chłopiec dwunastoletni?

– Zobaczyłem raz jedną dziewczynkę, jak poszła do ogródka i obsusiała sałatę. Oddałem moc w tym samym miejscu, proszę prałata.

– Jestem wikarym, drogie dziecko. Widzę, żeś jeszcze grzechem nieczystości nie tknięty.

– Więcej grzechów nie pamiętam, a za te, które pamiętam i których nie pamiętam...

– Zaraz, zaraz, chłopcze, a przyznaj się, czy sam, no czy się czasem sam nie bawisz swoim prosiaczkiem?

I tu cię dopada. Jak zapłoniona dziewica, u której podejrzewają ciążę, zmuszony jesteś zdejmować po kolei wszystkie swoje szatki i zaróżowiony ze wstydu, struchlały od niepewności stajesz przed nim nagi, nogami mizernie przebierasz i patrzysz na swe ciało, na którym zły zawiesił tyle podstępnych jabłuszek, co jeszcze się nie rozwinęły, a już od środka gniją.

– Tak, proszę księdza. Raz w olszynie, jak nikt nie widział, i raz na wrzosowisku w lesie, kiedy słońce tak akuratnie przy grzało... ale już więcej nie będę, a za te, które pamiętam, i za te, których nie pamiętam, serdecznie żałuję, a Ciebie, Ojczy duchowny, proszę o rozgrzeszenie i danie mi należyj pokuty.

Później już przestałem chodzić do spowiedzi, bo zarośla bardziej mnie ciągnęły niż konfesjonał.

A kiedy już poznałem Justkę, obfitą służącą u wujostwa, gdzie przez rok mieszkałem, chodzenie do spowiedzi przy mej wrodzonej skromności stało się niemożliwością. Rozumiem jednak bardziej teściową niż moją żonę, która równie często, jak jej matka do spowiedzi, chodzi do ginekologa.

Kilka godzin później. Prowadzą mnie przez podwórzec, ze wszystkich stron otoczony murem. Na środku podwórca na stołeczku siedzi Zenonek z długim ostrym nożem w ręku.

Koło niego spokojnie pasie się tłusta maciora. Po prawej ręce Zenonka leży solidny młot. Zenonek spogląda w moim kierunku. Rozkłada bezradnie ręce.

– Nie mogę! A oni nie wypuszczą mnie, dopóki nie utłukę tej cholernejszki świni. A ja nie mogę.

„Mnisi” spoglądają na Zenonka ze współczuciem. Robię gest – jakbym chciał się do Zenonka zbliżyć. Jeden z nich stawia obok Zenonka stołeczek. Siadam przy nim. Otaczają nas zwartym kołem. – Dlaczego tu jesteś? – pytam poetę. – Bo nie mogę ubić tego potwora. – No, tak, ale skąd się tu wziąłeś? – Nie pamiętam. Chciałem w niedozwolonym miejscu założyć browar. – Kara? – spoglądam na niego ze zrozumieniem.

– Przywiązałem się do tej świni. – Zenonek wstaje, ściąga sznury, które natychmiast krępują zwierzę, chwyta młot. Świnia zaczyna się szarpać i przeraźliwie ryczeć. Wydaje odgłosy zarzynanej świni. Zenonek odprawia nad nią całe misterium. Już nie wiadomo, czy to on ją ciągnie, czy to ona, wyrywając się, włóczy za sobą Zenonka. Zenonek przymierza się, celuje w łeb, między oczy – przerażone świńskie oczy. Zenonek szepce, jakby powtarzał lekcję: – Młot, najpierw młot między twoje świńskie oczy, a potem scyzoryk, tak, scyzoryk w serduszko i po wszystkim, położysz się potulnie i będzie po wszystkim. Nie bój się, zaczekaj, uspokój się, „tiurli, tiurli”, połóż się, świnko, przygrzmoce, tylko przygrzmoce i będzie spokój. – Świnia coraz to wstaje. Zenonek zamierza się, coś znowu do niej szepce, niby pieści świnię, pot splywa mu z czoła, wreszcie zziąjany, ubłocony, siada ciężko na stołku. – Nie mogę, w żaden sposób nie mogę. – Ukrywa głowę w rękach i płacze. Wstaje. – Tak jest codziennie – komentuje jeden z wtajemniczonych.

Odchodzimy. Raz jeszcze przy wyjściu z podwórza oglądam się. Zenonek siedzi przykurczony na stołku, trzyma w ręku nóż. Obok leży młot, a dwa kroki przed nim spokojnie pasie się świnią.

Przechodząc przez główny hall klasztorny, w samym jego rogu, w witrażu, spostrzegam rozpiętego na gwiazdę, z głową do dołu, kelnera w białym fartuchu. Przed nim klęczy pulchna Mulatka i modli się do niego. Rozwieszony kelner uśmiecha się do mnie porozumiewawczo i mówi: – O golonkę dziś trudno. Każdy ma apetyt na coś specjalnego, na coś ekstra. Ja, widzi pan, zawsze miałem smak na Mulatkę – śmieje się rubasznie, nagle urywa i już wisi w milczeniu. Posypuję go kwiatami i idę dalej. Znowu nisko sklepiony korytarz, cele, drzwi do celi. Jedne z nich są uchylone. We wnętrzu widzę uduchowioną w rozkoszy twarz żony, widzę jej rękę, bezwładnie odrzuconą do tyłu. Ponad nią jakiś mężczyzna. Jest ich więcej. Żona unosi głowę i nagle spojrzenia nasze spotykają się. W bolesnym wstydzie zakrywa sobie rękami twarz.

Odciągają mnie od drzwi. Chwytam się kurczowo framugi. Odrywają mnie i brutalnie wrzucają do mojej pustelni.

28 lipca.1972

Dzisiaj zdradziłam Filipa. Nic niezwykłego. Sama nie wiem, jak się to stało – i nie wiem, dlaczego zrobiłam to dopiero teraz. Karola właściwie nie znam. Przyplątał się na plaży. Długo koło mnie siedział, mało mówił. Głaskał mnie po plecach. Ma delikatne ręce. Pojechaliśmy na dancing. Joasię wzięła sąsiadka. Odprowadził mnie, potem ja jego. Weszłam, żeby się napić herbaty. Zostałam. Wszystko odbyło się tak po prostu, jakby od niechcienia. Wyglądało to tak, jakbyśmy chodzili ze sobą od dawna. Nie miałam w tym specjalnej przyjemności. Trochę oszukuję. To z perspektywy, nawet krótkiej perspektywy, zawsze wygląda inaczej. Oczywiście, że go nie kochałam, więc po fakcie niewiele zostało. Ale kiedy nachylał się nade mną i jego oddech muskał mi szyję, i kiedy mnie przygarnął, przycisnął do swego mocnego ciała, poczułam, jak mu się burzy i powstaje, wtedy... wtedy... te delikatne samoczynne poruszenia, wypukłość... skojarzyły mi się z lekkimi kopnięciami dziecka, co je kiedyś nosiłam w sobie. Te najpiękniejsze sygnały przyrody obezwładniły mnie rozkosznie i przestałam się bronić. Gdyby był brutalny albo mniej zdecydowany, pewnie bym się wymknęła. Ale już zaczęliśmy i trwałam w błogiej obojętności, nie pamiętałam o Filipie, o Joasi, o świecie całym. Nie chciałam pamiętać. Więc mnie rozbierał i całował każdy nowy odsłonięty skrawek mego ciała, a ja drżałam już z podniecenia. Tak, to było miłe. Wcale nie żałuję. I to wcale nie szkodzi, że Karol jest właściwie nieciekawym, ani specjalnie ładnym, ani specjalnie inteligentnym. Tak – przeciętny, może właśnie to mnie w nim pociąga.

– Czy chciałabyś koło mnie spoczywać?

– Nie, bo muszę się wyspać.

– Po śmierci, kochana, po śmierci. – Otrząsa się z dezaprobatą, ale umiarkowaną... Widać, że jednak do mnie przywykła. – Masz pomysły... – Zupełnie nierealistyczne – wtrącam złośliwie. Wyobraź sobie, żono, nasz wspólny grób, piękny grób rodzinny. Tak, skromny, koniecznie musi być skromny, ale przy tym gustowny. Może marmurowa płytką w kształcie prostokąta, tylko bez żadnych wcięć, ozdóbek, bez krzyżyków, niewielka, gruba na trzy palce, nieco przyczerniona, bez napisu. Co tak się patrzysz? Wolisz z napisem? Masz rację. „Tu leży małżeństwo wiecznym snem uspięne”. Na co chciałabyś umrzeć? – Daj mi spokój – próbuje się ode mnie uwolnić. – Wachelscy zaraz przyjdą, potrzymaj durszlak. – Znowu nie ma

cieplej wody. Leją się z kranu takie czymś białym przybrudzone pomyje. Już dwa lata jak blok oddali, a rury barwią. Rury wyją nocami, rzeżą, histerycznie chichoczą. – Na co byś chciała umrzeć? Na krwotok z nosa, jak mój dziadek, czy na jakąś epidemię? A może w wypadku? Nagle czy z namysłem? Ze spowiedzią? Z ostatnim pożegnalnym spojrzeniem na mnie, gdyby mi się udało cię przeżyć, na sprzęty domowe, na córeczkę, która by już była duża? Właśnie, wolałabyś, żeby już była duża, żeby rozumiała? Jeżeli ją osierocisz teraz, niewiele się tym przejmie, a później, to byłoby dla niej niemiłym przeżyciem. – Ruchy ma dokładne, wyważone. Rosół na tłustej, dobrze utuczony kurze bulgocze zachęcająco. Spod nieszczelnie ułożonej przykrywki dobywa się specyficzny zapach rozklejającej się szyjki, skrzydełek pomieszanych z pietruszką. Kto zresztą nie wie, jak pachnie właściwie przyrządzony rosół! – Życie ma jednak sens – nieprawdaż?

– Ale ty mówisz bez sensu – odcięła się wreszcie.

– Czujesz do mnie urazę, ponieważ stawiam elementarne pytania. W ten sposób z tobą obcuje. Traktuję cię poważnie.

No niechbym się tylko zajmował twoim ciałem, czekał, aż wejdiesz do łóżka, nie zniosłabyś tego. To rzeczywiście byłoby odrażające. Ale skoro traktuję cię jak człowieka, nie powinnaś mieć do mnie żalu. Pragnę z tobą obcować, przemyśliwać wspólnie. Nie chcę nic tajić, nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic. Owszem, chętnie podzielę się z tobą każdą wątpliwością, jaka mi się nasunie, jeżeli tylko będziesz miała ochotę na rozmowę. – W milczeniu zręcznym ruchem wrzuca garść zielonego kopru, miesza. – A gdyby taki napis: „Ich nie rozdzieli nawet śmierć”? Co ty na to? – Bzdura! Nie rozdzieli... Jak oboje już tam są, to śmierć w czasie przyszłym jest bzdurą. – Masz zupełną rację. Patrzę na nią ze zdziwieniem – tak ładnie pomyślała. No przecież potrafi. – Tak. Jeśli już jesteśmy tam oboje, leżymy sobie intymnie pod murawą, mąż i żona, jak należy, leżymy sobie grzecznie, to jak może być jeszcze czas przyszły? Ale ty jesteś przecież wierząca, to dla ciebie zawsze jest czas przyszły. Powiedz mi, droga, czy po śmierci, według twojego rozeznania, jest szansa na rozwód?

Wachelscy siorbią rosół. Ciągnie się im po brodzie makaron na dwóch jajach i jednym białku dodatkowo. Żółtko zbiła sobie na kogel-mogel. Bardzo to lubi, więc tyje.

Ogarnia mnie trwoga przed powtarzalnością. Cały ten młynek wraca ze szczegółową dokładnością, rozdrobnioną, rozfajdaną na porcje docelowych zabiegów, usiłowań. Obejmuje mnie i obezwładnia bezsens, niemożność uchwycenia czegoś, co jest ostateczne, godne trwania. I jest wieczór, kiedy mi serce wybucha, wali młotem po wszystkich ścianach, w których jestem zamknięty.

Dziś zrozumiałem, że bunt mój jest szczenięcy, lilipuci, tyciuteński. W milczących oczach mojej żony zobaczyłem siebie, swój przed nią straszek, bo to nawet nie strach. Dostrzegłem nagle, że jej wyrafinowany sposób na mnie odnosi skutek. Ja się po prostu liczę z jej wartościowaniem, jej i ludzi świątłych, którzy wiedzą, jak należy, jak jest godnie, jak wypada. Urabiają ze mnie Człowieka na swoje podobieństwo. Całkiem niepostrzeżenie, z głupia frant ta czysta dziewica – żona, która jest przeze mnie napiętnowana przeciętnością, napiętnowała mnie stygmatem obowiązku, powagi, odpowiedzialności. I poczułem się diabło odpowiedzialny, prawie dojrzały. Wiedziałem przez chwilę co dobre, a co złe. Zacząłem rozróżniać, jak jest, a jak należy. Owo „należy” potraktowałem serio. Zacząłem się bać myśli żony, spojrzenia żony, pograżony w subtelnej dezaprobachie, poczułem się winny.

Uświadomiłem to sobie i zaraz wypowiedziałem hamletowsko-sartrowski monolog, którego już nie odtworzę, a szkoda, bo był rozpaczliwie prawdziwy. Im więcej mówiłem, tym bardziej milczała. Przełamać granice własnych odrębności – mówić do drugiego człowieka, grzechotać w skrzynkach mózgowych jak w trumnach – jaka to piękna darowizna natury. Z wewnątrz wydobywane myśli przetwarzać w słowa, nadawać je w powietrze, i już konkretne i realne odbierać z zewnątrz. Dobrze jest się tak bawić ze sobą. Czy w końcu trzeba innego słuchacza? Oto one – żywe słowa. Zostały wypowiedziane, przedarły się do istnienia, rozgaworzyły się w nas. A może jest tylko moim dzisiejszym gorzkim humorem odczucie daremnego kołatania się po najlepszym ze światów, a może nagłym odsłonięciem rzeczy samej? Nieoczekiwanie obłoki się rozstępują, otwiera się niebo. Co to za niebo? – dziura.

Jak to wszystko wygląda naprawdę? W którym momencie jest prawda?

Mam cztery lata. Furtka tuż-tuż, za mną pies. Czuję, pamiętam, ból. Jedna noga przekraczająca próg furki, druga w mordzie psa – łydka. Wszystko nieruchome. Tylko teoretycznie wiem, że jestem w ruchu, że biegnę – to było dawno, wiele lat temu.

Prawdziwe jest tylko to, co nieuchwytnie – dzianie się, ruch. Rzeczy w swej niezmienności nie istnieją, a pamięta się tylko ich zdjęcia. W końcu nie wiem, czy prawdziwe są momenty wspomnień, czy film terażniejszości; czy statyczny obraz przeszłości, czy to, co pędzi, więc nie jest, tylko było i będzie, albo odwrotnie, nie było i nie będzie, bo tylko jest wtedy, kiedy jest.

Czas jest zgęszczoną energią – powiedział mi pewien parapsycholog. A może powiedział inaczej, że materia jest zgęszczonym czasem?

W głowie mi się mąci. Jestem zmęczony. Chciałbym się wyrwać, porzucić ustalone jarzmo wartości. Przecież one są wymysłem człowieka, mieszczą się jedynie w skończonych jednostkach czasu, w granicach życia jednostki. Gatunek jest już abstrakcją. Wszelkie



poczynania, zwycięstwa, osiągnięcia, w sensie absolutnym stają się fikcją, oszustwem natury. Świat kończy się w momencie śmierci. Nikt nie umarł zespołowo. Umiera się tylko pojedynczo, indywidualnie, i umiera się naprawdę. Niech mi nie pieprzą o żadnych żywych ideach człowieka, który umarł. Oho, zapędziłem się. Czuję, że muszę się upić. Najlepszym narkotykiem jest codzienność. Da mi ona paroma przedmiotami po pysku i dojdę do siebie.

Żona poszła wynieść śmiecie, mleko kipi, dziecko się rozryczało – proszę bardzo – już mi lepiej. Wstaję z łóżka i powoli idę poparzyć się rozgrzanym, pieniającym się białą materią garnkiem.

Volvo grzmi po staremu, idealnie kładzie się na zakrętach, prowadzone wprawną ręką Elżbietki. – Miałem już dosyć tych masonów. Kim oni właściwie są? – Elżbietki uśmiechają się.

– To już nie ma znaczenia. Interesuje nas teraz zupełnie co innego. Ogrody! Rozumiesz? Hodowla sałaty, kapusta. Postanowiłyśmy odpoczywać. Dużo słońca, tlen, jod. Odpoczywać. Dużo odpoczywać. – Uśmiecham się do nich. Są takie spokojne.

Wóz Elżbietek skręca z głównej szosy na podwórko niewielkiego obejścia. Stoi tu skromny domek, przy którym rozciąga się dość okazały ogród. Grządki zielonej kapusty podlewa Rodi w podtrzymującym mu głowę aparacie. – Jak się masz, Rodi? – Ok! – Przygotuj głąby. To tutejszy przysmak – wyjaśnia mi Elżbietka. Rodi posłusznie odcina bardziej pełne główki kapusty i wykraja z nich głąby. Rodi kojarzy mi się również z głąbem kapuścianym, ale dobrodusznym, spożywam więc ten mdły, biały przysmak. Elżbietki chrupią ze znanostwem. – Tu ci będzie dobrze, odzyskasz równowagę, świetne powietrze, dobra kapusta, całkowity spokój. – W tej samej chwili słychać zajeżdżające auta, nawoływania i wystrzały. Odruchowo padam w grządki. Elżbietki wycofują się. Rodi otwiera z hydrantu ogień seriami. Osłania nas.

Wskakujemy do volvo i znów się zaczyna.

Elżbietka przy kierownicy dodaje gazu. Oglądam się do tyłu. – Nie złapią nas – Elżbietka jest pewna siebie. – Przeskoczmy do Szwecji, wystarczy się dobrze rozpędzić. I Elżbietka rozpędza się coraz bardziej. – Czy my tak już zawsze będziemy uciekać? – pytam mało rozumnie.

– Odskokczyliśmy. Możesz trochę zwolnić – oznajmia ta łagodniejsza. Elżbietka przy kierownicy uśmiecha się jakoś dziwnie i dociska pedał „do dechy”. Prowadzi wóz jak zahipnotyzowana. Już wiem, co dalej będzie. Zgrzyt. Samochód ociera się o coś twardego, odbija wzdłuż krawędzi szosy. Przed oczami majaczy rozpędzony brzeg nasypu, za którym

otwiera się skłębiona przestrzeń wody.

Nieprawda, nie ma żadnej ucieczki. Jest ogólna niemożność. Łażę po ścianie, czułki wysuwam, ryję długim ryjkiem, który się nazywa trąbką. Ściana jest kleista. Ściana jest lepem. Nieprawda. To wcale nie jest polowanie. Nikt na mnie nie poluje. Nawet żona przed ślubem nic podobnego nie robiła. Nie przyszłoby to jej do głowy. Wszystko wynikło samo z siebie. Istnieją tylko organizmy żywe i przedmioty, ale rzeczywistość tworzą stosunki między nimi, najczęściej od nich samych niezależne. Dlatego łażę po lepkiej ścianie, której nikt specjalnie przeciw mnie nie rozpiął, łażę po niej jak mucha, nie mogę się oderwać. Przyjaciółka mojej żony siedzi naprzeciw mnie i trzeszczy. Ma obrzydliwie zepsute zęby, filuternie rozbiegane oczka, solidnego męża, poważny zawód, niezłe stanowisko. Rosną jej przezroczyste skrzydła ważki. Trzeszczy jak zepsuty patefon samymi banałami, piętrzy się codziennością. Wyskakują z jej ust futerka, kubraczki, rękawiczki, awantury z gosposią, zaloty gosposi, talia Przepiórkowskiej, najlepszy w Warszawie fryzjer, telewizor na raty, synek, który już potrafi wymówić „r”, potrafi zjeść cały talerz mlecznej zupy i prześlicznie zwymyślać ojca, a nawet opluć mu krawat. Wszystko się miesza, wszystko się jej kojarzy – oto: rodzenie synka w odwrotnej pozycji, wody, kroplówka, lekarz gbur, drugi lekarz uśmiechnięty, salowa brudas, koniaczek dla lekarza, Przepiórkowska w mini zupełnie nieprzyzwoitym, Lisiecka w maksy zupełnie bezsensownym, kolega z pracy, któremu podobają się jej dołeczki, oczywiście w jej policzkach, policzkach przyjaciółki mojej żony. Zęby ma dziurawe i trochę żółte. Zapewne od papierosów. Wciąż kopci – usta pogardliwie wydęte przy paleniu, poza tym nieśmiała. Szaroliliowy dym przyprawia jej skrzydła ważki. Zatrzeszczała się całkiem. Moja żona również ożywiona. Ziarna rzucone na właściwy grunt obradzają kolorowo. Cóż, od takiej rozmowy można dostać wypieków.

– Czy któraś z pań przyznałaby się mężowi...

Nie zwracają na mnie uwagi, nie słyszą mnie. Są w swoim przeczystym świecie rzeczy, prawdziwym, namacalnym świecie świadomości praktycznej. Tu nie trzeba drogowskazów, zatrzymywać się, nie trzeba nawet myśleć. Ciepłe, znajome, łaskawe przedmioty same się jawią w wymiarze zmysłów. Dobrzy znajomi nie muszą sobie myć zębów, żeby być wdzięczni. Wdzięczni znajomi naszej przyjaciółki; wdzięczna, znajoma nasza przyjaciółka.

– Przepraszam, czy gdyby panie złapały na przykład syfa...

Niestosowność pytania zanieczyszcza powietrze. Delikatne uszy kobiet kaleczy moje zgrzytliwe dziwactwo.

Takie dowcipy są zupełnie nie na miejscu. Zapewne znowu zaczynam się nudzić.

Mógłbym poszukać jakiejś przyjemnej muzyczki w radiu.

Patrzę na ich wyrysowane oczy niby zielone pierogi, na ich usta wdzięcznie podkreślone rumianą pomadką. Poruszają się miękko, gładkie, wyważone usta, gładkie, wyważone płyną z ust słowa. Słucham bez zrozumienia, zapatrzony na zwierające się i rozstępujące wálki warg. Pomiędzy nimi błysnie czasem rząd równych zębów, pojawi się delikatny rąbek języczka, zwinna, zaśliniona jaszczurka.

Zazwyczaj milcząca przy mnie, żona w towarzystwie przyjaciółki przemienia się w szybki mechanizm, rąbiący serią słów. Rozumieją się. Tyle sobie mają do powiedzenia. Prują powietrze jak dwa dostrojone do siebie karabiny maszynowe. Wcale im to nie przeszkadza, że mówią jednocześnie i że rzadko jedna drugiej słucha. Z jaką chęcią podstawiłbym im nogę. O, gdyby były prawdziwymi dziewczynkami, gdyby każda z nich miała prawdziwy złocisty warkocz – mógłbym je nastraszyć, pogonić po łące, obciąć złoty warkocz. Powtarzam swoje idiotyczne pytanie, bo czuję się całkiem bezradny. W żaden sposób nie mogę ich dosięgnąć.

Nie zauważyłem, kiedy wyszły. Właściwie wiedziałem, że się gdzieś wybierają, ale dopiero Joasia, która porzuciła piramidę klocków i z rozpaczą objęła drzwi wejściowe, uprzytomniła mi, że jesteśmy sami. Biedne dziecko przywarło swym drobnym ciałkiem do drzwi, wołając: mama, mama! Ojciec w takim wypadku jest elementem zupełnie bezużytecznym. Nigdy nie potrafi zastąpić matki, chociaż podobno są prawdziwi ojcowie, którzy... Dziecko wypłakało się, znudziło obmacywaniem drzwi i wróciło do swoich przedziwnych budowli. Mogłem wreszcie zająć się uciekaniem w krainę wyobraźni czystej, której najprostszym terenem jest biała kartka papieru. Znow się rozpędził mój nadgryziony długopis. Otoczyli mnie kołem, by poprowadzić nad brzeg jeziora, gdzie się urywał ślad Elżbietek, poetów z kompleksami, artystów, którzy by chcieli wystrugać coś prawdziwego, i zwykłych ludzi, którzy w pogoni za artystami przestali być prawdziwi. Otoczyli mnie starzy znajomi – ci ulubieni, ci, z którymi mogę się najlepiej dogadać. Byłem już zupełnie rozhuśtany, wrywałem wielkimi susami coraz dalej od swojej ciepłej, nieruchomej klatki, gdy zaskoczył mnie zgrzyt klucza w zamku. W chwilę później stała nade mną żona z załamanymi rękami. – Ot i masz, można ich zostawić samych. Zobacz – Joasia znow zjadła książkę telefoniczną.

Pod wieczór. Ta sama kawiarnia. Zenonek już pijany. Poprawia sobie winem. Niepozorny, mały, a drze się: – Najbardziej nie znoszę takich facetów, którzy najpierw mają brodę, a potem jej nie mają. Jeszcze bardziej ich nie lubię niż tych sukinsynów, którzy najpierw brody nie mają, a potem mają.

– Dlaczego, panie Zenonku? – Dopytuje się Elżunia, którą za rękę trzyma frajerowaty Kapuśniak.

– Bo się przyzwyczajam!... – bije pięścią w stół. – A potem wyglądają bez brody, jakby zamiast gęby mieli łyse kolano.

– Zenonek, nie awanturuj się. Widzisz przecież, że ludzie tańczą – niby to usiłuję go powstrzymać, chociaż właściwie chcę, żeby się awanturował.

Poeta przygląda mi się uważnie spode łba, mruży oczy.

– Ludzie? Tak? – Ludzie? Ty wiesz, co oni dla mnie znaczą?

– Wiem, gównno.

– O, nie, nie! pomyliłeś się – z mocą zaprzecza Zenonek. – Ludzie to są moi bracia. Przepraszam bardzo. Ja nie istnieję bez moich braci, przyjaciół. A komu bym się zwierzał? A do kogo bym przyszedł ze swoim znękanym serduszkiem? Ja potrzebuję ich, żeby mieć do kogo... i żeby się całkiem nie rozkleić, i oni mnie potrzebują. O, jacy oni są biedni – niezaradni. Beze mnie nie wiedzieliby, że są ludźmi. Hej, wy, durnie! – jesteście tylko dla mnie, tylko po to, żeby mnie słyszeć, czytać, przeżywać mnie, płakać nade mną, nad moją samotnością, moją marną zidiociałą poezją! Jestem waszym odbiciem! Zidiociała poezja jest waszym odbiciem – największym wynalazkiem realizmu, a wy podłe tchórze, nie chcecie w to uwierzyć! O, jak ja was potrzebuję, znieawidzone głupie małpy, jak ja was potrzebuję, moje kochane ludziska, moi ludkowie.

– Panie Zenonek, dosyć tej improwizacji – bufetowa stara się uspokoić zbyt rozpasaną wyobraźnię młodego poety.

– Tak, pani Zajączkowa, tak: dosyć tego, wiem. – Zenonek zrezygnowany opada ciężko na fotel. Pary, które się na chwilę zatrzymały, by posłuchać skierowanego do nich monologu, znów rozpoczynają swój beznamienny, stereotypowy taniec.

A my otwieramy następny „Egri Bikaver”. – Gorzałeczka byłaby lepsza – o, gdyby siarczystą gorzałeczka! Zaraz, może się uda. – Zenonek rusza sztywniutki na parkiet. Wpada na jakiegoś starszego jegomościa tańczącego z korpulentną damą. Kłania się trzy razy, przeprasza, usiłuje panią pocałować w rękę. Facet znów ją porywa do tańca, Zenonek jeszcze raz się kłania i za chwilę coś skrycie z ożywioną gestykulacją tłumaczy madame Zajączkowej. W końcu razem z nią znika w kantorku.

Rozmowa się nie klei. Dyrektor Kapuśniak jest niezmordowany, ale Elżunia znudzona jego pieśczołliwością. Dosyć ma wilgotnej, ruchliwej ręki Kapuśniaka.

– Niech mnie pan już uwolni – prosi grzecznie. – Znęca się pan nad moimi paluszkami chyba od południa.

– Złote paluszki, złote, pani Elżuniu.

Te gołąbki nie usposabiają mnie zbyt przychylnie. Wracam więc do swojego starego obyczaju – do zadawania pytań, głośnego uszczypliwego myślenia, zupełnie jak gdybym był w towarzystwie żony.

– Pani ma narzeczonego?

– No, przecież pan widzi – z trudem śmieje się Elżunia.

– Ja pytam serio.

Kapuśniak zaczyna po swojemu chrząkać.

– Interesuje to pana?

– A panią interesuje to, co pani robi?

– A co ja robię?

– Bawi się pani w grzechotnika.

– A co to za gra? – pyta Kapuśniak.

– A to taka gra murzyńska. Chwyta się grzechotnika, łeb mu się patroszy z ubogiego mózgu – wrzuca się do środka uśmiechy i miłe słówka, suszy durnia, a potem to już on sam grzechocze. Chociaż trup – to grzechocze, jeszcze lepiej niż za życia.

– Nic o tym nie słyszałem – Kapuśniak udaje większego idiotę, niż jest. – Pan był w Afryce?

Zenonek stawia butelkę z nalepką „Rizling”. Mina jego wyraża głębokie zadowolenie. Widać dopiął swego. I rzeczywiście rozlewa do kieliszków od wina nieco zmniejszone dawki.

– Za przyjaźń między narodami! Kapeczkę, pani Elżuniu. Słowo honoru, kapeczkę.

Dziewczyna się wzbrania. Uśmiechniętemu słodko Zenonkowi udaje się jednak przełamać jej krótkotrwały opór. „Kapeczkę” piję z obrzydzeniem. Zwykła czysta najgorszego gatunku. Złość we mnie wzbiera. Sam nie wiem, dlaczego wstaję i proszę do tańca tę małą. Udaje, że się zastanawia. Wreszcie wstaje. Zenonek chwyta ją za rękę.

– Nie, ona nie może tańczyć. Ta pani jest niedysponowana.

W tej chwili czuję, że ktoś mnie delikatnie odpycha. Koło mnie stoi duży, dość tęgi mężczyzna. Teraz dopiero rozumiem, że słowa Zenonka skierowane są do niego.

– Pani Elżunia nie może, w żadnym wypadku nie może.

Nieznajomy nie daje za wygraną.

– Ja muszę...

– Jak to tak, panie kompozytorze?!

Elżunia ma całkiem głupią minę. Wysoki mężczyzna usiłuje ją uprowadzić.

– Za pozwoleniem – wtrąca się Kapuśniak.

– Elżuniu, idziemy – cichym, ale stanowczym głosem oznajmia przybysz.

– Nigdzie z tobą nie pójde, Niedźwiedź. Trzeba było przyjechać od razu.

– Zaraz, zaraz. Tak nie można. To jest dziewczyna mojego przyjaciela Kapuśniaka – znowu oponuje Zenonek – to znaczy pana dyrektora Kapuśniaka.

Niedźwiedź jest wyraźnie podenerwowany. Wyciąga dziewczynę zza stolika.

– Idziemy. Mam ci coś do powiedzenia.

– Ach tak – woła za nim Zenonek. – No to spieprzaj pan, zabieraj ją pan sobie i spieprzaj. Nie umiesz się pan zachować, chociaż pan taki zdolny. Ale to dla mnie nic nie znaczy. A co myślisz, że jak człowiek ma głowę na temblaku, to już mu możesz pan dziewczynę rozciapać, bo sam jesteś wielka gruba świnia? To tak?... To tak?!...

Zenonek aż się trzęsie z irytacji, tym bardziej że Niedźwiedź nic nie odpowiada.

– Gówniarz! Gówniarz!... – woła Zenonek i biegnie za Niedźwiedziem. Dopada go. Niespodziewanie zaczyna okładać dryblasą swymi małymi piąstkami. Niedźwiedź chwytą Zenonka, unosi do góry. Wydaje się, że zaraz go ciśnie z tych wysokości, ale nie. Zenonek w powietrzu robi nogami młynka i już nie pokrzykuje, w ogóle nie wydaje głosu. Wisi sobie w powietrzu i czeka. Niedźwiedź spokojnie stawia go na podłodze. Ma znów swoją nieruchomą twarz, na której maluje się odcień rezygnacji.

Oddala się powoli ze spuszczoną głową. Podbiega, do niego Elżunia.

– Dlaczego nie przyjechałeś wtedy? – łapie go za mankiet.

– Wtedy? Babka właśnie wtedy, babka... – Nie patrzy na dziewczynę.

– Co, babka?

– Właśnie umarła – mamrocze Niedźwiedź.

Wychodzi z lokalu. Elżunia wraca do stolika, obleganego przez świadków zajścia. Szefowa stoi nad pobladłym Zenonkiem i wyrzuca go wraz z całą naszą paczką.

– No, panie Zenonek, jak na ten raz wystarczy. Idźcie się, panowie, ochłodzić. To wam dobrze zrobi. Idźcie, bo nic tu po was.

Płacę z Kapuśniakiem rachunek. Zenonek jest już goły. Wychodzimy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam małego wieszca.

– Bo widzisz – tłumaczy mi prawie ze łzami – ja jeszcze bardziej nie lubię dryblasów, jeszcze bardziej niż tych, którzy mają brodę i którzy zamiast gęby mają gołe kolano. A tak mówiąc między nami – ścisza głos – to ja jeszcze nigdy nie dałem facetowi w zęby. A to się we mnie czaiło. Chciałem się dziś przełamać. Ale, ja, nie mogłem, nie mogłem go dosięgnąć.

Zenonek jest wzruszony. Tuli się do mojej piersi. Obejmuję go ramieniem. Oglądam się. Za nami idzie Elżunia z Kapuśniakiem. Słyszę jego głos: – ...co panią z tym człowiekiem

łączyło?

– E, nic... to taki... po prostu Niedźwiedź – odpowiada dziewczyna. – On syrenki nie odróżnia od jaguara, a na sztuce to się w ogóle nie zna. A pan go skąd zna? – zwraca się do Zenonka.

– Skąd? Przecież to nasz wielki Porębowicz. Penderecki mu się kłania.

– Niedźwiedź to Porębowicz?

Oczy Elżbietki powiększają się. Po twarzy przebiega ledwo dostrzegalny grymas, jak u dziecka, które straciło najpiękniejszą w swoim życiu lalkę. Ściemnia się. Idziemy po wilgotnym piasku w stronę jeziora. Zenonek powtarza swój refren: – Nie lubię tych dużych ludzi – i nagle tym tonem mówi: – ...idą... już idą... idą prosto z wody. – Wydaje mi się, że gdzieś to niedawno słyszałem. Podążamy za jego wzrokiem. Ten sam obraz. To samo zdarzenie. Tyle tylko, że w wieczornym pejzażu. Z gęstniejącej mgły, wprost z jeziora, wyłaniają się ociekające wodą psy. Jest ich kilka. Otrząsają się i jak nieoczekiwane zjawy, jak dusze psów, bez jednego szczeknięcia, cichutko znikają. – Psy – słyszę swój głos.

– Lewy szot foka wybierz – prawy szot foka – wybierz. Uważaj na bom, bo ci przyrznie i polecisz za burzę.

Kierownik przystani jest w tej chwili jedynym autorytetem i niepodzielnie panuje nad nami.

Na łądzie trochę ocieęzały i nieśmiały człeczyna, tutaj, jak ryba wrzucona do wody, odzyskuje swobodę ruchów i pewność siebie. Mrok coraz bardziej gęstnieje, chłodny wiaterek ciągnie po pomarszczonej powierzchni jeziora. Żagiel nadyma się, ściągnięty niewprawną ręką Zenonka, warczy i szeleści. – Z lewej wybierz do końca i zaknaguj! – pada komenda kapitana. Naciągam ze swej strony linkę, która wciąż mi się wrywa z ręki. – Psiamać, ustaje. Już po wietrze.

– Motorówką byśmy ich mieli – przekonuje Zenonek.

– Koniem ze złamanym dyszlem, ślepą kulawą szkapą! – nie wiadomo czemu wścieka się kapitan.

– Mgła. – Wilgoć. – Psiamać, całkiem ustało.

Zaraz sobie powiemy, że już jest prawie noc, że wczoraj padał deszcz. Myślimy jednak o czym innym. Wydaje się nam, że coś od nas zależy, mamy nadzieję, że zdołamy wybawić tych gówniarzy, którzy Bóg wie co robią gdzieś na środku jeziora, może potrzebują pomocy, a może już toną albo utonęli. Ktoś przecież widział ogniste strzały po drugiej stronie mgły. Wiatr się znowu zerwał – halsujemy. Przymykam oczy... szybuję nad wodą. Oczyma

wyobraźni widzę rozbitków, czepiających się wywróconej do góry dnem „Królowej jezior”. Zamiast wody otacza ich mazista czerń – smoła? piekielna zupa? Mają za swoje, za to, że są główniarzami, za te zwierzęta, które z takim cichym, cierpliwym spokojem dopłynęły do lądu. Co za pomysły! Czyż to możliwe, żeby Elżbietka...? – ta grzeczna, zasluchana w moje słowa uczennica, jeszcze kilkanaście dni temu prostująca się gniewnie w momencie zbyt bezpośredniego wyznania... A cóż to za „artyści”... ten cały Gucio i jego ferajna? Rozglądamy się dookoła. Przeciwny brzeg ciągnie się grubą wstęgą czerni. Niewyraźny, ale widoczny. Księżyc, jak ze złej operetki, wylazł zza chmur i łypie. Woda ociera się o burty z cichym pomlaskiem. Pierwszy raz płynę w nocy żaglówką. Ciemność pulsuje w nas niespokojnie. To nie obawa o naszych znajomych – pociąga nas przede wszystkim niewiadoma, już sama podejrzliwość ich perfidnej niecnoty, interesującej gry, na którą nie możemy przystać, ale naprzeciw niej spieszymy chętnie, chętnie dotknęlibyśmy ich ociekających wodą twarzy, ich strachu i ich przeżycia. Chcemy być potrzebni, chcemy odegrać rolę, spieszymy więc, by wplątać się energicznie, położyć kres. Kierownik przystani siedzi przy sterze jak frasobliwy świętek. Zapatrzył się w gęste futro zmroku. Kiepsko. Wiatr całkiem zdechł.

Systematycznie, w jednakowych odstępach czasu mruga ciemnoczerwonym światłem boja, wyznaczająca trasę statków pasażerskich i barek. Dostał się kiedyś pod taką niezbyt trzeźwy wioślarz, którego strzępów długo nie mogli odnaleźć.

– Lewy szot foka wybierz! – Wracamy. – Nic tu nie wypatrzymy. Gdyby była motorówka – to co innego. Musiał ją akurat Kaziuk zajebać – kapitan spluwa w jezioro. Zataczamy niewielkie półkole. – Są! – U wejścia do naszej zatoczki napotykam majestatycznie kolebiącą się „Królową jezior”. Z mola wskakujemy wprost do jej wnętrza.

I znów jestem świadkiem, w samym środku cudzego przeżycia. Mój własny los jakoś nie może mnie ogarnąć, porwać na szczyty dramaturgii wymyślonej przez przypadek. Nie wiem, gdzie trzeba być i kim, aby uzyskać te najwyższe napięcia. Może nie potrafię być młody, jak Elżbietka, może jestem nazbyt jednakowy i nie stać mnie nie tylko na kameleona, ale nawet na średniowiecznego osła z takiej pocziwej a dowcipnej powiastki. Osioł ten uległ różnym metamorfozom i w swej osłej skórze przeżył więcej niż niejeden nasz poeta albo nawet rewolucjonista.

Widzę czasem, jak się wokół człowieka piętrzy morze cudaczne, porywa go w niebezpieczne rozpadliny namiętności, obraca w te i wewte, huśta nim jak w tańcu świętego Wita. A ja w środek takiej historyjki nie mogę się dostać.

Brak mi chyba wyobraźni, żeby się zapamiętać w przeżyciu głębokim, w odczuciu



ostatecznym. Dlatego nadaję się tylko do roli świadka, czasem przygodnego spowiednika lub po prostu ciury, który wlecze się gdzieś w ogonie grupy szturmowej, biorącej przebojem przeszkody życiowe, klinem, po uszy wbijającym się w miłość, nędzę moralną lub krańcowe zniechęcenie. Ja przeciwnie, ani nie mogę się zakochać na śmierć, ani nie mogę się zniechęcić do miłości, nie potrafię żyć całkiem niemoralnie, chociaż klasyczna moralność mnie nie interesuje. Odrzucam jej starczą, pomarszczoną powłokę. A przy tym wszystkim, śmieszna rzecz, żona mi zarzuca, że jestem skrajny. Chciałbym być skrajny w tych regionach, w których człowiek przybliży się do wymyślonego przez siebie człowieczeństwa. Nie stać mnie na taką skrajność, brzydzę się jednak miernotą, która się rodzi z niechęci do wszelkiego przewycięzania i która jest wynikiem nie braku zdolności, lecz nadmiaru ugody, nadmiaru bierności w stosunku do rzeczy zastanej. Wiernopoddańcza, niechętna ruchowi i myśli stereotypowość, powtarzalność – oto wróg naczelny – wróg, z którym toczę nieskończoną wojnę, znajdując się na z góry straconych pozycjach.

Życie przecież jest w końcu zgodą na oczekiwanie bezsensownego rozwiązania. W ciągu jego trwania trzeba sobie przyswoić całą anatomię bezmyślności, fizjologię automatycznych odruchów. Nie ominiesz kolein własnej i cudzej tożsamości. Jedynym ratunkiem przed wiecznym rozpamiętywaniem tych rzeczy jest intensywne obcowanie ze światem, przeżywanie tego świata – niekoniecznie serio, ale wyraziście.

Ucieczka w kraj przeżycia jest najcudowniejszą ucieczką od śmierci.

A śmierć ma różne twarze: nudy, snu, czegoś, co się wypaliło, i wreszcie samego życia. Jest starzeniem się. Uciekam już wiele dni od starości swojego małżeństwa, od starości przedwczesnej – może w ten sposób wskrzeszam coś nie tylko dla siebie.

Uciekam, lecz wciąż gonię to, co mnie omija nieokreślonego, to czego szukam. Może przyczaiło się gdzieś pod słonecznym niebem albo w parszywej pogodzie, w brudnym, zapchlonym baraku wśród geologów, robotników sezonowych, którzy jak Cyganie koczują od jednego otworu do drugiego, ryją i zasypują i nie chce im się sprzątać tego szarego piasku; albo pod białą, we mgle posiniałą kopułą żagla, albo na nieznanym drodze, gdzieś w jakimś miasteczku, w którym stare baby spluwają w bok, kiedy widzą moją rękę na plisowanej sukience panienki z miejscowego liceum.

Więc znów jestem świadkiem cudzego przeżycia. Oto Elżbietka, półnaga, pijana, z rozciętą wargą, leży na pokładzie „Królowej jezior”. Uśmiecha się do siebie, ale widać, że oprócz alkoholu jest w tym uśmiechu szczypta żalu i surowego otrzeźwienia. Guccio, pochylony nad nią, odwraca twarz w naszym kierunku. – Musiałem – mówi, jakby się chcąc usprawiedliwić. Jest w tej chwili niezaradny, trochę zaskoczony naszym niespodziewanym

zjawieniem się.

– Musiałem jej przyrznać – wierzcie mi. – Osuwa się przed nią na kolana i zwilżoną chusteczką zmywa jej z ust strużkę krwi. Stoimy nad nimi w milczeniu, jakby przy ognisku, w którym się pieką kartofle. Czuję za sobą zasapany oddech Elżuni – zwęszyła sensację. W ślad za nią zbliża się znane mi pochrząkiwanie. Kapuśniak gramoli się na pokład.

A tu już finałowa scena. Guccio wciąż klęczy, niby romantyczny Romeo przy swojej śniętej i poblądłej Julii. No, dalejże błędny kochanku bez skazy! Teraz twoja kolej! Gdzie twój miecz gotów do samobójczego ciosu? Czemu drży ci ręka wprawna w tylu teatrach świata do decydującego pchnięcia, w którym miłość czysta łączy się z tragicznym fatum? Skąpe światła przystani, nieco gderliwe tarcie burt o burty, skrzywienie lin cumowych, wiatr chce porwać odarte z żagli kościotrupy jachtów.

– Musiałem przyrznać, bydlę takie. – Wyciera jej gębę, jakby chciał z niej zmasać znamię swej zbrodni. A ona leży niedbale, nie reaguje na to jego wycieranie, na modlitewny, skarżący się i oskarżający pogwar.

– Osiem psów wsadziłem dla niej do łajby. Osiem śmierdzących starych psów z przytułku, które zakopciły mi cały pokład i ze strachu nafajdały na „tygrysa”. Zabrałem łuki, dobre sportowe łuki, żeby te bydlęta zastrzelić jak należy.

Elżunia przykrywa nie dobitą Julię swoim przeciwdeszczowym płaszczem.

– Siadajcie – trochę przytomniej zaprasza nas Guccio. Zasiadamy jak do stypy. Co mamy właściwie robić? Może by jej dać kieliszek wódki, żeby się rozgrzała? To jej dobrze zrobi. Gdzież tam – wódki. Jest przecież pijana.

– A myśmy myśleli... – właściwie nie wiadomo, co myśmy myśleli.

– Jakieś ogniki we mgle i kundle całą watahą z środka jeziora, trzeba więc było rozwinąć żagiel, bo motorówka w cholere zepsuta.

– A co ja jestem gnojek? Owinąłem strzały pakułami umoczonymi w smole i czekam. A ona dyryguje. Popiliśmy zdrowo. Dziewczyny już były dobre, zaczęły udawać, że się kochają, ale mnie jej dotknąć nie wolno. Wczoraj to ja Zenonkowi zełgałem. Cnota cholerna, ale myślę – niezła dupa, upieczemy pieski w jeziorze, a bo to ja gnojek, stać mnie na prawdziwą zabawę. Ona powiedziała, że tak się robi wolność. Hippis żaden nie jestem, ale czułem, że ma rację. Sukienkę na sobie podarła, wrzeszczała, że może wszystko, chciała spalić pudło.

Mówiła jak ksiądz. Kto ją tego nauczył? Będziemy bezinteresowni, a ona wtedy pokaże, jak i co, bo ona ma gdzieś mamusię i szkołę, wcale matury nie chce. Więc wypuściliśmy psy i dalej je do wody. Zaczęły się opierać, skomleć. Strącaliśmy wiosłami. Neptun dał dwóm po pysku, aż pomyślałem, że nie wypłyną. I tu się zaraz pokazało, że nie jestem mężczyzną, co

ona potem powiedziała, więc jej dałem w papę. Bo to było tak: Jak już te psy zaczęły od nas odpływać coraz dalej, chociaż niechętnie, bo najpierw to się pchały na burtę i chciały z powrotem, ale nie wiedziały jak, tym bardziej że biliśmy je po grzbietach, więc się oddaliły, wtedy kazała strzelać, ale najpierw liczyła do dwudziestu. Powiedziała, że tak trzeba, i zaraz na mnie krzyknęła – „strzelaj!” Naciągnąłem, przypaliła pakuły. Celowałem specjalnie wyżej, żeby przypadkiem nie zranić zwierzaka. Zaraz się na tym poznała.

– Dobry żart tyńfa wart! – wrzeszczy mi nad uchem Kapuśniak. Jak ten człowiek reaguje. Musiało mu po tej katastrofie gdzieś przeskoczyć. Kapuśniak sam jednak widzi, że coś nie tak, poprawia się więc w staniu, chrząka tylko i niby przypadkiem odnajduje butelkę z nie dopitym koniakiem.

– Więc się na tym poznała – Gucio roztrząsa wspomnienia niby nad nieboszczką. – Wyrwała mi łuk, zapaliła strzałę i ciach w ciemność. Zapiszczał, ale się nie zakopcił, bo był mokry i sierść pewnie miał lichą. Chyba się utopił, bo się strasznie szamotał, a potem już nic nie było słychać. Wyrwałem jej łuk i złamałem. Wtedy właśnie powiedziała, że nie jestem mężczyzną. Nie wytrzymałem. Upadła na podłogę i zaczęła się śmiać jak idiotka, biła rękami i nogami w dechy i śmiała się, a potem zaraz zaczęła płakać, aż się uspokoiła, a ja tymczasem... – spogląda na opróżnione butelki. Elżbietka udaje, że śpi. – Miała rację: jestem gnojek. – Gucio skarży się jak dziecko. Widać, że to jeszcze duży smarkacz, ale dobry chłopak. Nie miał jej. Patrzę na niego z sympatią. Jutro, jak się obudzi, będzie mu strasznie głupio. – Taki monolog, chwila szczerości... Same fakty nie będą się liczyć. To, co jest w nim najlepszego, a co się stało jego słabością, obróci się we wstyd. Pozostanie tylko wstyd szczerości. Tego się ludzie obawiają.

I rzeczywiście śmieszny jest ten Gucio. Pochyliła się nad Elżbietką, jakby chciał jej coś wytłumaczyć.

Zabawa skończona. Dokonała się moja rola świadka na wesółków pogrzebie. Jednak nie, bo oto... główny niemy aktor – Elżbietka – unosi się jak mumia w makabrycznym filmie. Zaraz przemówi. Nie, ma jednak wycucie dramaturgii. Nie zepsuje przedstawienia. Milczy. Wymija nas, lekko zeskakuje na molo, biegnie.

– Nie zamknąłem auta – przypomina sobie Zenonek. Biegniemy za Elżbietką. Gucio nas wszystkich wyprzedza. Już prawie dogania samochód marki volvo, który nagle rusza. Gucio rozciąga się jak długi w gęstej kałuży. Podnosi ku nam wykrzywioną, utyłaną błotem twarz.

Myślę, że gdyby mnie ktoś zapytał, co jest najbardziej zadziwiajączą rzeczą na świecie – odpowiedziałbym, że świadomość. Niezwykłą zagadką jest samo „j e s t”, a cóż dopiero „jest”

świadome siebie. Patrzą na zdumioną, ociekającą błotem twarz Gucia – ile w niej wyrazu! Otacza mnie wokół obraz ludzi, których nigdy nie widziałem, ludzi i pejzaży, których w ogóle nie ma. A przecież jestem ich świadomy. Taka świadomość jest już następnym stopniem wtajemniczenia, czystym, wysublimowanym podarunkiem natury. Móc tworzyć pejzaże, sytuacje, ludzkie myśli, cierpienia, zachcianki, zatrzymywać wiatr, który obdarza żagle życiem, zamykać szlabanem drogę przed rozpędzonym autem po to, by się bliżej przyjrzeć ukrytym w nim ludziom, móc nimi dowodzić, rządzić szczegółami i całą armią przypadków – to jest najpiękniejsza ucieczka – ucieczka w swój drugi wymiar.

Dziewczyna przebiega przez tłum, lekka, zwinna, w ostatniej chwili kogoś wymija, a gdy baba idąca ulicą na wprost pokręci głową, uśmiecha się do starej jak do uroczonego młodzieńca. Trudno za nią nadażyć. Skąd taka niefrasobliwość, wesołość? Ot, cieszą ją ogórki, rumiane rzodkwie, przekupki, które zachwalają towar, cieszy cały małomiasteczkowy rynek.

– Do grochu! Do grochu!

– Komu?! Komu?! Nie pożałujesz, nawet jak się strujesz.

– Daj, paniusiu, spokój – jaja na dwa pięćdziesiąt?!

– A widziała pani takie jaja? Takie jaja?!

– Odejdź, szczeniaku, co mi po sałacie łazisz?

– Hamerykany, a jakże, hamerykany, a co to ja kozie bobki Sprzedają? No, dorzucę jeszcze ze dwa.

Cieszą Ankę te hamerykany, skrupulatnie odważany towar, podparcie się pod boki, rozczochranie bab, ruch jednocześnie we wszystkich kierunkach, nie uporządkowany, rojny, przekrzykiwania, czasem i obelga, przechytrzenie, intensywne barwy. Kupuje kiszony ogórek, mokre, z tym kwaśnym zapachem. Papier się rozpuszcza, rozłazi, kapie ogórkowa woda. Dziewczyna wciska je mężowi, który nie wie, jak to wszystko trzymać, żeby się nie poplamieć.

– Kup mi te żółte kwiaty – woła. – Nigdy nie widziałam takich śmiesznych kwiatów. Gdzie pani narwała? Są paskudne. Jak się nazywają? Nie, nie! Niech pani nie mówi. Sama sobie nazwę. Nie chcę wiedzieć. Są paskudne. Proszę dwie wiązanki, mogą być trzy.

Czemu się tak wygłupia?

Z natury jest przecież do przesady spokojna. W ogóle jest przeciętna. Zna ją dobrze. Już tyle lat jest taka sama, panusiowata, trochę przycięzka. Nigdy nie nosiła zbyt krótkich sukienek, w szkole nie dostawała nagród ani nagan, marzyła o dziecku, o którym nie chciał słyszeć, a kiedy już się zgodził, nic się na świat nie napraszało. Kiedyś w przystępie nieporadnej rozpaczycy zaczęła na niego krzyczeć, że to jego wina, że to on nie może. Nie

żałował jej wcale. Jej łzy były mu obojętne. – Chcesz wiedzieć? Spytaj Lilki. Twoja przyjaciółka miała skrobankę. Spojrzała na niego zupełnie spokojnie.

– A ja ciebie nigdy...

Wierzył jej i chociaż nieraz jeszcze o to samo pytał, a ona mu nie odpowiadała, wierzył jej. Był tego pewien.

Facet z mikrofonem łązi za nią jak cień.

– Jak by się pani zachowała, gdyby to była prawda, gdyby to była nie ona, lecz pani?

– Nie wiem. Przypuszczam, że podobnie.

– A co pani uważa w życiu za najważniejsze?

– Pytanie o kryterium? Imperatyw moralny, oczywiście mój własny?

– Ma pani własną moralność? Czy każdy z nas może mieć inną?

– Tak jest w istocie. I dlatego tyle jest nieporozumień. Ale to dobrze. Bo chociaż mówi się o zaniku wartości moralnych, to jest puste gadanie. Pewnie, że nie jest możliwy jednolity sposób zachowywania etyki. Etyka wynika z historii. Wciąż się coś rozwala. Wojny, rewolucje, a każdy taki wstrząs podważa dotychczasowe pewniki. Sypią się kościoły, ludzie zaczynają myśleć, rozumować z osobna. Przestaje im odpowiadać myślenie stadne, religijne. Jesteśmy bardziej zróżnicowani, indywidualni. Chcemy tego chyba wszyscy i przez to nieco się upodabniamy do siebie, nabieramy wtórnie cech wspólnych. Tak się tworzą nowe unifikacje, ale już nie w sferze filozofii, lecz obyczajów, nie w sferze moralności postulowanej, bo się na własny prywatny użytek nie postuluje żadnej, lecz w sferze mody i przyzwyczajzeń. – Reporter o niezwykle bladej twarzy przegiął się nad nią i jak nieruchomy pałąk trwał tak w swej nedorzeczej pozie.

Pociągnął sznur mikrofonu, wreszcie się odezwał:

– Ujęła to pani po męsku, z wielką dyscypliną umysłową. Słucha się pani z przyjemnością, jak jakiego profesora uniwersytetu. Stop! Gadam głupoty. Jestem niewyspany.

Wszedł bez garnituru. Ciotka Ferdynanda omal się nie wywróciła. Stał w drzwiach niezdecydowany, bez białej koszuli i krawata, przeciwnie – w „rozwrzeszczanej” playboyskiej bluzie. Domownicy spojrzeli uważnie. Anka pochyliła się ku Wiktorowi i szepnęła z przyganą:

– Twój przyjaciel nigdy się nie potrafi zachować. Jak to wypada? – Wiktor spojrzał na żonę z niesmakiem.

– Kwiatów też nie ma – dorzuciła.

– Ktoś jeszcze? – z wyrozumiałym, układowym uśmiechem zapytał pan profesor Jaśkiewicz, kuzyn pali domu. Pan profesor jest wicedyrektorem w liceum ogólnokształcącym w Radomiu i zna się na bontonie.

– To przyjaciel Wiktor – wyjaśniła Małgorzata, która była dziś centralną postacią. Anka poczerwieniała. Widać było, jaka jest zła na męża za tę jego przyjaźń. Ale swoją drogą Małgosia nigdy nie przepuści okazji.

– Pan Jacek jest tekściarzem... współczesnym poetą – poprawiła się, spojrzawszy ku przybyłemu przeprasząco. Słowa Małgorzaty rozwiały wszelkie wątpliwości. Zebrani, których w pierwszej chwili długowłosa nieco zaskoczył – zrozumieli. Przestali się nim zajmować i Jacek, na pozór nie zauważany, mógł się wreszcie wygodnie rozsiąść w staromodnym, wielkim fotelu.

Przyciszyły się głosy. Intymnie szeptano o kimś, kogo nie ma. Zdawać by się mogło, że odszedł bezpowrotnie. Tylko talerzyki pojękiwały skąpo. Wiatr się za domem wzbudził i również postękiwał. A w pokoju już się coś zaczęło unosić, już się unosiło, gdy Małgosia z rumianą, opasłą służącą „wjechały” do pokoju z kawą na stoliku z kólkami. Zmieniano talerzyki, spodeczki, podstawki, przystawki. Trochę się ożywiło. Ktoś zauważył, że tort mógłby mieć świece. Małgorzata jest przecież jeszcze w takim wieku, że liczba świeczek na torcie nie mogłaby jej zepsuć humoru. Małgorzata jest zdolnym lekarzem, takim młodym i uroczym i tak szybko dojrzewa. Trzeba koniecznie jeszcze raz wypić za jej zdrowie, zwłaszcza za jej pracę doktorską o niezwykłym znaczeniu dla patologii kręgosłupa, za pracę, która niespodziewanie ma się tak szybko ku końcowi.

Ojciec patrzył czułym, wilgotnym wzrokiem na utalentowaną córkę. Mąż również pozostawał w błogosławiącym zagapieniu. Znał wartość żony i chociaż był egoistą jak wszyscy mężczyźni, gotów był bez wahania odwieźć swoim samochodem – do samego domu – docenta medycyny pana Karola Krocimskiego. Nic to, że źli ludzie mówili o docencie jakoby był kochankiem Małgorzaty. Gotów byłby go odwieźć – nie dlatego, żeby się przypocholeć, lecz by uszanować człowieka, który patronuje jej pracy, mniejsza o to, czy tylko w zakładzie, czy również i w łóżku.

Mamusia głęboko westchnęła, złożyła ręce, tak jak to czynią ludzie starzy i zmęczeni życiem. Westchnęła, bo wiatr za oknem był coraz zuchwalszy i musiał jej przypomnieć ten czas, kiedy papa jeszcze jako młody chłopak z zawadiackim wąsikiem – patrz zdjęcie – odszedł pewnej nocy do lasu, nikomu nic nie mówiąc.

– Ty masz jednak w sobie coś z ojca – odezwała się niespodziewanie do córki. – Pamiętam ojca z tamtych czasów.

I wszyscy jakby sobie coś przypomnieli, zasłuchali się w przeszłe, topiąc wzrok w czarnej kawie. Już było wiadomo, że papa zaraz odchrząknie i zacznie o ewakuacji. I rzeczywiście papa odchrząknął, poruszył nawet wargami, gdy wtem tę rodzinną intymność przeszły nazbyt ostrym głosem Jacek w zachodniożółtej bluzie.

– Nagrywam nowego longa. Co?

Wszyscy zmartwieli. Wejście artysty było tak niespodziewane, bez przygotowania, tak obce w swym semantycznym brzmieniu. Małgosia wywróciła oczy do góry podszewką. Papa jeszcze zachrząkał dwa razy, zabulgotał, jakby się topił. Zapanowała wreszcie cisza. Nie sposób jednak było, po tym, co powiedział Jacek, tak od razu wrócić do lasu i do pokolenia. Ale tematem wionęło. Las już potężniał, ogromniał ciemną ścianą zieleni, splecionych uczuć, pachniał podściółką o wilgotnym znaczeniu krwi, potu i nadziei.

– No to wypijmy za zdrowie Małgosi – starał się uporządkować sytuację profesor Jaśkiewicz.

– Muszę państwu powiedzieć, że wykopaliska to moja pasja. Jestem wprawdzie nauczycielem historii, ale skończyłem geologię. Zresztą, czym innym jest geologia, jeśli nie historią?

Dom rodziców Małgorzaty wydawał się też historyczny. Był jakby powleczonej niedostrzegalną, choć wypielegnowaną warstwą patyny. Wiktor śledził portrety dziadków – surowych urzędników z bokobrodami, wyprostowanych i nadętych niemiecką butą i powagą. – Dom jak wykopalisko z ery pruskiej – przemknęło mu przez myśl – z solidną nieustającą tradycją, kultywowaną również przez młodsze pokolenie, chociaż nie przez najmłodsze, bo to całkiem młode do tradycji podchodzi głównie na nocniku, ma cztery lata i na imię Ferdynand, podobnie jak jego cioteczna babka. Jest to oczko w głowie nie tylko rodziców, ale przede wszystkim dziadków, którzy zgodnie z którymś z praw dialektyki są bliżsi wnukom niż dzieciom. W każdym razie w sprawie kału dziecięcego są na tym samym poziomie, co matka. Nigdy nie dorówna im ojciec.

Wiktor dostrzegł nagle strofujące spojrzenie żony. Skierowała wzrok na jego talerzyk, z którego znikła kolejna porcja tortu. Przez nikogo nie zachęcany, nałożył sobie przed chwilą kawał, przekładańca sownie oblanego czekoladą.

Doskonale znał gusta żony. Wiedział, że Anka przepada za słodyczami, i żeby nie kultura umiejętnie pielęgnowana, sama rozprawiałaby się z połową tortu czekoladowego, zagryzłaby szarlotką i może starczyłoby jej miejsca na piszynger lub ten słodki krem z owocami. Jeśli się powstrzymywała ona, która oprócz słodczy na stole, innych słodczy w życiu właściwie nie doświadczała, on tym bardziej powinien panować nad swoim nieporównywalnie słabiej

rozwiniętym instynktem łakomstwa. Tymczasem działo się odwrotnie. Wiktor cały czas milczał. Nie był ośrodkiem niczyjzego zainteresowania. Na dłuższą metę musi to zdenerwować prawdziwego mężczyznę. Postanowił więc dać koncert wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości. Tort zniknął. Wiktor był już nawet zadowolony z nieoczekiwanego przyjścia przyjaciela. Jacek siedział nieco przytłumiony, nie miał o longplayu komu powiedzieć, ani o wierszu, który mu nareszcie „Nowa Wieś” wydrukowała. Kiedy się podnieśli zza stołu i nieco się rozluźniło, Wiktor zbliżył się do Jacka, pozwolił mu roztoczyć szalone perspektywy, jakie się właśnie otwierają przed sztuką europejską. Wysłuchał go uważnie, po to, by móc wreszcie przejść do swego tematu, do swej cudownej obsesji. Żona.

– Trudno uchwycić istotę mojego do niej stosunku. Odrębność jej jest tak irytująca, niepoddawanie się moim racjom na każdym kroku, w każdej dziedzinie, jest wbrew jej oczywistej kobiecości aż niekobiece. Nie wiem, czy można to określić jako upór – chyba raczej stałe przeciwstawianie się, wynikające nie jedynie z przekory, ale z głębokiego przeświadczenia o tym, że jest właściwie tak, a nie inaczej, z jej własnej nieuzasadnionej pewności. Nie jest to wcale pewność siebie. Świat został ulepiony w jej świadomości w sposób gotowy, dokonany. Jej postrzeganie i reakcje są jedynie prawdziwe. Wszystko gotowe, wyliczone, według okrągłej, smutnej miary. Nie, nie! To nie tylko spór o wartości – to bezwzględna między nami walka o każdy szczegół, drobiazg. Jej świat jest prosty – taki, jaki powinien być, mój jest pęknięty wewnątrz, pełen sprzeczności, nieobliczalny. Nie wiem, kiedy stałem się zadyszany psem, bez spoczynku tropiącym nieuchwytną abstrakcyjną sukę, która przybiera czasem kształty greckich bogiń. Pielęgnuję w niej hedonizm i estetyzm, pielęgnuję jurną witalność, by nie zdechła na nosaciznę lub nie stała się szarotką zasuszoną w księgach o czasach helleńskich. Nie chcę mitologizować Erosa, chcę go hołubić, podsycać i przeobrażać w intensywne przeżywanie. Ale przyznam ci się, że swobodny mój bożek dewaluuje się przez powtarzalność, podobnie jak te kiepskie boginki domowego ogniska przez niedotlenienie.

Jacek wylał sobie na spodnie pełną filiżankę kawy. Jego kanciaste łapska, nie skoordynowane w manewrach przy zastawionym stole, opadły bezradnie. – Trzeba spłukać – stwierdziła ciotka Ferdynanda. – Jacek wstał i skierował się do łazienki, trzymając się oburącz we wstydlwym miejscu, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Ot, mokra plama. Wiktor nie ustawał. Nie przerywając swego monologu, podreptał za Jackiem do łazienki. Anka tokowała tymczasem z przyjaciółką Małgosią, bowiem w dzisiejszych czasach przyjaciółki lepiej tokują niż głuszce. Spotykały się już tylko od wielkiego dzwonu, rozumiały się podobno doskonale, miały sobie tyle do powiedzenia, szkoda, że nieprzekładalne to na żaden rozumiały język.



Szły więc ploteczki bez związku, przemieszane z krojem nowo uszytej sukni i z tym, jakie to oburzające, kiedy już po miesiącu przeciera się rączka nowej torby za 250 zł bez możliwości reklamacji, podczas gdy takie same elastyki można za granicą dostać w każdym sklepie i to w jakim opakowaniu, szwedzkie majtki są bardzo piękne po dwie korony.

Wiktor cała ta celebrowanie świata rzeczy nie dotyczyła, była dla niego miazgą, wśród której się obracał z konieczności. Z konkretnych istniały dla niego jedynie gołębie. Miał je gdzieś pod dachem, swoje czy cudze, nikt tego dokładnie nie wiedział. Gotował im kartofle, żeby chlebem bez końca nie karmić. Były też jeszcze inne powody, dla których na swój strych uciekał. Tymczasem siedząc na zamkniętym sedesie, odczekawszy, aż Jacek skończy przepierkę swej prawej nogawki, co mu absolutnie odcinało percepcję, Wiktor podjął swój nie skończony temat.

– Jest dokładnie wyważona, taka akurtna. To widać nawet na zewnątrz. Chyba zauważyłeś, jak się czesze, jak się ubiera. Wszystko w porządku. Ładnie, dokładnie, symetrycznie. Nie wyskakuje. Ot, schludnie, ale żadnej ekstrawagancji, śmiałości. Bardzo ją kiedyś namawiałem, żeby założyła przezroczystą bluzkę – takie wtedy były modne, bez biustonosza. Nie wiem, czy zauważyłeś, że piersi ma niezbyt duże, ale gustownie wykształcone. Mogłaby tak chodzić. Niechby się choć raz przeszła. Widziałem takie dziewczyny. To wcale nie muszą być podbierajki, po prostu nie chcą biustonosza, mają prawo, stać je na to. Idą sobie środkiem ulicy wyprostowane, z cycuszkami rozchybotanymi, chłopaki zezują, czasem który wróci, by raz jeszcze minąć z naprzeciwka. Jest przyjemność i satysfakcja. Cóż, ciało kobiety jest dla nas zachętą do życia. I wcale nie trzeba być erotomanem, żeby dojść do takiego wniosku. Jak się chłopakowi nogi zgrabnej dziewczyny nie kojarzą z młócką, to nie tylko jest on poczciwością człowiekiem, ale i wałach, któremu dla kiepskiej przyczyny wycięli jaja.

– Tak, masz rację – potwierdził Jacek, który do tej pory potakiwał tylko ruchem swej solidnie obrośniętej głowy.

– Masz całkowitą rację, ale może byśmy wyszli z tego wychodka?

Nie wiedzieć czemu, pociągnął za sznur od rezerwuaru i spuścił wodę. Miało to raczej znaczenie metaforyczne. Dokonał właściwego uogólnienia. Wyszli. Na korytarzu panowało pożegnalne ożywienie. Rozlegały się stokrotne ucałowania, zwłaszcza krótkie, obrzydliwe serie miłości międzykobiecej. Oblapywały się, świergotając niezwykłą przyjaźnią, obcałowywały się jak przed podróżą za ocean. Dominowała w tym mama Małgosi.

– Ach, kochani, przychodźcie do nas, przychodźcie. Przecież nie czekajcie do następnych imienin. – Jacek jak gdyby dopiero teraz zrozumiał, że to były imieniny, podskoczył do

Małgosi i zaczął jej życzyć wszystkiego najlepszego. Myślano zapewne, że się upił, chociaż wódki nie było dużo. Jacek przeproszał, że mu się w kalendarzu pomyliła środa z czwartkiem. Anka nie mogła się powstrzymać od wzgardliwego stęknienia.

Pan profesor z Radomia zamknął za sobą drzwi, raz jeszcze je otworzył i wyszczerzył zęby w życzliwym uśmiechu nieco końskiego pyska. – A nie zapomnij, Małgosiu, do Radomia przyjechać. Namów męża i przyjedźcie do nas tym waszym pięknym fiatem. Do widzenia. – W tej chwili nie domknięte okno, pod wpływem przeciągu spowodowanego przez kuzyna, otworzyło się na całą szerokość. Drzwi z hałasem trzasnęły. Na zewnątrz też musiało nieźle powiać, bo aż w rynnach zajęczało, a potem dał się słyszeć jeszcze jeden łomot, coś stuknęło za oknem o blaszany daszek. Ciocia Ferdynanda krzyknęła – Jezus Maria! – Papa podbiegł do okna – psiarew! – zaklął – antena, urwało antenę. – I wtedy nastąpiła najpoważniejsza niestosowność Wiktora.

Już gdy mama Małgosi bagatelizując zdarzenie oświadczyła, że jutro hydraulik naprawi – każdego majsterklepkę nazywała hydraulikiem – Wiktor, w końcu człowiek na stanowisku, wskoczył nieoczekiwanie na parapet okienny, zadając jawny gwałt stabilności sytuacji i nobliwej powadze domu. Zebrani zmartwieli. Stał przez chwilę w swoim czarnym, nienagannym garniturze na framudze okiennej, dla równowagi przytrzymał się firanki, a wiatr, który był tego dnia zupełnie nieeuropejski, majtał mu nogawki w te i wewte. – To drobiazg – krzyknął, złamało się tylko drzewce. Może mi ktoś da klapcegi? – Nikt się jednak nie poruszył. Wszyscy na niego patrzyli ze spokojem, chociaż mało przychylnie.

– Przydałyby się klapcegi – powtórzył Wiktor, wychylając się coraz bardziej na dwór.

– Wracaj zaraz – nie wytrzymała Anka. – Przestań się wygłupiać!

Czuło się w jej głosie hamowaną wściekłość, Anka rozumiała cały nietakt Wiktora. Mąż jej zachował się jak nieobliczalny szczeniak. Co tu dużo gadać – zależało jej na tym towarzystwie. Ci poważni, ze wszech miar godni szacunku ludzie jeszcze niezbyt dobrze znali Wiktora. No i poznali cyrkowca.

Cisza przedłużała się, zapanowało napięte oczekiwanie. Za oknem tylko Wiktor nieskromnie skrobał anteną po blaszanym daszku. Ciotka Ferdynanda zamierzała właśnie wypowiedzieć okolicznościową uwagę na temat bezpieczeństwa robót poza oknem, gdy nadleciał gwałtowny podmuch, Wiktor zniknął i tylko blacha jęknęła, jakby się po niej przetoczyła beczka.

W pokoju rozległy się przeraźliwe krzyki. Ludzie podbiegli do okna, za którym na antenie wisiał Wiktor, bezradnie bijąc nogami w sklepienie przybudówki.

– Nie będzie panu przeszkadzać, jak Władeczka mnie trochę przygotuje? Władziu, trochę różu i oczy, ale bez przesady.

Władeczka wprawnym ruchem chwytając jej włosy. – To do niczego, proszę pani. Muszę poprawić. – Poprawiaj, poprawiaj, tylko nic nie mów.

Reporter uśmiecha się uprzejmie, chrząka i pstryk – szpuleczki się obracają, magnetofon gwarzy.

– Ma pani męża?

– Nie, nie mam.

– Czy gdyby pani miała męża, nie utrudniałoby to pani wykonywania zawodu? – Znajduje się pani przecież w rozmaitych sytuacjach.

– E, chyba pan przesadza. Mam chłopaka, ale mu to nawet nie przyszło do głowy.

– Iskrzą się, słyszy pan, jak się cudnie iskrzą? – głos Władeczki rozbrzmiewa nie ukrywaną słodyczą. Reporter bezradnie rozkłada ręce.

– Najbardziej lubię rozczesywać włosy naszej pani, są takie elektryczne.

– Kobieto, czy pani nie wie, co to magnetofon? Pani nam przeszkadza. Nie dość, że grzebyczek akompaniuje, to jeszcze pani...

– Ja przeszkadzam!? – Władeczka chwytając się pod boki.

– Ja pani przeszkadzam?

– No, dajmy spokój włosom. Może trochę różu i oczy, Władeczko.

– Mogłaby mi pani zdradzić, ile ma pani lat?

– Przekroczyłam już wiek Julii – wdzięczy się.

Reporter wzrusza ramionami, zatrzymuje taśmę.

Dziewczyna pochmurnieje.

– Skończymy później, Władeczko – mówi surowym tonem, a kiedy Władeczka niezdecydowana stoi nad nią z wyciągniętą ręką uzbrojoną w grzebień, powtarza niecierpliwie:

– Tak już jest dobrze. Dziękuję ci.

Władeczka wzrusza ramionami, przysadzista i mała, odwraca się, odchodzi, półkuliście zataczając obfitymi półdupkami.

– A cóż to za postać? – pyta reporter, gdy już się drzwi zamknęły za wychodzącą.

– Była kiedyś charakteryzatorką w teatrze. Ale zaraz, co ja tu jeszcze miałam? – Wydobywa jakieś notatki. Widać, że nauczyła się swej roli na pamięć. – O moralności było, o naturalszczykach, o nowym polskim kinie, o krytyce.... – Cytowała. Zapewne z „Kultury”. – Gdzieś sobie zapisałam jedną ważną myśl. – Robi ruch ręką, jakby chwytając muchę własnej

sklerozy. – Aha, miał pan zapytać...

– Smędzianka, zaczynamy! – do pokoiku wbiega kulawy asystent. – Stary cię klnie. – Szybko!

Dziewczyna zrywa się z miejsca. Czyni porozumiewawczy gest i niby to bezradna daje się porwać owej sile wyższej, która się czai gdzieś za progiem.

Wszyscy się bardzo szybko zegnali. Anka nie odzywała się do Wiktora, nawet nie spoglądała w jego stronę. Naraził ją na taki wstyd. Niechby spadł, dureń. Ciotka Ferdynanda lamentowała dość długo, że podrapał sobie anteną twarz i rozharatał rękę w łokciu. Dobrze mu tak. Podrapał się czy nie podrapał, jego sprawa. Oburzało Ankę nie to, że spadł, lecz to, że spadł przy tych ludziach. Popisał się. Chłopaczek piętnastoletni, po płotach jak kocur łązi, tyle że oferma. Anka aż pobladła ze złości. Hamowała się jednak. Nie dawała po sobie poznać wzburzenia. Usiłowała nawet zbagatelizować zajście, pokazując, że mało ją dotyczą kiepskie wyczyny Wiktora. Mój Boże, wszyscy widzieli, jaki ma z nim los. Towarzystwo było zbulwersowane. – Wiatr, straszny wiatr się zerwał – przypominali sobie jeden przez drugiego. Zabrzmiało to jak sygnał do odwrotu. Wiatr za oknem, Wiktor cokolwiek za oknem; owa niespokojna zewnętrzność poza granicami zasiedzenia i zasluchania się w siebie przypomniały im ich własne domy, miejsca istotnej egzystencji, której namiastki rozpełzały się po kominkach, po celebrowanych spotkaniach u przyjaciół lub dalszej rodziny. Wiktor za oknem, niby nieporadny diabełek, który zawiesił się na własnym chwoście i dyndał wątlými nogami, stał się farsą ich zacnej wzajemnej adoracji, stał się upostaciowaniem bezsensu, łatwej wywrotności, nieprzewidywalności zdarzeń małych i śmiesznych, które tak łatwo mogą zburzyć poczucie uładzonej harmonii, estetyki dnia.

Wychodzili dość spiesźnie, ściskając na pożegnanie Małgosię, która tylko dla właściwej etykiety, dość zresztą zdawkowo, wyrażała swój żal z powodu ich nagłego odejścia. Dobrze przecież rozumiała, że coś się poruszyło i nie należy się przeciwstawiać. Dziękowała serdecznie gościom, którzy jakkolwiek wcześniej zaproszeni, poza Jackiem oczywiście, nie zapomnieli o jej imieninach.

– Dobry obciach – śmiał się Jacek. – Szkoda, żeś sobie nogi nie złamał. – Zbiegli szybko na dół.

– O której masz samolot? – Tańczyli na wietrze połami płaszczy, zbliżając się do zaparkowanej przy płocie skody. Artystyczna grzywa Jacka szalała, zasypując mu oczy, to znów odlatując gdzieś daleko niby przelotna kometa. Dochodzili już do przyczajonego pod drzewem auta, gdy nagle w półmroku latarni oderwała się od maski samochodu jakaś

niekształtna postać.

– Psiamac – zakłęta stara baba – mam sto lat i już nijak nie mogę. Rozpłaszczyło mnie to dmuchawisko. – Zatoczyła się wprost na mężczyzn zaskoczonych jej nagłym pojawieniem się. Była całkiem siwa i rozedrgana. Włosy jej fruwały prawie jak Jackowi, a kiedy się zbliżyła, widać było, że ma sto lat i całkiem pomarszczoną twarz.

– Psiamac! a to się lichy uczepliło.

– Może pani pomóc? – Wiktor nachylił się ku staruszce. – Może panią poprowadzić? Gdzie pani mieszka?

– Won, gówniarzu! – oczy babie zabłyśły. – Ja cię poprowadzę, ty koniu psi! – nagłym ruchem zdzieliła Wiktora laską przez ramię, po czym mimo zawiei i starczego kręgosłupa wyprostowała się godnie, jakby urosła, splunęła na młodzieńców z obrzydzeniem i rozplynęła się w mroku.

– Co to było? – Jacek był przerażony.

– Babunia – skonstatował Wiktor, rozcierając sobie ramię po uderzeniu. Z daleka dochodziło ich jeszcze uparte postękiwanie:

– Psiamac, jak to dmie. Mam sto lat i już nijak nie mogę.

– Oj biednieńki ty dzisiaj – prześmiewał się z przyjaciela Jacek. – Dwakroć cię los pobił. – Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik nie podchwycił.

– Musiała stara zauroczyć. Przecież to dobry samochód – zrewanżował się Wiktor za prześmiewki poety. Wreszcie ruszyli, pomaluśku, by nie spłoszyć licha, które wyraźnie igrało dziś po miasteczku, by nie zaczepiać ulic, co jak złe psy wyrwane ze snu mogłyby pognać za nimi, kto wie jak daleko. W czyimś ogrodzie zaszczekał pies. Pędzili wyboistą drogą, co pewien czas roztrącając wczesne gwiazdy, utopione w małomiasteczkowych kałużach. Nagle zobaczyli babę z groźnie wyciągniętą lagą.

– Na skrzydłach fruwa?! To chyba jakaś inna.

– Ile takich bab może być w mieście? – dziwił się Wiktor.

– Wszystkie są takie same – odburknął przyjaciel.

– Tak, baby są podłe – Wiktor podchwycił swój odkrywczy wątek. – Widziałeś, jaka jest moja. Co ci zresztą będę mówić? Znasz ją.

– Ohoho!... – Jacek zacmokał. Wiedział, że teraz tylko błoto będzie bryzgać i wnętrzności jak mgły przydrożne snuć się będą w klekocie rozważań.

– Pojmij. Moja żona jest pod każdym względem oszczędna. Że pieniędzmi nie szasta, to dobrze. Ale z uczuciami to samo. Żadnej wybujałości. Równowaga – rozumiesz? spokój, proszę kolegi, miazga! A wołałbym już, żeby mnie raczej jak ta staruszka, nawet bez

przyczyny laseczką w łeb, ale z polotem. Czasem to nawet chciałbym, żeby się z kim przespała, jeśli to mogłoby ją ożywić. – Nie śmiej się. Nie zrobi tego. Możesz być pewny. To nie w jej stylu. Znam ją. – Jacek uśmiechnął się pobłaźliwie. – Nie mogę darować jej akuratałości. Dokładna, wypielegnowana. Tak, do fryzjera, owszem, manicure, owszem, koszulki czyste, bluzeczki wyprasowane, uśmiech ten dla pana dyrektora, a ten dla koleżanek – oczywiście szczery, dla mnie wyjątkowo szczery, ale w wannie, bracie, co dzień poniewierają się włosy, jej włosy długie, wylażą chyba pęczkami z tej uformowanej główki, skąd tyle włosów? Są zawsze w wannie, codziennie niedbale się rozpełzają, spinki też porozrzucane tu i tam, wszędzie, najwięcej na półeczce przed lustrem.

A na przykład jak śpi ze mną, to nawet nie miauknie. Wydaje mi się czasem, że nic z tego nie ma. Dlaczego inne dziewczyny piszczą, a ona spokojniutka, jakby sobie budżet na dzień jutrzejszy układała? Spokojniutka, bracie, śnięta, nawet nie kwiknie.

– No dobra, stary, dobra – usiłował powstrzymać go Jacek. – Ja się na tym nie znam, ale jak chcesz wiedzieć... – W tej chwili jednak musiał się skupić na kierowaniu, bo wjechali na ruchliwe ulice metropolii, a potem zapomniał był o kwestii. W chwilę później wiedzieli już, że z powodu nie sprzyjających warunków atmosferycznych lot samolotu został odwołany. Gdy wracali, lunął deszcz. Skośnymi zygzakami, gruby, niecierpliwy. Samochód przedzierał się przez strugi wody, zatopiony w kłębiącej się ruchawce. Wiatr miejscami był tak silny, że chwycił ulewę w pół, a nawet kałuże z szosy podrywał i rzucał gdzieś w bok, to znowu w górę, jakby chciał z powrotem odrzucić do nieba.

– Co się dzieje, pies się powiesił albo co?

– Rzeczywiście, cholerna wścieklica – potwierdził Wiktor.

Kształt zabudowań rysował się niewyraźnie poza granicą oczywistych wymiarów, poruszony nieco, trochę miękki. Światła reflektorów z trudem przebijały się przez powietrzny kołtun. – Lubię taką pogodę – zamamrotał Wiktor. – Coś się dzieje, tak jakby o coś chodziło.

Wjechali na ulice miasteczka.

– Zaczekaj! Stąd już blisko.

– Co się stało? – zdziwił się Jacek.

– A nic, nic. Chciałem się przejść.

Wyskoczył, zatraskując mocno drzwi za sobą. Jacek wzruszył ramionami. Wiktor z trudem pokonując przestrzeń przebiegł kilkanaście metrów. Obejrzał się. Widać było biegnących, skulonych pod parasolami po przeciwległej stronie ulicy. Przyspieszył kroku, przeskakując tu i ówdzie większe połącze wody, rozczłapał się głośno, skapał po kostki i już dalej nie zważając na nic, brnął wplaw jak czołg przez rzekę. Dopadł furtki ogrodu, spojrzął

na dach, gdzie zapewne szalał ogłupiały wiatromierz. Przed schodami zawahał się. Wbiegł jednak na górę, prosto na swój stryszek. Oddychał ciężko. Stał niezdecydowany, nie zapalając światła. Po chwili usłyszał skrzypienie schodów. Wchodzą na górę? Anka nigdy tu przecież nie zaglądała. Stryszek od wielu lat jest jego azylem i siedliskiem gołębi. Co jej przyszło do głowy? Po omacku cofnął się do wnęki zasłoniętej podartym starym przepierzeniem. Z podłogi poderwały się w ciemność potrącone przez niego ptaki. Słysząc było łopotanie skrzydeł, a zaraz potem otwieranie drzwi. Zapaliło się światło. Wiktor przez niewielki otwór spostrzegł żonę i młodego, przystojnego mężczyznę. Był to dryblas, ale jak na swój wzrost dość wysmukły. Widział go chyba kiedyś, bo twarz wydawała mu się skądś znajoma.

– Jestem cała mokra – Anka nie wydawała się tym faktem zbyt zmartwiona. Z jej długich potarganych włosów strużkami lała się woda.

– Może jednak zeslibyśmy na dół – głos tego faceta był jakiś metaliczny, nieprzyjemny, chociaż przepełniony słodyczą, która od razu wydała się Wiktorowi obrzydliwa. – Przebrałabyś się, wysuszyła – powiedział i przyciągnął Ankę ku sobie. Zaczął ją całować po tych mokrych strąkach.

– Pachną deszczem.

– Daj spokój – powiedziała miękko, z odrobiną kokieterii. Ściągnęła ze sznurka ręcznik i zaczęła nim wycierać głowę i twarz.

– Posłuchaj, jak gwizdże. Tu wszystko wspaniale słysząc. Krople uderzają w dach, aż mnie łaskocze, czuję je na skórze. – Wiktor omal się nie roześmiał. Anka, ów przeracjonalizowany, mało lotny umysł, stała się nagle wyrafinowaną poetką postępującego dachu. Zamierzał już wkroczyć w ten żalosny standard, gdy usłyszał faceta. – Rozbierz się, natrę cię wódką. Mam tu taką piersióweczkę. – Anka nie odpowiedziała. Wiktor poczuł się niewyraźnie. Pochylił się nad sznurowadłami. Zaczął rozwiązywać. Buty były całkiem mokre. Ściągał je najciszej jak mógł. Zdjął również płaszcz i marynarkę, ale w białej koszuli z krawatem było mu chłodno, więc trzął się z zimna, a może i nie tylko z zimna. Znowu spojrzął przez dziurkę w kotarze. Jego żona rozścieliła wyrko, na którym nieraz sypiał w pogodne letnie noce, zwłaszcza kiedy się z nią pokłócił albo gdy go nachodziły dziwne, niewytłumaczalne smutki, przez prymitywnych ludzi nazywane chandrą. Bywało, że na tym tapczaniku obrócił przygodną panienkę. Czuł się tu dobrze. Ale ona? Dziwił się, że Anka dotyka tego barłogu, przecież już niezbyt świeżego. Ręce jej, jak zwykle spokojnie i pracowicie, tańczyły po kołdrze i poduszce, którą trzeba było wyrównać i należycie uklepać. Przyjaciół wyjął z kieszeni piersiówkę przedniej marki i postawił przy łóżku, na dużym okrągłym pniu. Pień ten służył Wiktorowi za nocny stolik. Przytaskał go kiedyś z Jackiem z

pobliskiego lasu, gdzie szła ścinka przez całe wakacje. Zostawili drwale powalone kłody drzewne, niektóre pocięli na równe kawały, a taki przysadzisty kloc aż prosił się o przetoczenie. Na stromych schodach, kiedy pniak wnosili na strych, Wiktor omal się nie obalił. Złapał równowagę w ostatniej chwili i ustał. A obalił się dopiero kilka godzin później, kiedy z Jackiem i jeszcze jednym kolegą wypili za zdrowy pień, podstawy ustroju i święto lasu. Na stryszku wszystko było drewniane, zrobione ze smukłej leszczyny – krzesieleczka, półki, fikuśne wieszaki, które służą raczej ku ozdobie niż wieszaniu. Z dachu zwisały korzenie, jakby drzewo nie z ziemi, a z nieba miało wyrastać. Wiktor lubił drzewo, lubił w drzewie toczyć scyzorykiem, ciosać siekiereczką, obstrugiwać. Byle drucik i te pręty smukłe, giętkie, jakie daje berberys i zwykła leszczyna – masz i całe królestwo leśnych cudowności, sprzętu użytecznego, zwierzątek ozdobnych, człekokształtnych korzeni, gałęzi, ruchliwych wiatraczków i krzyży przeróżnych. Krzyże, patyki na krzyż pod kątem prostym lub w skos, żeby tylko powiesić. Kiedyś huśtały się na tym dzwoneczki z popiskiem srebrnym i leciuchnym. Pozdejmował, bo dźwięk był nieustanny, a to dobre na chwilę, ale na dłużej to piekło. Wiktor umiał wszystko zrobić z drzewa, drutu i kamienia. Cenił swoje umiejętności, chociaż się nimi nie afiszował, chyba że trzeba było coś poprawić, jak dzisiaj, kiedy się antena Małgosi urwała. Małe ludzkie ucieszki, ot takie patyczki, kratki, którymi chciałoby się zasłonić przed rozpędzoną magmą życia.

Nie, Wiktor nie był artystą, był wiecznym chłopakiem, dzieciuchem, który z lat dawnych przechowuje na strychu łuki i cięciwy z czubkami po niemieckich nabojach, a czasem z nudów lub z przyzwyczajenia robi łuk nowy, wspanialszy niż dotąd, by ustawić go jak kwitnącą paproć na widocznym miejscu, i strzały wtyka w zrobiony przez siebie prymitywny kołczan. W małym okienku lekko falowała pajęczyna z misternie splecionych patyczków i włókien drzewnych. W otworze płóciennym jak w judaszu ujrzał Wiktor nagiego mężczyznę. Stał ku niemu obrócony tyłem, piękny, proporcjonalny. Ręce Anki ukryte za tym dużym nagusem przesuwają się powoli od dołu ku górze jego mocnych ud. Wiktora jakby coś szarpnęło, zdawało mu się, że za chwilę wybiegnie z pięścią gotową do ciosu, do nierównej walki z tym bujnie rozrośniętym facetem. Serce mu uwięzło w gardle, ręce zeszywniały, stały się jakieś obce, w głowie mu szumiało, słyszał własne tętno. Przełknął tylko ślinę i patrzył, patrzył jak zahipnotyzowany.

Podniosła się z klęczek. Zaczęli się całować, długo, bezwstydnie, w całkowitej ciszy. – Nigdy się tak nie całuje – pomyślał Wiktor. Potrącił własny but, którego w porę nie odstawił. Tamci zatrzymali się w pół gestu. – To gołębie – powiedziała Anka. – Czekał, napiję się. – Przechyliła butelkę. Mężczyzna wszedł do łóżka, które pod jego ciężarem aż stęknęło ciężko.



Anka ściągnęła koszulę. – Tu mamy spokój, nikt nas nie znajdzie, a poza tym jest romantyczniej.

– Idiotko, ty idiotko – pomyślał Wiktor.

Gałęzie starego klonu, ocierając się o blaszany dach, wydawały bezustanny, fałszywy ton. Wiatr zawodził, narzekał, na chwilę gasł, by z jeszcze większą siłą uderzyć w okienko i w ten cały dom, który wydawało się, że pęknie, że zaraz trzaśnie. Tylko gołębie spały spokojnie, bezpieczne na Wiktorowej górze. Do szumu wiatru dołączył się jeszcze inny odgłos. Odbił się ten odgłos w głowie Wiktora obrzydliwym echem, sięgnął wnętrzości. Ale trwał Wiktor w zasluchaniu, w swej bezsensownie zapatrzonej niemocy. Wchłaniał całym sobą przyspieszone oddechy tych dwojga, coraz bardziej łąpczywe, zapamiętałe, słuchał, jak materac wtóruje ich ciałom pełnym siebie i wciąż nienasyconym. Jego żona zaczęła wydawać ten głos, coraz bardziej bezwstydnym. Powtarzała jakieś obce imię. Wreszcie usłyszał jego. I był już tylko nawiedzony taniec i jej nagły, przeciągły krzyk. Nigdy u niej tego nie słyszał. Oczy Wiktorowi zasłyły mgłą. Twarz przebiegł skurcz, który mężczyzna ma w tym swoim momencie. Z uczuciem ustępującej rozkoszy i obrzydzenia do siebie trwał nieporuszony.

– Stop! – Gównno!

– Zrozum – to jest twoja żona. Rozumiesz? Kochasz ją czy nie kochasz, wszystko jedno – to jest twoja baba, twoja rzecz, a on ci ją paskudzi i to tak, że ci się bebechy przekręcą na odwyrtkę. Tobie, tak, tobie! Ty w tej chwili jesteś twoja żona. Człowieku, to przecież on ciebie pieprzy. No nie możesz się tak wykrzywiać. Wygląda, jakbyś grymasił. Jeszcze raz. Kamera!

Reżyser aż się zasapał. Nadął się w sobie, podparł i coś przeżuwa. Kamera najeżdża na biednego Bolka. „Wiktor” wyłazi mu z nogawek, uszami, nosem, rozporkiem. Ma go dość.

Jego dziewczyna, również dopiero po szkole, gra Ankę. Męczy jakiegoś statystę na wyrku. Nic to jednak Bolkowi nie pomaga. A przecież mają już za sobą parę lat praktyki, różne etiudy, krótkie metraże, takie pólamatorstwo i niemal prywatne studio – jeszcze z czasów szkoły. Cholernie im zależy. Może właśnie dlatego tak trudno Bolkowi. Kiedy zaczynali, rola Wiktora nie wydawała mu się zbyt skomplikowana. Miał już za sobą różne takie historyjki. Jolka też.

Reżyser macha rękami, opluwa się, kopie w piernat.

– Cały film od tej sceny zależy. Jak nie dasz tego z siebie, co masz dać, to cały film jest kiepski gneciuch. Ta scena to jest wszystko i ty to dobrze wiesz. Kotek, żebyś miał tu się posusiać... rób jak chcesz, ale ty to musisz z siebie dać. Lecimy.

Znowu słycać, jak Anka się drze.

– Teraz! – reżyser mało nie wskoczy na plan.

– Bolek! Zobacz, co ten kizio jej robi. To przecież nie Anka, to Jolka, psiamać, to twoja Jolka. Stasiu, jak Boga Kocham, zrób jej to, może się ten bałwan wreszcie złamie. Bolek! – teraz, daj to, daj to!...

– E, stop!

Reżyser wzdycha. Spokojniutki, jakby to nie on przed chwilą odegrał całą scenę za swych nieudolnych aktorów. Nie tańczy już, nie fryga, ręce mu nie latają, gęba nie terkocze. Siedzi poważny, zamyślony. Nagle odwraca się do młodego aktora.

– Bolek, a może by tak – nie pogńiewajcie się, dzieci. Musisz to poczuć.

– Co, Stasio ma ją naprawdę?! – cieszy się ryży kulawy asystent.

– Głupi jesteście. – Reżyser podnosi palec, coś w sobie waży.

– Sprawa racji nadrzędnej – kontynuuje asystent – ale nie namawiam.

Jolka zanosi się od śmiechu. Siedzi na studyjno-stryszkowym wyrku i zanosi się, jakby miała koklusz.

– Nie wygłupiajcie się! – Bolek z trudem powstrzymuje wściekłość. – Spróbuję jeszcze raz. Jak mi teraz nie wyjdzie, to znaczy, że nie dam rady.

Reżyser kiwa głową. – Ej, Bolek, Bolek – ty dasz radę, tylko ty możesz dać radę. Ile razy mówiłem, że zanim metr nakręcisz, dziesięć razy upadniesz na mordę. Do roboty, nie rozklejać się! – Scena powtarza się jak przed chwilą. Nie wiadomo skąd, pojawia się głowa reportera – szuka kogoś wzrokiem.

– Won mi z tym diabłem! – reżyser wywraca krzesło. – Kto go tu wpuścił, tego diabła? – Scena powtarza się jak poprzednio. Reżyser żuje, chociaż nic w gębie nie ma. Znowu zatrzymał akcję i tłumaczy to samo. – Ten film to twoja twarz. Cała sprawa jest dla twojej twarzy, dla tego momentu. Wszystko ma być w niej – fura obrzydliwości, obrzydliwości – powiadam! – mieszczaństwo, rodzinka, te panusie, filozofijka, co tam jeszcze było? – Wszystko to frytki. Chodzenie, jeżdżenie, spadanie z dachu, deszczyk, wiaterek, co tam jeszcze masz? – to, to jest, kotek, nic, to można tak i tak, ale ty oczki masz mieć naprawdę zamglone, przez buzię musi ci przelecieć taki aniołek, żeby panienka, która choć raz widziała to na twarzy faceta, patrząc na ten film, nie mogła się pomylić. Dosyć! Wszyscy won! Zostaje kamerzysta. Reszta buzi, do jutra! – Ty, Jolka, zostań. – Po chwili kamera znów zaczyna pracować. Reżyser spokojnie zwraca się do dziewczyny: – Pomóż mu, on to musi dać. – Kamera najeżdża na twarz chłopaka, na twarz, która początkowo zaskoczona, potem wściekła, zaczyna powoli mięknąć. Jest absolutna cisza. Słycać tylko cichutki pogwar

aparatów.

– Niech się pan odwróci – to głos Jolki.

I znów twarz Bolka. Twarz Bolka – hamowanie i budzenie się czegoś. Pełna napięcia, żywa twarz, ożywająca, napęczniona wzrastającą fizjologią, udręczona, już prawie szczęśliwa, uduchowiona twarz Bolka, oczy zamglone, i wreszcie jawny spazm, ohydnie piękna twarz Bolka.

Dziewczyna wymyka mu się co chwila. Przebiega kilka kroków, przystaje. Jest uśmiechnięta, lekka. Przedziera się przez tłum przechodniów z niezwykłą zwinnością, ma coś pociągająco zwierzęcego w swojej elastyczności, w szybkich, a jednocześnie płynnych ruchach.

Ulice Warszawy są zatłoczone jak w dzień targowy małomiasteczkowy rynek z ich filmu. A kim jest ona? którą z nich zna naprawdę? Czy zna ją naprawdę? Zgodziła się! A może to on się zgodził? – Daje się więc unieść w ten taniec codzienny i podąża w trop za swoją dziewczyną.

Więc napisałem tę nowelkę. Żona jeszcze nie czytała. Aż strach bierze, co ona na to. Opowiedziałem fabułkę jednemu reżyserowi. Młody. Mówi, że czuje. Może mu dadzą nakręcić. Wątpię. Najważniejszy fragment chyba nieobyczajny.

Prywatnie powiedzą mi w zespole, że na Zachodzie to by kupili na pniu. Tam nie ma tych problemów. Nie ma więc sensu pokazywać tego na Zachodzie. A zresztą skąd ja wezmę Zachód? Pojadę do Danii i powiem – przepraszam, mam tu właśnie coś dla was. W moim kraju panowie w zespołach są bojaźliwi albo wstydliwi, wy tu już niejedno... więc może by... Popatrzę na mnie przychylnie, poklepią po łopatce. Gdybyś, bracie, po duńsku do nas powiedział, może byśmy cię zrozumieli. Dostałbyś elegancki pokoik od kierownika produkcji, kupę dolarów, adresy klubów porno, pucybuta i wizę na sto lat, ale oczywiście troszkę byś zmienił swoją powiastkę, tak byś zmienił, że by ci w twoich zespołach na pewno już nie przyjęli, boby im zęby same ze strachu powypadały. Ale masz, bracie, szczęście, że my jednak mamy co robić, i nie musisz się kłopotać, uczyć duńskiego i w ogóle tu przyjeżdżać, żeby z nami rozmawiać. Nie musisz nawet przeżywać patriotycznej rozterki, być wciągany w podejrzaną aferę, możesz sobie nadal spokojnie swoje małe świństewka w biednej łepetynie przemłócić, bo my, bracie, mamy tyle swoich zmartwień i tylu mądrych, co nad tymi zmartwieniami siedzą, że już całkiem jest dobrze, kiedy nam chociaż ty głowy nie zawracasz. Ale tak czy inaczej, napisałem tę nowelkę i tu w „Pamiętniku” przytaczam, bo to

choć o kim innym, to chyba ma coś ze mną wspólnego.

30 lipca 1972

Jem śniadanie z Karolem, chodzę na spacer z Karolem, w chwilach wolnych sypiam z Karolem. Chciałam się przekonać, jak to będzie, czy mogę być z kim innym. Chyba mogę, ale nie ma w tym nic zachwycającego. Karol jest dla mnie dobry. Opiekuje się dzieckiem, uśmiecha do małej, bawi się z nią; czuję jednak, że robi to tylko dla mnie, żebym widziała jak moje dziecko jest mu miłe. Może zresztą jest mu miłsze niż własnemu ojcu. Filip przepada na coraz dłużej. Ostatnio nawet nie wraca na noc. Przyjechał Zenonek z przyjaciółmi. Sami artyści. Włóczą się po Sopocie. W Spatifie od rana kiwają się nad jednym kieliszkiem. Tak twierdzi Filip. Wciąż mi opowiada o jakiejś kapuścianej głowie w temblaku. Ech, nie jestem taka naiwna. To chyba Filipek nosi coś w temblaku, ale nie głowę, którą dawno stracił dla licealistek. Starzeje się. Lubi coraz młodsze. Domyślam się, czym się zajmuje mój dobry mąż, kiedy pojawił się na horyzoncie poeta Zenonek. Ale wreszcie nie jestem mu dłużna. Jadę jutro z Karolem i Rostockimi na piękną wycieczkę. Karol to dobry chłopak. Joasia powiedziała dziś do Karola – „tata”. Było mi przykro.

Poznaję ich po brzmieniowej celebracji słowa. Przymykają czasem oczy. Poważnym, okrągłastym językiem, dziągając ze znanstwem, przesuwają poukładane szufladki myśli – otwarte, zamknięte, otwarte, zamknięte. Wyglądają, jakby połykali własny rozum. Intelktualiści, ludzie zresztą również niekiedy, jak ludzie, nawet mili, nawet bywa, że porządni, choć już coraz rzadziej – mierzą mnie jednak swoją zewnętrżnością, ładem intonacji.

Słyszę ich czasem w kawiarni literatów lub na uniwersytecie. Oczywiście, nie ze wszystkich dobywa się ta nikczemna, wyrazista dykcja i głos inteligentnego eunucha, proporcjonalnie wyważony, rozważnie rozmieszczony w swej artykulacyjnej energii. Jest dwunasta w nocy. Joasia niczego się nie spodziewa. Nie wiem, czemu mnie do nich taka opadła drażnota. Może dlatego, że sam jestem trochę inny, nieproporcjonalny, nawet w głowie mi ćwierka pobudliwość i nie potrafiłbym tak gładko jak oni sączyć książkowej flegmy w codziennym mówieniu, bo już mnie gonią napięcia, eksplozyjki nieraz skryte, choć nieźle rozwścieczone, a nawet kiedy mówię o rzeczach obojętnych, tłoczą się słowa pospieszne, niedoartykułowane, jakby z zadyszka. W każdym razie nieco przyspieszone, tak jak mój puls. Mowa chyba oddaje puls człowieka. Jest dwunasta w nocy.

Nienawidzę świata. Wyszła. Zaraz to zapisałem i trochę mi lepiej, jakbym przyłapał kogoś

na gorącym uczynku. Kogo? – pewnie siebie. Głupio, ale lepiej. Joasia śpi spokojnie. Nie spodziewa się, że bez większego powodu wyrzuciłem jej matkę z domu. Powiedziałem grzecznie, żeby się wynosiła. Zakrzętała się chwilę, wzięła szczoteczkę do zębów i wyszła kilka minut przed północą, chociaż nie miała gdzie pójść. Nie ma koleżanek, które mieszkają niezależnie, więc kiedy ją spytałem, dokąd pójdzie, powiedziała – nie wiem, przecież nie mam gdzie iść – ale poszła. Nie zatrzymywałem, chociaż jeszcze bardziej byłem wściekły, że jednak wychodzi. Leżę teraz i słucham swej wściekłości, jak się we mnie panoszy, we krwi mi dryfuje, stopniowo się ścina i osiada na dnie. Największe rozdrażnienie odczuwam z powodu siebie samego. Tak się dać wciągnąć. Nieraz jestem chamem. Różne sztuczki z nią robię. Mogło to się jej już dawno sprzykrzyć, ale mi to uszło bezkarnie raz i drugi, przyzwyczała się do mego draństwa, chociaż do tego przyzwyczaić się nie można, i ja się przyzwyczałem, i już nie umiem się zatrzymać. Dzisiaj jej wprost powiedziałem, że mam nad nią władzę i jest ostatecznie tak, jak mnie się podoba. Zaprzeczyła. Mam dziewczyny, a ona musi się na to zgadzać, bo nie potrafi się ode mnie uwolnić. Zaprzeczyła.

Powiedziała, że ona też mnie zdradza.

No to poprosiłem ją grzecznie, żeby się wynosiła. Zabrała szczoteczkę do zębów i poszła. Ale gdzie mogła pójść? Dziwką nie jest. O tej porze nie pokaże się w żadnym przyzwoitym domu. Ona ma innych znajomych niż moi koledzy, którzy przychodzą do mnie o pierwszej w nocy. Dziwką nie jest. Nie wierzę, żeby poszła do faceta.

Zaraz wróci. Do opróżnienia tej wielkiej ambicji wystarczy jej dwadzieścia minut. A mnie? Sam nie wiem, czego naprawdę chcę.

Rozpocząłem głodówkę. Powód jest błahy. Po prostu nie jestem dopasowany do życia, nie nadaję się. Już wiele razy zastanawiałem się nad metodą zniknięcia. Nie jest to łatwe. Strach i obrzydzenie. Nie chcę służyć krwią tętniczą ani się topić w zimnej wiślanej wodzie, dając później widowisko z wyciąganiem ludzkiego obrzydliwego łacha – kiczowaty film. Rewolweru nie mam, nóż kuchenny za tępy. Gaz? Tak, gaz byłby najodpowiedniejszy. Nie chciałbym jednak nikogo w to wciągać, a u nas w domu prawie zawsze ktoś jest. Niech sobie żyją.

Głodówka ma wiele zalet. Przez dłuższy czas nikt jej nie zauważy, zwłaszcza że mam zamiar zachowywać się normalnie, wykonując różne robotki i wychodząc z domu. Głodówka ma poza tym walor stopniowości. Mogę w każdej chwili się rozmyślić, mogę nie wytrzymać i wpałaszować bułkę z szynką albo przygrzać wątróbkę, mogę obserwować własną wolę, obserwować całego siebie, przyglądać się, jak słabnę, dowiedzieć się, czy to rzeczywiście jest

takie okrutne. Nic o tym jeszcze nie wiem. Nie wierzę w błagę literatury. Chcę zobaczyć własnymi oczyma tych strajkujących więźniów, tych bohaterów, którzy mieli powody, którzy mieli wiele prawdziwych powodów. Ja nie mam żadnego prawdziwego – tyle tylko, że już się sobą zmęczyłem i zmęczyłem sobą najbliższe otoczenie.

Teraz jestem precyzyjny, dobrze mi się myśli. Obżarstwo zamula umysł, nie tylko żołądek. Ciekawe, jak to będzie w piątym dniu, jeżeli rzeczywiście dotrwam.

Nie chciałbym przed czasem spasować. Teraz zajmę się pracą. Nie chciałbym jak zając uciekać w krainę wolności nieprzytomnie i bez rozliczenia się z kim należy. Przygotuję jeszcze materiał redakcyjny – odniosę. Pieniądze wziąłem z góry – wypada więc odpracować – może zdążę. Podobno w takich wypadkach pluje się z góry na wszystko. Ale to są czyny desperackie. Ja wcale nie podejmuję czynu desperackiego, nagłego. Chcę po prostu wziąć się z sobą za bary. Wypróbować własną wolę, mam nadzieję, że skutecznie.

Pierwszy dzień zapowiada mi się całkiem miło. Nie będzie się niczym różnić od innych. Obejrzę w telewizji międzypaństwowy mecz piłki nożnej, podobno ma być niezły. Wieczorem znowu zabiorę się do pisania relacji z dnia pierwszego. Jeść mi się jeszcze nie chce.

Po kilkunastu godzinach zaczęło mi kruczeć w brzuchu, po dwudziestu przestało.

Zajmowanie się codziennymi czynnościami, zabieganie o różne ważne i mniej ważne sprawy okazuje się rzeczą bardzo pomocną w mojej „chorobie”. Dopóki głód nie jest zbyt intensywny, można o nim zapomnieć, można go oszukać – wystarczy się czymś zająć. Wyobrażam sobie rozbitków na morzu, którzy siedząc na pokładzie pogruchotanego statku muszą wciąż myśleć o tym, że chce im się pić i że dobrze byłoby coś przekąsić. Ze mną jeszcze tak źle nie jest. Świadomość głodu jest wprawdzie coraz częstszym towarzyszem, ale przebywającym obok, nie jest jeszcze we mnie.

Na razie nie rozróżniam: „chcę coś zjeść” od „chcę się czegoś napić”. Jest to dla mnie to samo. Słyszałem, że brak wody daje ostrzej o sobie znać, i że dłużej można nie jeść, niż nie pić. Zobaczymy.

Byłem dziś w stołówce, w której zwykle jadam obiady. Wciąż jestem zapobiegliwy i oszczędny. Obiady sprzedawałem. Trudno mi uwierzyć, że pieniądze są mi już zbyteczne. Nie udało mi się jednak sprzedać obiadu z dzisiejszego dnia. W pobliskim barze garmazeryjnym zaczepiłem nieznanego. – Przepraszam, czy zjadłby pan za dziesięć złotych obiad w stołówce? dwa kroki stąd. – Nie, dziękuję – odpowiedział stanowczo. – Czemu? – pomyślałem – nie dowierza mi? – W barze garmazeryjnym za dziesięć złotych dostanie zaledwie bigos z dwoma bułkami. W mojej stołówce zjadłby dziś barszcz z dowolną ilością

chleba, na drugie – sztukę mięsa z sosem chrzanowym, jarzynkę z gotowanej kapusty, marchewki i czegoś tam jeszcze, ziemniaki dobrze okraszone – niezła porcja. Na deser kompot. Doskonale pamiętam potrawy z tamtego obiadu. Obiad ten kosztował mnie 13 złotych. Specjalnie opuściłem cenę człowiekowi w barze, żeby zachęcić, żeby dać mu zadowolenie. Nie chciał. Oddałem obiad szatniarce.

Żona w tej chwili pitrasi coś w kuchni. Dochodzą mnie odgłosy smażenia i lekki zapach przypiekanego mięsa. Wciąż mam w ustach za dużo śliny.

Noc – nie mogę usnąć. Wciąż mam jeszcze dużo śliny. Coraz częściej ją przelkam, ale jest to taka jakaś sucha ślina. Teraz wyraźnie chcę pić, bardziej niż jeść. Ciężej mi się oddycha, chociaż nie powiem, żebym był zbyt osłabiony. Mam zapasik tłuszczu na bokach – mam z czego tracić. Ciężej mi się oddycha i trochę mi w głowie szumi – może to nerwowe, chociaż właściwie nie denerwuję się wcale. Z krążeniem, zdaje się, zawsze miałem kłopoty. Dotychczas całkiem dobrze mi się pracowało. Przygotowałem do przepisania więcej niż zwykle. E, nie wydaje mi się, żeby można było umrzeć z głodu. Już trzydzieści godzin i żadnych sensacji. Pewnie, że to niewiele, ale mimo wszystko pełna lodówka smacznego żarcia najbardziej mnie irtuje. Wystarczy zrobić kilka kroków, otworzyć ją i jeść, jeść. – Nie! Czemu nie? Nie wiem! Nie! Jest we mnie jakieś zacięcie, dziwny upór woli, może bezsensownej, ale mniej bezsensownej niż pozostałe odruchy życia.

Mam wiele przeciwko swojemu życiu, przeciwko samemu sobie. Przestałem się sobie podobać. Już nie tylko to, co mnie otacza, ale ja sam odczuwam do siebie antypatię. Gdybym teraz się poddał, gdybym po prostu się nażarł, bo jestem głodny – miałbym siebie jeszcze bardziej dosyć. Pokonywać bariery własnych niemożności – to jedno, co jeszcze zasługuje na uwagę.

W głowie mi się kręci od ustawicznego myślenia o najprostszych, najprymitywniejszych czynnościach człowieka. Namacalnie czuję się zwierzęciem osaczonym przez biologiczną konieczność. Pragnę się z niej wyrwać, uwolnić. Można to osiągnąć jedynie, gdy się przestanie być człowiekiem. Właśnie do tego zmierzam. Dziwię się tylko, że jeszcze mi się beka. Po czym – u licha?

Przybladłem. Oczy mam podkrążone. Mało sikam. Jeść! Teraz to już boli, aż boli. Głód jest we mnie, nie obok mnie. Chce mi się krzyczeć. Dajcie mi jeść! A przede wszystkim coś wilgotnego do ust. Mój język usycha. Czuję spuchnięte podniebienie o dziwnym smaku. Jakby ktoś posypał suchym, niesmacznym proszkiem. Od tego się będzie niszczyć, a potem odpadnie. Boli mnie to podniebienie, boli mnie język. To nie jest ból – to jest pragnienie. Pasma tego pragnienia rozciągają się we wszystkich kierunkach. Docierają do serca i do

żołądka. Muszę koniecznie wynieść się z domu, bo w końcu zauważą. Zauważą i mi przeszkodzą. Jak będą jeszcze inni oprócz mnie przeciwko mojej słabości – nie wytrzymam. Ulegnę. Trzeba uciekać. Kolega wyjeżdża na kilka tygodni. Tam nikt nie przychodzi. Tam będę mógł spokojnie czekać. Jak już nie będę miał siły wyjść, nikt mnie nie znajdzie. To jedyny sposób. Jutro rano poproszę o klucz.

Dzień trzeci.

Nie zauważyłem żadnych zmian. Żyję sobie spokojnie. Wcale nie mam pragnienia ani nie chce mi się jeść. Takie fizjologiczne konieczności to propaganda. Czuję się znakomicie. Chodzę tylko trochę wolniej. Może jestem nieco osłabiony, a może to po prostu wiosna. Ładne dziewczyny nadal mnie interesują. Lubię spojrzeć, zobaczyć. Najgorzej było rano, po obudzeniu się. Odczuwałem wyraźny niesmak, jak przy chorobie żołądka. Coś nieprzyjemnego rozciągało mi się na podniebieniu. Tak chyba smakuje talk. Umyłem zęby i przeszło. Wyplukałem również gardło. Była chwila, kiedy chciałem przełknąć wodę, której nabrałem do ust. Przewyciężyłem się jednak i szybkim ruchem wyplułem z siebie. Teraz to wszystko przeszło. Całkiem spokojnie mogę rozważać. Jest już dla mnie wiadomą rzeczą, że z głodu się nie umiera, że to wszystko wymyślili sobie dobrze odżywieni ludzie, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak roztrząsanie biologicznych konieczności ludzkiego bytu. Tak – czuję, że podobnie jest ze mną. Moja pierwotna czysta dążność zamienia się w wyraźny eksperyment, którego jestem z własnej woli podmiotem.

Odczuwam to jako oszustwo i bezpodstawną własną histerię. Protest przeciwko sobie – to nie jest autentyczny protest. Przeciw monarchii lub przeciw dyktaturze proletariatu, lub przeciw wojnie wietnamskiej – to co innego. Protest przeciwko swojemu doświadczeniu, które mi podpowiada, że nigdy nie można być sobą, utwierdza mnie jeszcze bardziej w oszustwie mojego pierwotnego założenia i w poczuciu jeszcze pełniejszej niemocy. Na wszystko się można porwać, ale nie na siebie. W rezultacie skazanym się jest na dreptanie w miejscu, na ciąg zdarzeń, przypadków, sił ogólnych, nieuchwytnych, i na zwykłych ludzi. Jest się po prostu popychanym. Właściwie nawet nie można się odwrócić, powiedzieć, że przepraszam, umyłam ręce, przenieść się do niebytu. Nikt tego nie potrafi, dopóki jest przy jako tako zdrowych zmysłach. Rzeczywistość, którą zaczyna się tworzyć samodzielnie, staje się natychmiast mistyfikacją. Ile czasu mogę chodzić taki durny i głodny? Dopóki czegoś nie zjem i nie stanę się jak przedtem rozważnym, sensownym człowiekiem. W imię jakich racji mam być rozważnym, sensownym człowiekiem? – Dlatego, że tak się robi, tak zazwyczaj jest. A jeśli nie będę rozważny? Jeśli nie – to będę zbuntowanym gówniarzem. Już nim jestem. Oto w średnim wieku stałem się młodzieniaszkiem, któremu nawet nie wiadomo, o co



chodzi. O nic mi nie chodzi. Chcę tylko, żeby się jeszcze nie dać, nie poddać, nie wziąć do ust.

Może to wszystko dlatego, że należę do smutnego pokolenia, które od urodzenia nie ma z kim walczyć, nie ma swojej historiozofii?

Bzdura! Co mnie obchodzi pokolenie! Wystarczy, że mnie żona wyprowadza z równowagi. Wystarczy, że czuję brak swojej racji, niemożność zatrzymania się w pędzie, odruchy nie ode mnie zależne. Nerwica podniesiona do rangi filozofii staje się zwykle pseudofilozofią.

I gdy to sobie uświadamiam, chce mi się drzeć wszystko na sobie i już wiem, że tak zamyka się krąg egocentryzmu, i że nie będę jeść „na złość mamie i panu dyrektorowi”.

Dzień czwarty.

Nie wiem, ale chyba jestem strasznie głodny. Kręci mi się w głowie. Niepewnie czuję się na nogach. Język jak sucha jaszczurka stał się ciałem obcym. W gardle coś mnie uwiera. Chce mi się wciąż spać, chociaż nie mogę usnąć. Mieszkam już sam w wynajętym pokoju. Mógłbym opisać jego wnętrze, ale mi się nie chce.

Noc podobna do wycia, nie jestem pewny, czy z pragnienia. Tu się coś pomieszało.

Dzień piąty. Ranek.

Mam gorączkę. Ledwo wydobyłem się z łóżka, odkręciłem kran, nachyliłem się. Zimna, wspaniała woda, a przętykam ją z trudem. Czuję, jak mnie dotyka, jak mnie sobą wypełnia, jak się we mnie rozchodzi.

Dobra, zwykła woda.

Czuję się winny, bo przecież wymyśliłem coś bardzo podobnego. Wypłynęliśmy wprawdzie nie pięknym jachtem, lecz rybacką łodzią, urwaną z wędzidła, nie na jezioro, lecz w morze. Nie było psów i zapalonych strzał, ale było dużo wódki, nocna jazda na koniach z państwowej stadniny, gry i zabawy, rywalizacja silnych i gniewnych, a potem wielka fala, stanowczo za duża. Uratował nas Zenonek, który przed wypłynięciem już solidnie spity, wyrócił się na plaży i zasnął. Ludzie mówili, że powstał jak archanioł, zwiastujący nieszczęście. Płakał, że wypłynęliśmy bez niego, a to jest zwykle świństwo. Nigdy jeszcze nie najadłem się tyle strachu. Szarpało nami okropnie. Woda się przez nas przewalała. Walczyliśmy o to, by pod falę, by wciąż ustawiać się pod falę. Nie wiem, jak to się stało, że nikt nie utonął. Był to prawdziwie statek pijany. Zabrała nas jednostka straży pogranicznej, zaalarmowana przez ludzi, którzy spotkali Zenonka.

Nie jestem zabobonny, w cuda nie wierzę, ale wydaje mi się, że sprowokowałem tę całą

historię, że ją sobie wyśniłem. Stała się ona jak gdyby przedłużeniem mojej fikcji literackiej, jej konsekwentną materializacją. I nawet jeszcze w tej chwili, kiedy to piszę, doznaję odrobiny metafizycznego niepokoju. Zaczynam wierzyć w jakąś nadrealną logikę. Jestem uwikłany w przyczynowo-skutkowy łańcuch zdarzeń, które początek miały w mojej wyobraźni. Wszystko jedno – słowo stało się ciałem.

W drodze powrotnej zaskoczył nas wypadek. Niby zwykła rzecz. Jesteśmy świadkami jednej z tysięcy kraks samochodowych. Czyjeś auto rozbiło balustradę i wpadło do wody. Zdarza się. A jednak jest mi jakoś dziwnie, kiedy wpatruję się w ciemną głębinę wody. Wiem, że przed nami musiała tędy przejeżdżać Elżbietka. Była jeszcze oszołomiona. Nie chciała nikogo z nas zabrać. Wsiadła do auta i odjechała bez pożegnania.

Oczy oślepia mi jakaś straszliwie mocna latarnia. Już dłuższy czas wbija mi się w głowę klinem światła. I znów słyszę ten sam pogwizd, śpiew jak wiatr z nasłonecznionych wysp, gdzie kolor skrzypiącego piasku miesza się z odgłosem umykającego stada antylopy. To jakby ilustracja muzyczna ze znanego mi, lecz zapomnianego filmu. Chce mi się spać, ale najbardziej chce mi się zimnego mleka.

Przechyliam się przez balustradę, oczami jestem prawie na dnie, w wodzie mętnej, od której odbija się snop światła. To reflektor przywieziony z miasta. Akcja trwa. Miejscowość wypoczynkowa, o dobrej marce, więc lepiej bez rozgłosu. Usiłują skryć to przed światłem dnia, przed oczami setek turystów. Niech śpią i jutro, i pojutrze; niech śpią spokojnie. Bzdura, i tak się dowiedzą, i tak będą spokojni, tyle że rozciekawieni, pobrzękujący swym zwinnym blaszanym języczkiem. Będą smakować i rozpamiętywać, przekręcać fakty i domysły trzepać jak z rękawa.

Robotnicy pracują sprawnie, chociaż bez pośpiechu. Nurek daje znać, że wszystko w porządku. Taki niezbyt duży dźwig rozkraczył się nad wodą, ale jeszcze nie ciągnie, wciąż jeszcze czegoś brak – może orkiestra zagra, może za mała publiczność?

Wierzchołki drzew po lewej stronie szosy zagęściły skraj brudnego nieba. A tam od wschodu już się noc przeredza, szykuje się słoneczko, z wody będzie wyłazić. Ale jeszcze go nie ma, chociaż już się bieli ciemne pasmo chłodnego powietrza. Szaro srebrzy się świt. Posypie świat mąką, która się potem zaraz zaróżowi. To będzie dzień. Kilkanaście metrów od nas balustrada poszarpana, kamienne słupki ścięte na dość dużej powierzchni. Jak ten samochód dziwnie musiał lecieć – akrobatyczny balans na krawędzi szosy. Wyobrażam sobie twarz Elżbietki na sekundę przed katastrofą, podobną do twarzy tej z filmu, z mojego filmu o Elżbietkach. Czy to jednak na pewno ona? Przecież mógł ktoś inny tu rąbnąć. Każdy z nas

przechyla się przez balustradę. Nie mówimy nic. Oczy utkwione w wodę, z której zaraz wynurzy się zniekształcony wrak samochodu.

Zenonek stoi koło mnie – czuję, jak drży. Kapuśniak stara się nie pochrząkiwać. Elżunia mówi, że już gdzieś widziała Elżbietkę. Co nas to obchodzi, widziała czy nie widziała. Głupia dziewczyna. Przyznała głośno, że nikt inny tylko Elżbietka musi tam na dnie w tym pudle. Wieje łagodny nocny wiaterek. Dobrze by się pływało pod żaglem.

Nie, to przecież nie musi być ona. Na co jeszcze czekają?! Coś uderza w wodę – mąci się równa powierzchnia. Ktoś obok klnie grubo...

Nie wiem dlaczego, przypominam sobie starego łabędzia, który pływał po stawie w miasteczku mojego dzieciństwa. Znałem tego łabędzia dobrze. Znałem go prawie przez trzy lata. Kręcił się tam jeszcze drugi łabędź, o wiele od niego młodszy, ale ten mnie nic nie obchodził. To zresztą była łabędzica – tak mi powiedział kumpel. Nigdy nie karmiłem swojego łabędzia, bo wtedy jeszcze myślałem, że to jest królewski ptak i wcale nie musi jeść. Pływał majestatycznie po małym stawie, który dzisiaj jawi mi się w pamięci bardziej jako śmietnik lub zarastające bagno niż wodne terytorium królewskiego ptaka. Ale wtedy wszystko było inne, piękniejsze.

I ten łabędź raz zdechł. Gdzieś w faszynie znaleźli go ludzie i wyciągnęli, bo zaczął śmierdzieć. Smutno mi się robi z powodu tego łabędzia i nawet mnie nie dziwi, że paszczyka dźwigu unosi się nieco, powierzchnia wody rozsuwa się niby śliska kurtyna, a na stalowych linach gramoli się w górę rozbite volvo. Opada ciężko na brzeg. Zbliżam się do wraka jak nie na swoich nogach. Ktoś na mnie krzyczy, ktoś ostrzega. Jacyś cywile biegną z latarkami. Po co latarki, kiedy i tak ten cholerny reflektor. Drzwiczki odleciały. Przód spłaszczony. Ktoś znad kierownicy podnosi głowę dziewczyny. Widzę białą twarz. Na ustach strużka krwi. Oczy niewidzące, otwarte – patrzą prosto na mnie. Moja żona.

I tu mógłbym urwać. Mógłbym przestać – i byłoby ładnie. Ale takie ładne rzeczy rzadko się w życiu zdarzają, więc Elżunia do mnie powiedziała:

– Pan się chyba źle czuje.

Ja odpowiedziałem – e, nie, nie – i patrzymy dalej. A powierzchnia wody wciąż nienaruszona. Raz tylko gdzieś poza zasięgiem reflektora rzuciła się ryba. Ile to już czasu minęło? Reflektor coraz bledszy, bo go świt wypiera – w zaroślach już się roi życie. Budzi się nadwodne ptactwo. Do mojego kciuka po krawędzi balustrady zbliża się wolniutko zielonkawa liszka. Pozwalam jej wejść na rękę. Zatrzymuje się, waha, w końcu wchodzi i lezie taka niemila, robaczkowata, mokra. Obrzydliwe ciało skręca się, kurczy i wydłuża na

mojej ręce, a ja się na to patrzę, jakby to nie była liszka, tylko wąż, i jakby mnie to paskudztwo zahipnotyzowało.

W końcu odtrącam ją z przesadnym rozmachem. Spada gdzieś w wodę, ale jest tak lekka, że nie słyhać, jak uderza o powierzchnię. I znów mi się wydaje, że windują tę szwedzką trumnę. Przez dziwnie przezroczysty dach widzę pochyloną do przodu dziewczynę. Strużka krwi na wargach, długie mokre włosy, ale tym razem to jest ona, ta, która się naprawdę zabiła – Elżbietka.

Wreszcie dźwig zadrżał. Jakaś głośniejsza komenda kierującego akcją wyrывa mnie z zapatrzenia, z takiego zapatrzenia, w którym się nic nie widzi – dopiero teraz widzę i słyszę. Bulgocze, idzie w górę. Masa wody przesuwa się, kłębi. Elżunia opiera się na mnie.

– Panie Filipie – mówi. – Co tu będziemy stać? Ja nie lubię topielców.

Idziemy. Zenonek i Kapuśniak patrzą na nas jak na parę wariatów.

Idę obok Elżuni zapomniawszy o niej całkiem, o niej i o wszystkich Elżbietkach – nic mnie nie obchodzi. Byle szybciej do domu, wyśmiać swoje koszarne podejrzenie, niedorzeczne zwiady.

Nagle zwielokrotnionym echem rozbrzmiewają we mnie twoje dotychczas nic nie znaczące słowa: – Dzisiaj jadę z Karolem i Rostockimi ich samochodem na wycieczkę. – Dokąd? – dokąd u licha? – Tego nie mogę sobie przypomnieć. – Joasię zostawiam u pani Marii. – Tak, Joasię zostawiasz u pani Marii. – Jadę z Karolem i Rostockimi. – Tak, z Karolem i Rostockimi. Karolem. – Kto to jest Karol? Nieważne. Ważne, czy tą szosą, czy przez ten cholerny zakręt. Co mi strzeliło do głowy? – tyle dróg prowadzi z naszego pensjonatu. – Nieprawda. Do Sopotu, do Gdańska tylko jedna – tylko ta.

Nie musiał to być samochód Rostockich. A może nie zostawiłaś Joasi u pani Marii? Może się rozmyśliłaś i wzięłaś ją na piękną wycieczkę samochodem? Może Joasia również?!... Jestem nienormalny. Dlaczego miałoby to spotkać właśnie ciebie? Bzdura. Przecież nie wierzę w żadną irracjonalną logikę zdarzeń. Nic się nie materializuje, co nie jest od początku materialne, a z całą pewnością fikcja takiego głuptaka jak ja. Nie wierzę w żadną karę, w żadną sprawiedliwość wyższego rzędu. To nie może mnie spotkać. To jest dla przedszkolaków. Wiem, pisałem, że mi porządnie dadzą w dupę za te moje niepobożne chęci, za to wieczne uciekanie, ale dadzą mi w dupę na stronicach mojej wyobraźni, w wymyślonym przeze mnie komisariacie. I cóż z tego, że są na świecie prawdziwe komisariaty? Że są na świecie Elżbietki, nawet podobne do tych? Co? – Łódź rybacka, burza morska? – Analogiczne fakty nie stanowią argumentu. Zenonek przyjechał nad morze z Kapuśniakiem? Znam ich – siostry nierozłączki po ojcu kielichu. Przyjechali – nie szkodzi. Każdy tu może

przyjechać. W lipcu i sierpniu pół Polski przyjeżdża tu na wakacje. A Rostoccy? Mało znam Rostockich. To zresztą ty ich wymyśliłaś. Nie pamiętam, jaki mają samochód. Ale z pewnością ich samochód stoi w garażu czyściutki i cały, stoi już od dawna, bo nie miałby powodu Bóg wie gdzie po nocy się rozbijać.

Z Elżunią żegnam się machinalnie. Jeszcze tylko jeden przystanek, jedna mała uliczka. Nareszcie – nasz pensjonat! Biegnę. Wpadam do pokoju. Karmisz Joasię. Chwytam cię z impetem, aż łyżka z kaszką wypada ci z ręki. Jak szalony obracam tobą, wołając: – Jesteś, jesteś!

– Obcałowuję cię gorączkowo. – Co ci się stało? – Pytasz i patrzysz na mnie jak na wariata. A ja tańczę wokół ciebie, obracam cię, zatrzymuję się w pół słowa, bo już widzę, jak jesteś szczelna, jak jesteś przede mną uszczelniona. Żadne moje słowo ani odruch nie dobiega do ciebie tak, jak bym chciał. Musi się wpierw przedostać przez gęstą atmosferę twej ustalonej opinii, przez sieć od dawna gotowych wyobrażeń. Jakże się w nich zaplątałem. I mam w tej chwili świadomość, że wszystko kończy się jednakowo – moją bezsensowną wściekłością, niepoohamowanym, niebezpiecznym wyrzuceniem z siebie gwałtownej, napastliwej mierzwy, skłębionego, agresywnego słoństwa. Nigdy jednak nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Zupełnie nieoczekiwane i nieuzasadnione są te moje napaści. Bez najmniejszej przyczyny hajda na Świętą Trójcę twojej, ludzkiej i świata poczciwości. Napadnięta odwracasz obojętną twarz z pogardliwie wysuniętymi wargami. Tylko oczy ci się błyszczą, mrużysz je, jakbyś się spodziewała ciosu, oddech twój staje się żywszy, czai się w nim zaciętość i gniew.

– No powiedz, jak to jest, jak to jest, że nie możemy, że tak naprawdę to nic bez siebie nie możemy? Kogóż bym tak chciał przewycięzać jak ciebie? Do kogo bym miał tyle niecierpliwości? Kto by mi aż tak wszedł za paznokcie? Jesteś mi potrzebna.

Wiesz, napisałem niby o nas historyjkę. Jeśli chcesz, możesz ją przeczytać. Coś w rodzaju pamiętnika. Już ci kiedyś wspominałem. Nie musi ci się podobać. No co tak patrzysz na mnie? Co tak patrzysz na mnie, głupi karaluchu? Czyżbym i ja tobie był potrzebny?

Dzisiaj wszyscy piszą pamiętniki, nawet był na nie konkurs. Wymarowali ich 25000. Wczoraj jeden pan redaktor interpretował w TV to pożyteczne zjawisko. Wszystko stąd się bierze, że ludzie się nauczyli pisać. Nazwał to dojrzewaniem społeczeństwa. Nowe warstwy zdobyły kulturę narodową, tak jakby bez pamiętników całkiem jej nie miały. Bardzo więc ładnie rolnik spod Olkusza opiewa gospodarstwo i postawę obywatelską, co temu panu z ekranu przypomina jego własne pokolenie ZMP.

– Coś zostało z tej edukacji, która powraca – stwierdził nie bez satysfakcji. – Bo dopełniają pamiętniki życie o element marzenia i aspiracji – rozmarzył się jakby i ciągnął swój wywód, wspominając o pamiętniku młodej matki pracującej w zlewni mleka, która oglądała serial „Chłopi” w telewizji i dlatego siedemdziesięcioletni gospodarz zaproponował jej ożenek za cztery morgi, ale czy to prawda? Któż oddzieli licentia poetica matki w zlewni mleka od reminiscencji życia, a co dopiero od życia samego?...

Pamiętniki młodych robotników opiewają okres industrializacji i to są wszystko bardzo pożyteczne pamiętniki, a zwłaszcza jest ich wiele. A mój? A cóż ja? Piszę, a nawet krowy nie dołem. Umiałem pisać od kilku pokoleń. To łatwizna. I rozpusta. Jakies zupełnie osobiste obsesje włóczą mi się po kartach inteligenckich i na wyprzódki ścigają mi się z ambicjonalnie i alkoholicznie zwyrodniałymi Pegazami, których dosiadają przedwcześnie dojrzałe licealistki. A moja żona? Może ona właśnie uratuje proveniencję tej podejrzanej literatury. Przecież jej ojciec był zasłużonym rakarzem.

Chyli się ku wiosnie. Wlazłem więc na swój stryszek, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Świat mnie oblepia paskudnie i by się z niego otrząsnąć, staję w zabitym na krzyż deskami oknie, jak bocian w starym gnieździe po długim, długim locie. Ale i tu zmiernie.

Przeszedł wiek, odnalazłem te kartki. Przewaliła się epoka. Komuna runęła, pociągając w topiel swój statek i swoich wrogów. Hippisów zastąpili skinhedzi, torebka mojej żony zdrożała ponad tysiąckrotnie, talia Przepiórkowskiej i, niestety, mojej wybranej przed Bogiem powiększyła się o tysiące zjedzonych pączków i tortów serowych, Joasia skończyła studia, synek przyjaciółki, który potrafił tak pięknie zwymyślać ojca i opluć mu krawat, zdążył się zaprzyjaźnić z kolejnym ojczymem i utopił się któregoś lata na Mazurach, Elżunia urodziła i wychowała trzy dziewczynki, na pewno również Elżbietki, za którymi moja popielata głowa odwraca się swym odwiecznym trybem. Nowin rzadko już występuje, spogląda tylko okiem sfinksa z wysokości swojej sztuki i twórczego w tym zapyziałym świecie oddalenia. Suchotko, który się onegdaj zasłużył czerwonej kulturze, niedawno porzucił ZChN, antyaborcję i błogosławioną prokreację i przeszedł do Piwoszy, żeby się trochę utuczyć, zamierza nawet założyć swoją partię. Porębowicz zdobył wszystkie możliwe nagrody w muzyce poważnej, podbił filharmonie świata, nie może sobie tylko darować, że przed laty nie zerznął niejaki Elżuni na trzy miesiące przed wypadkiem samochodowym, w którym stracił męskość. Wielki poeta Bartłomiej zapił się na śmierć, jego przyjaciel poeta mniejszy – Zenonek, co się zawsze starał podążać śladem mistrza, usiłował zrobić to samo, do tej pory próbuje, ale mu to nie wychodzi, gdyż ma za mocną wątrobę. Kapuśniak porzucił chomąto,

dorobił się totalnej sklerozy, nie pamięta już o nas, nie jest więc wart, byśmy i my pamiętali o nim. A ja? A ja, wydawać by się mogło, iż stoję w tym samym miejscu, ganiam nowo narodzone Elżbietki, no, powiedzmy – jak już trochę podrosną. Częściej jednak wodzę tylko za nimi osowiałym wzrokiem, ale czasem i maluchem bez względu na znaczenie tego wyrazu. Wciąż jestem w tym samym grajdole z tym ukochanym grzechotnikiem, do wnętrza którego nadal nie mam nijakiego przystępu, ale zaciekłość wciąż taką, że dopóki mi się sufit całkiem nie zawali, dobierać się będę do tej duszyczki wrażej, i choć się nie dobiore, to się dobiore – może już w tym drugim „Pamiętniku”, który właśnie rozpoczynam. Jest rok Pański 1992. Bądź, Czytelniku, cierpliwy.

koniec